

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Adam Wierciński

83



ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błorński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny
Barbara Dąbrowa – biuro redakcji

TADEUSZ RÓŻEWICZ	7	*** (<i>Czas na mnie...</i>)
	8	Dom św. Kazimierza • Wieczór dla Norwida
	9	Świta
	10	nic o tobie nie wiem
	13	Uciezka świnek dwóch (z obozu zagłady – rzeźni)
	14	ten to też
	16	dłaczego piszę? • kamień filozoficzny
	17	na wyspiańską nutę
	18	list pisany zielonym atramentem
	21	palec na ustach
	22	luksus
	23	taki to mistrz
	25	cmentarz wierszy
	26	mowa rozmowa dialog • biedny poeta Stachura
	28	słowa
	29	barwy Rzymu
	30	Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym
	40	Wrota śmierci
	41	drobne ogłoszenia i wróżby
	42	biedni ludzie (z cyklu depresje)
	44	Elegia
	45	Łódź
	46	dwie siekierki
	47	To się złożyło (1885–1977)
	49	pokusy
	53	Odaliska Ingres'a
	54	Zwiastowanie
	59	nie wypowiedziane • W środku życia
	62	Oktostychy – *** (<i>Zbyt wysoki Twój tron, o Boże!...</i>) • *** (<i>Księżyc jest jak wycinanka...</i>)
	63	Stara panna • Może • Zakonnica

	64	Dyskusja – A, zapomniałem... • Wszystko jest poezją
	66	jubileusz
	67	*** (<i>Witkacy uważał dotyk za...</i>)
	68	w młodości
	69	Mozaika bułgarska z roku 1978
TADEUSZ RÓŻEWICZ	75	Jeszcze próba • Nie karać, ale wychowywać
	76	Poeci, pasztet i katedra
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	79	Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem (fragmenty)
TADEUSZ RÓŻEWICZ	92	O uśmiechach ludzi starych – dwie fotografie
TADEUSZ RÓŻEWICZ	93	Znalezisko

TADEUSZ RÓŻEWICZ – *IN MEMORIAM*:

	95	JULIA HARTWIG, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT, RENATA GORCZYŃSKA, BOGUSŁAW KIERC, PIOTR MATYWIECKI, KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, LESZEK SZARUGA
--	----	--

	123	Tadeusz Różewicz w „Kwartalniku Artystycznym”
	124	O Tadeuszu Różewiczu w „Kwartalniku Artystycznym”
JULIA HARTWIG	127	<i>Po dniach czterdziestu...</i>
	128	*** (<i>Jak długo może...</i>)
JERZY SIWIEC	129	Wyznawca
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	139	Do kukułki na granicy polsko-rosyjskiej
	140	Do cmentarza żydowskiego w Szczytnie
STANISŁAW DŁUSKI	141	*** (<i>W zadymce snów słów głogi...</i>) • Eden i pokrzywy
	142	Morwy i popioły

MOI MISTRZOWIE

	143	KRZYSZTOF LISOWSKI, KRYSZYNA RODOWSKA, EWA SONNENBERG
--	-----	---

PO CO LITERATURA?

	156	JACEK BOCHEŃSKI, STANISŁAW DŁUSKI, KAZIMIERZ NOWOSIELSKI
--	-----	--

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI	161	Słuchaj
	162	„Indifference to events” (Newman)
KRZYSZTOF LISOWSKI	163	Majowy powrót do haiku
KRZYSZTOF LISOWSKI	165	Dionizos (dociekania)
JANUSZ SZUBER w rozmowie z KRZYSZTOFEM LISOWSKIM	170	„Jestem, jak powiada Borges, Grekiem na wygnaniu”
ANNA NASIŁOWSKA	177	Kot • Jaszczurka
EWA SONNENBERG	179	azra. pl • Refren
	180	Wiersze odnalezione na ścieżce słońca

VARIA

STEFAN CHWIN	186	Prawo do życia bezbolesnego
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	191	Małe szkice
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	193	Addenda (34)
LESZEK SZARUGA	199	Jazda (31)
PIOTR SZEWC	203	Z powodu i bez powodu (36)

RECENZJE

BOGUSŁAW KIERC	207	Elizjum
LESZEK SZARUGA	210	Czytanie <i>Błysków</i> Julii Hartwig
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	213	Ogród rzeczywistości
NOTY O AUTORACH	217	
NOTY O KSIĄŻKACH	219	
NOWE KSIĄŻKI	240	

ABSE ACHMATOWA ADAMIEC ADCOCK AJVAZ ALOCHIN ALTEV AMICHAJ ANCET ANDERMAN
ANDRZEJEWSKI ANTONIUK APOLLINAIRE APPEL ARP ASMUS ASPENSTRÖM ATWOOD AUGUSTYNIAK
AUSLÄNDER AUSTER AWIDAN BACHMANN BACON BACZAK BADZIAG BAGIŃSKI BAJSIĆ BAKEWSKI
BALANTIC BALCERZAN BALIŃSKI BANACH BANVILLE BARAN BARANOWSKA BARELKOWSKA
BARRAL BARTCZAK BARTOSZEWSKI BASHÖ BATHELIER BECKETT BEDNARCZYK BEFER BELMONT
BENKA BENN BERLIN BERNACKI BERNADAC BERNHARD BESANÇON BESZCZYŃSKA BEYER
BIAŁOSZEWSKI BIELSKA-KRAWCZYK BIEŃKOWSKA BIEŃKOWSKI BIGA BLIN BLOOM BLASIĄK
BŁOŃSKI BOBKOWSKI BOCHENSKI BOCCZKOWSKI BOLECKA BOLECKI BOLEWSKI BORGES
BORKOWSKA BOROWIEC BORUŃ BOURGEOIS BRĄKONIECKI BRAUN BRAUTIGAN BRAY
BRECHT BRINKMANN BRKA BRODA BRODSKI BRONIEWSKI BROWN BRUNNE BRZOSKA
BUKOWSKI BUNIN BUREK BURIAN BURYLA BUSZA CALDER CELAN CELINE CENDRAS
CHALEF CHETWYND CHEVILLARD CHLEBNIKOW CHOJNOWSKI CHOLIN CHWIN CIELECKI
CIELESZ CIESIELSKA CISŁO CLAUDEL CLUCHEY CRONIN CUMMINGS CVETKOWSKI
CYRANOWICZ CZARKOWSKI CZAYKOWSKI CZĘSTOCHOWSKI CZUCHNOWSKI CZUKU
CWIKLIŃSKI ČEĞEC DANILEWICZ-ZIELIŃSKA DANN DĄBROWSKA DĄBROWSKI
DEHNEL DELEUZE DEMBOWSKI DERDOWSKI DEVILLE DĘBICZ DICKINSON
DŁUSKI DOBIEŚ DOMARUS DOOLITTLE DORN DRAWERT DRIVER DUBOWIK
DUKES DUNIN DUPIN DURAKOWIĆ DURAS DYAKOWSKI DZIĘŃ DZIURZYŃSKI
ECHENOZ TSELIOT ENGELKING ENRIGHT ENZENSBERGER ESSLIN FABIAN
FALARSKI FERENC FERRINI FIETT FILIPIAK FIUT FLAUBERT FLEISCHMANN
FLETCHER FRAJLICH FRANAŚZEK FRANIA FRÉNAUD FRIEDELÓWNA FUCHS
FRYDRYCZAK GAILLY GALAS GARDZIELWSKA GARLICKA GASPAROW GÉNET
GEORGIEW GIACOMETTI GIDLECKA GIEDROYC GILBOA GINSBERG GIERZESKI
GIZELLA GLONDYS GŁOWIŃSKI GOERKE GOŁNIKOWA GOMORI GORCZYŃSKA
GRABOWSKI GROSSMAN GRUCHAŁA GRUDZIŃSKA GRUNBEIN GRZEBAŁSKI
GRZEGORZEWSKA GRZEŚIAK GRUŚE GRYKO GRYNBERG GURI GUTOROW GUŹOWSKI
HAJDUK HALAS HALEVI HAMKAŁO HANDKE HARRIS HARTWIG HASS HASSEK
HAVEL HEDLUND HELLIKES HERBERT KHERBERT HIERLING-GRUDZIŃSKI HERTZ HETMAN HIEBEL
HOFFMAN HOFFMANN HOLLAND HOLUB HONET HÖLDERLIN HRYNACZ HUNKELER HUNTER IONESCO
ISSA IWANUK JACCOTTET JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA JAKUBOWSKI JANKOWSKI JANKO JAN PAWEŁ II
JARNIEWICZ JARZEŃSKI JASEK JASPERS JASTRUN JĄSTRZĘBIEC-MOSAKOWSKI JELINEK JEDLIŃSKI JELŁOUN
JENTYS JONATAN JOYCE JUARROZ JULIET A. JUREWICZ J. JUREWICZ JURKOWSKA JURZYSTA KAJAK
KAKAREKO KALANDYK KALB KALEBA KALISZER-HAZAZ KALINOWSKI KALOTA-SZYMAŃSKA KANIA KANTOR
KAPUŚCIŃSKI KARASEK KAROLAK KASTEL-BLUM KAWAFIS KĘDZIERSKI KIBIROW KIELAR KIEPUSZEWSKI
KIERC KIJOWSKI KIRKILLO-STACEWICZ KISEVIC KITSCH KIZNY KLEJNOCKI KLOTT KŁOCZOWSKI
KŁOCZOWSKI OP JA. KOBIERSKI R. KOBIERSKI KOHLER KOLBE KOLTES KOLAČKA KONWICKI KOVILOWSKI
JULIAN KORNHAUSER J. KORNHAUSER KORZENIOWSKI KOSIŃSKA KOŚCIAŁKOWSKA KOTAŃSKI KOILARCZYK
K. KOZIOŁ U. KOZIOŁ KOZMIŃSKI KRAL KRASIŃSKI KRAUSS KREMER KRÓL KRYNICKI KRYSZAK
KRZYŻAN KUBIAK KUĆCIAK KURĄŚ KUREK KURYLAK KURYLUK KUŚ KUZIŃSKI KÜSTER KWIAKOWSKI
LALIĆ LAMPRECHT LASECKI LASKER-SCHÜLER LATAWIEC LE CLÉZIO LEFCOWITZ LEIRIS LEKSZYCKI
LEM LEMPP LENOIR LEOCIAK LESZKOWICZ LEWANDOWSKI LEVERTOV LEVINE LIBERA LIGĘZA
LINDON LIPKA LIPSKA LIPSKI LIRA-ŚLIWA LISOWSKI LORD LOVELL LUBIŃSKA LUDWIKOWSKA LUKIĆ
LUPA LUTOSŁAWSKI LUKASIEWICZ LUKASZEWICZ MACCAIG MACIERZYŃSKI MACKIEWICZ MADEJSKI MAJ
MAJERSKI MAKOWI MALINA MALISZEWSKI MARCZEWSKI MAGEN MARCZEWSKI MARJAŃSKA MASIANI
MASON MATUSZEWSKI MATYWIECKI MAUVIGNIER MACCAIG MCMULLAN MIEŁBACHOWSKA-LUTY MIELECKI
MENASSE MESCHONNIC MICHAŁ ANIOŁ MICHAŁOWSKI MICHIŃK MIEDZIŃSKI MIELHORSKI MIESZKO
MIĘDZYRZECKI MIKOŁAJCZAK MIKOŁAJEWSKI MIŁOSŁAWSKI MIŁOSZ MIAŚAK MITTERMAYER MITZNER
MIZERKIEWICZ MLADENOSKI MOCARSKA-TYCOWA MOCZKODAN MOCZULSKI MOMRO MORAWIEC MOŚCICKI
MOYER MÜLLER-FREIHENFELS MURCIA MUSIAŁ MUSZYŃSKI MYSZKOWSKI NAPIÓRKOWSKI NASIŁOWSKA
NDIAYE NIEMIĘC NIXON NOWACKI NOWAKOWSKA K. NOWICKI W. NOWICKI NOWOSIELSKI OBREMSKI
OLEK OŁĘDZKA-FRYBESOWA ONATE ONDAATJE OPALIŃSKA ORDAN ORŁOŚ ORSKI OSTER OSIT
OSZAJCA ŌZKŌK PACHOCKI PACHOLSKI PANCZENKO PANKOWSKI PAWLUŚ PAWŁOWSKA PAŹNIEWSKI
PENDERECKI PETRESKI PIASZCZYŃSKI PIECHOCKA PIECHOWICZ PIECZYŃSKI PIETRYK PIŁCH PINGET
PINTER PINTILIE PIRIE PIWKOWSKA PJECHUCH PLATH PLUTOWICZ POLKOWSKI POLLAKÓWNA POMORSKI
POTOKAR POUND PRAŻMO PROCKI PRUSS PRZYBYŁAK PRZYBYŚLAWSKI PUĆIATA PYDA OP QUADFLIG
RABINOWIĆ RADZIEJEWSKI RAWIKOWICZ RENOARD REŚICKI REUBNER REVERDY REXROTH RIEGEL
RIEGER ROBBE-GRILLET ROBERTS ROGA RODOWSKA ROGUSKI ROMANIUK ROMANOW ROSENTHAL
ROSSET ROTH ROTHMANN ROUAUD J. RÓZEWICZ SI. RÓZEWICZ T. RÓZEWICZ RÓZYCKI RUBINSTEIN
RUSINEK RUTKOWSKI J.M. RYMKIEWICZ RZONCA RZĘDZIAN SACHS SADECKI SALAMUN SALMONOWICZ
SALSKA SARAJLIĆ SARNA SARRAUTE SARTRE SCHILLER SCHEIDEGGER SCHNEIDER SCHUBERT SEIFERT
SEJFAS SENKTAS SEXTON SHLIEN SIEGEL SIEMASZKO SIENKIEWICZ SIMIĆ SIMON SINGER SIWCZYK
SIWIEC SKRENDO SKUCZYŃSKI SKWARŃICKI SŁAWIŃSKA SŁAWNIKOWSKI SŁOŃSKA SMALCERZ SMOLKA
SNYDER SOBKOŃWIĄK SOBOLCZYK SOBOLEWSKI SOCHOŃ SOKOŁOWSKI SOLIŃSKI SOMMER SONNENBERG
STACHURA STANIŁKO STANKOWSKA STARCZAK-KOZŁOWSKA STASIUK STAŚKIEWICZ STEFKO STERN
STERNA-WACHOWIAK STOJIĆ STREERUWITZ STROIŃSKI STRUMIŁO-MIŁOSZ STRUMYK STYCZEŃ SULEJMAN
SUSLIN SYLVESTER SYNDER SYNORADZKA SZAPRANIĘC SZARMACH SZARUGA J.J. SZCZEPAŃSKI SZEWC
SZKŁOWSKI SZŁOSAREK SZŁUBA SZUBER SZWAŁBE SZWARC A. SZYMAŃSKA B. SZYMAŃSKA I. SZYMAŃSKA
SZYMANOWSKI SZYMBORSKA ŚMIEJA TABORSKI TANSKI TERC THOMAS TISCHNER TKACZYŃSZY-
DYCKI TOCINOWSKI TOMASIK TOMASZEWSKI TOUSSAINT TRAKI TRIECHEL TRZĘCIAKOWSKI TUNNER
TUŚZYŃSKA TWARDOWSKI TYRANKIEWICZ URBAŃSKA VARGA VIEL VODUSEK WAJDA WALC WALSER
WANIEK WANTUCH WARTA WEBER WELTER WENCEL WENDORFF WHIETELAW WHITMAN WIECZOREK
WIKTOROWSKA WILDE WILLIAMS WINIARSKI WIRPSZA WIŚNIEWSKI WITKOWSKI WOHN WOJCIECHOWSKA
WOJCIECHOWSKI WOLSKI WOŁOSZYN WOROSZYŃSKI WÓJCIK WRÓBLEWSKI WYCZÓLKOWSKA K. WYKA
M. WYKA YEATS J. ZACH N. ZACH ZADURA ZAGAJEWSKI ZAJC ZAMIARA ZARĘBIANKA ZAWADA
ZAWISTOWSKI ZEGARLIŃSKI ZETTINGER ZIELENKIEWICZ ZIEMIŃSKI ZYCH ŻAKIEWICZ ŻYŁKO ŻAGAR

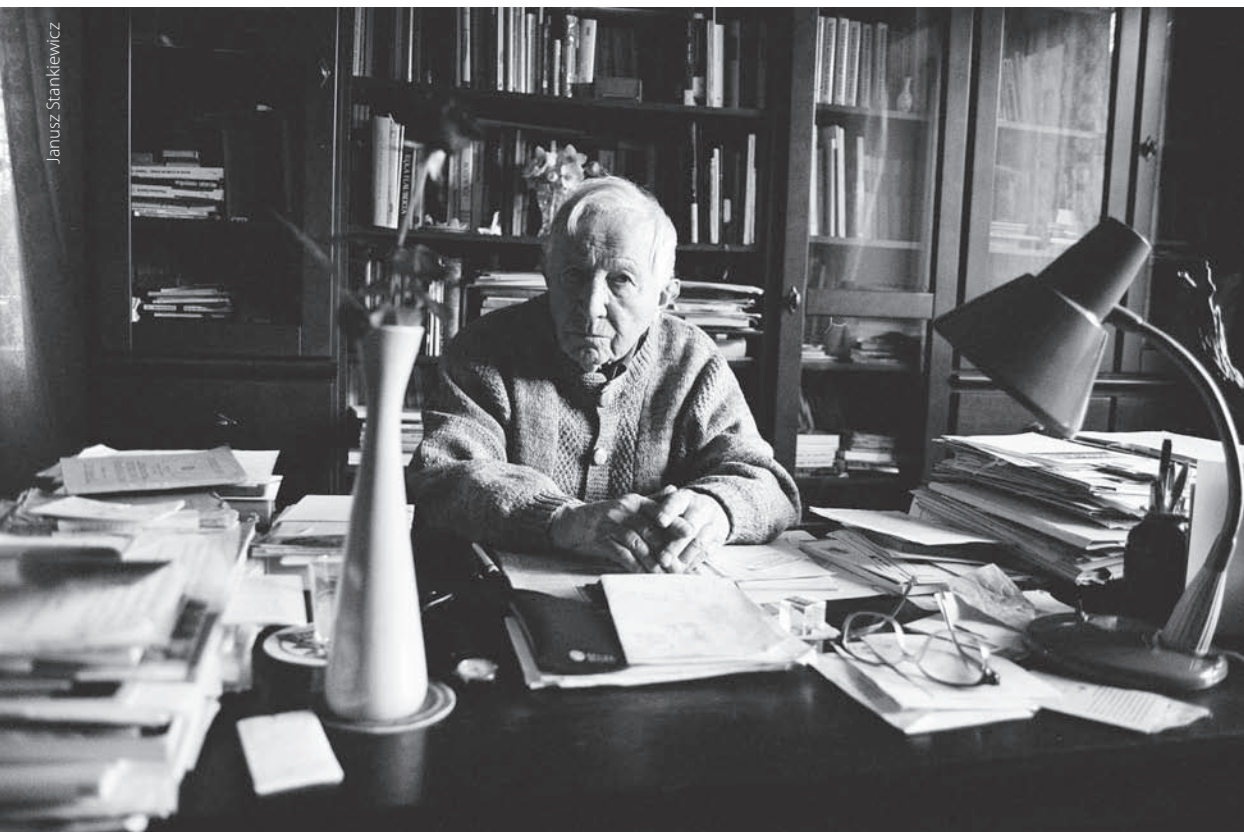
27 lat

Przedstawiamy drukowane w chronologicznej kolejności wszystkie wiersze Tadeusza Różewicza (1921–2014), które przez dwadzieścia lat ukazywały się w „Kwartalniku Artystycznym” – to szczególny i bardzo ciekawy wybór autor-
ski. Wydarzeniem dla wielu zapewne rewolucyjnym jest publikacja nieznanego, odnalezionego przez Panią Wiesławę Różewicz niezwykłego wiersza pt. *Znalezisko*; obok niego znajdują się dwie fotografie, które miały być ilustracją planowanego dla „Kwartalnika” szkicu o uśmiechach ludzi starych. Ponadto przypominamy trzy jakby dzisiaj napisane teksty, uzupełniony o wcześniej zamieszczone w *Addendach* fragmenty zapis ogłoszonych w numerze 4/2011 (72) wypowiedzi Różewicza z telefonicznych rozmów, które toczyłem z nim od lat i do notowania których nie raz mnie zachęcał, także wtedy, gdy wracałem do zamiaru przeprowadzenia z nim osobnej rozmowy. W *Głosach i glosach – In memoriam* mówią o nim m.in. Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki i Leszek Szaruga. Teksty uzupełniają fotografie zaprzyjaźnionych z Państwem Różewicz – Janusza Stankiewicza i Zbigniewa Kulika oraz bibliografie dokumentujące obecność Poety w „Kwartalniku”.

W numerze znajdziemy także nowe wiersze Julii Hartwig, które przybliżają do jej nowego tomiku, Kazimierza Brakonieckiego, Stanisława Dłuskiego, Kazimierza Nowosielskiego, Krzysztofa Lisowskiego, Anny Nasiłowskiej i Ewy Sonnenberg, prozę Krzysztofa Lisowskiego i rocznicową rozmowę z nim Janusza Szubera, wspomnienie o Zbigniewie Herbercie jego lekarza i przyjaciela Jerzego Siwca, kolejne wypowiedzi w ankietach i odcinki w *Variach* oraz omówienia ważnych książek.

Serdecznie zapraszam do lektury.

Krzysztof Myszkowski



Wrocław, 3 stycznia 2012 – jedna z ostatnich fotografii.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Pamięci Konstantego Puzyny

Czas na mnie
czas nagli

co ze sobą zabrać
na tamten brzeg
nic

więc to już
wszystko
mamo

tak synku
to już wszystko

a więc to tylko tyle

tylko tyle

więc to jest całe życie

tak całe życie

1989

Dom św. Kazimierza

bezzębny
trochę pijany

stanął – i obejrzał – oddalił się żeby
lepiej zobaczyć... odpycha aby przyciągnąć
zaciemnia aby wyjaśnić...
gra choć odpycha

wiersz
jak wino
w krew się przemienia
i w radość zmysłów

wiersz ze słów lepi i z kresek – myślników

przez okno zagląda księżyc siny
martwy jak paznokiec nieboszczyka

Wieczór dla Norwida

piszę ten wiersz
zmęczony
i w sobie pochylon

piszę ten wiersz pamiętnik
ogryzmolony
i sobie niechętny

ogryzmolony nazwiskami
zmarłych i tych co żyją

rzeźbę ogląda się w zmiennym świetle
w przestrzeni otwartej lub zamkniętej, w muzeum,
w parku, na ulicy, na cmentarzu –

wiersz Norwida i czyta się i ogląda... ogląda czytając
po cichu i czytając na głos... lecz o rzeźbie można mówić
jak o przedmiocie

czego wiersz nie potrzebuje
i nie znosi

rzeźba milczy i obraz milczy poezja mówi
mówi i wzrusza... rzeźby można dotknąć... wiersza nie...
rzeźbę można objąć, a nawet pocałować
kiedy nie patrzą ludzie

Świta

od świtu za oknem
wrony i kawki
i czarne korony
drzew

ptaszyska na śniegu

Kiedy kończysz czytanie wiersz Norwida,
wiersz... prosi nas
o ciszę – milczenie...
Na moim stole na którym jadłem
biedne studenckie posiłki i na którym
pisałem wiersze leżały
książki z zakładką
między kartami...

leżały
tomy Kochanowskiego

Mickiewicza Norwida Rilkego...
a później wydane przez Czytelnik
Miejsce na ziemi
Ocalenie

opukiwałem jak dzieciół te
drzewa poezji

nic o tobie nie wiem

nie wiem kogo kochałaś
nie wiem jakim byłaś dzieckiem

jesteś młodą kobietą
masz piękną twarz
obiecujące oczy
i usta które temu przeczą

nie wiem co śniłaś w nocy
gdzie byłaś dziś rano

spóźniona
z rumieńcem na twarzy
zdyszana
usiadłaś przy stoliku

pojawił się ktoś trzeci

młody mężczyzna
w krzyczącym swetrze

jadłaś ze smakiem żurek
a może czerwony barszczyk
ja byłem po obiedzie
piłem herbatę

palcem rysowałem serca
na białej serwetce

Pani Maria
dziś kończyła 92 lata
opowiedziała mi wczoraj że
spotkała w pociągu
Zofię Andriejewnę Tołstoj
widziała cara Mikołaja i Rasputina
nie wie do tej pory
czy rewolucja październikowa
miała sens
przecież inteligencja rosyjska była
najbardziej postępową w Europie
– panie Tadeuszu, mówię to tylko Panu –
i właśnie została pożarta
przez rewolucję
– niech Pan nie zapomni
o gazecie i mlecznych krówkach
– napisałam artykuł o
Białym małżeństwie
„Kto się boi Różewicza”

pada śnieg
myślałem
że mi powiesz „do widzenia”
ale Ty rozmawiasz na schodach
z tym facetem

miałem ciężką noc
zły czarny dzień
mój syn usłyszał głosy
został porwany
bóg przyszedł do niego pod postacią światła
dobry spokojny chłopiec
znalazł się w środku
Krzaka ognistego

krwawiąc
szedłem przez ścianę śniegu
słyszałem głos:
„mein Vater, mein Vater, und hörst du nicht,
was Erenkönig mir leise verspricht?
Sei ruhig, bleibe ruhig, mein Kind!
In dürren Blättern säuselt der Wind...“

w tym mieście
po którym chodzi biały niedźwiedź
w którym słyszę śpiew Kiepur
„la donna é mobile“
gdzie żyją białe niedźwiedzie
które piją wódkę i mówią „o kurwa!“
a kiedy podnoszą paszczę
widzimy fioletową
jak denaturat twarz
rodaka

Pozbawiony poczucia rzeczywistości
oblepiony mokrym śniegiem
szedłem przed siebie
szedłem na cztery strony
świata

i to już wszystko
moja daleka bliska
i obca
aż do końca

Ucieczka świnek dwóch (z obozu zagłady – rzeźni)

dziś opowiedział mi ktoś
historię zabawną
i ciekawą wielce... działa się
to na wyspie gdzie Angielczyków plemię
owce klonuje gdzie mleko
krowie ma kobiece właściwości pokarmowe
gdzie waryjują ludzie
a nawet psy
co zjadły mączkę z mózgu baraniego

świnki te uciekły z rzeźni
zrobiły podkop pod ogrodzeniem
uciekły przez pole i lasek
przeplłynęły strumyk i rzekę

ruszyły w pogoń straże psy
śmigłowce
beczały na łące
sklonowane owce

aż wreszcie schwymano zbiegi

„ludzkość” tym razem ruszyła na pomoc
wzruszona dołą
boskiego stworzenia
i zamiast świnki
przerobić na szynki i schaby
władze zapewniły im rentę
i dożywocie Sam następcą tronu
otoczył świnki ochroną
po tej wiadomości
wiera nadwątlona w Księcia
znów do mnie wróciła
nowo narodzona

PS

w trzy dni później przeczytałem
że życie świnek nie jest pewne
bo właściciel rzeźni wytoczył proces
chce odzyskać świnki
i przerobić je na bekon kielbaski
nóżki żeberka i szynki
(prawo jest po jego stronie... prawo własności...
a w mglistym Albionie prawo
to rzecz święta)...
jak się zakończyła historia świnek nie wiem
zaczął się wiek nowy i era
Harry'ego Pottera

ten to też

ten to też pisze
wiersze
Adamie!

Adam z łyżką
do ust podniesioną skamieniał

słyszysz? do Ciebie mówię
Adamie... nie słucha!
bo to wiecie kochani
pan Onufry sąsiad pana Teofila
też pisze
i to całkiem udatnie
trzęsie jak z rękawa
sypie różne tam dyrdymałki
bajki sielanki bukoliki idylle
ballady limeryki daktyle jamby
dumy śpiewy historyczne
rapsody rycerskie legendy

eposy żartobliwe epopeje
heksametry trocheje
jedz jedz Adamie
bo ci barszcz z boćwinką
wystygnie!

Adam skamieniały
przebił okiem na wylot
pana Onufrego
a ten
myśląc że naszemu Wieszczowi
uszko w gardle stanęło
które z talerza wyłowił
jak nie huknie Adama
pięścią po plecach...
zaraz też przy stole
zrobiło się weselej...
tylko pan Antoni oburzony
zaczzerwienił się jak piwonia
a potem krew mu z twarzy
odpłynęła i też skamieniał
pani domu zemgłała
poszły też w ruch sole esencje
i wachlarze

PS

To Ci, Panie Władysławie, Dobrodzieju,
do wiadomości podaję, boś mnie prosił,
abym Ci o Twoim Świętej pamięci Ojcu
napisał, co pamiętam i co na własne
oczy widziałem, ślę Ci to z błogosławieństwem
i pozdrowieniem... że i Ty parasz
się podobno pisaniem, to może rozjaśnisz
tajemnicę, dlaczego słowo „też” robi
czasem na wieszczach takie piorunujące
wrażenie... bo my zwykli śmiertelnicy

choć też jakieś tam, panie, dyrdymałki
i wierszyki piszemy, to ani humoru,
ani apetytu nie tracimy
czego i Tobie życzę.

dlaczego piszę?

czasem „życie” zaśłania
To
co jest większe od życia

Czasem góry zaśłaniają
To
co jest za górami
trzeba więc przesunąć góry
ale ja nie mam potrzebnych
środków technicznych
ani siły
ani wiary
która przenosi góry
więc nie zobaczysz tego
nigdy
wiem o tym
i dlatego
piszę

kamień filozoficzny

trzeba uśpić
ten wiersz

zanim zacznie
filozofować

zanim zacznie
rozglądać się dokoła
za komplementami

powołany do życia
w chwili zapomnienia

uczulony na słówka
spojrzenia
szuka ratunku
u kamienia
filozoficznego
przechodniu przyśpiesz kroku
nie podnoś tego kamienia

tam się wierszyk biały
nagi
przemienia
w popioły

2002–2003

na wyspiańską nutę

w snach widzę tłum
co do mnie idzie

w snach
widzę coraz więcej ludzi
mówią krzyczą

a w życiu nic
mnie już nie budzi
w snach mówią do mnie
zmarli żywi

słowo po słowie
się rozpada

do pustych oczu
wchodzą kwiaty
do oczodołów
wchodzi ziemia

zdmuchuję gwiazdy powiekami
słucham jak serce
dzwonu pęka

słyszę jak Wawel się kołysze
usypia naród

list pisany zielonym atramentem

przychodzą listy

wyjeżdżam dzisiaj
(nie w piątek)

całuję Cię
myślę o Tobie
tęsknię za tobą
brak mi ciebie

Kończą się „zabiegi”
kończy się turnus
kończą się niewinne
i winne flirty
„na rykowisku”
na ławeczkach
pod ławeczkami
butelki po alkoholach

kolorowych i czystych
wydmuchane wesołe
prezerwatywy odlatują
baloniki baloniki
woła sprzedawca

„wrzuć to do kosza”
nie mogę „tego” wyrzucić
do kosza
to twój list
pisany
zielonym atramentem
nie mogę miłości wyrzucić
do kosza na śmieci

smutek odjazdów
pakowanie walizki
ostatni spacer
ostatni łyk wody mineralnej

robię sobie zdjęcie pamiątkowe
koło starej pijalni

mijają mnie starsze panie
trzy
puch na głowach
fioletowy srebrny rudy
najmodniejszy teraz
„za dyktatury fryzjerów”

za mojej młodości
mówiło się o paniach w tym wieku
połowice matrony staruszki
złowione w zmarszczek siateczki
umalowane w kokardkach

Stoję na mostku

wrzucam do strumienia
kawałki listu
słowa „całuję mocno”
„myślę o Tobie”
biały papierek odpływa
znika
słońce powoli zachodzi
woda się rumieni
mówię do siebie do strumienia
strumień niemowa
nigdy nie przemówi
nie wymówi
Słowa

Kudowa-Zdrój 1989

Tadeusz Różewicz

palec na ustach

usta prawdy
są zamknięte

palec na wargach
mówi nam
że przyszedł czas
na milczenie

nikt nie odpowie
na pytanie
co to jest prawda

ten co niedział
ten co był prawdą
odszedł

kto wierzy rzeka
na jego gorzot

Das Wesen der Wahrheit
ist die Freiheit
napisał Martin Heidegger
w roku 1930
później wstąpił
do partii hitlerowskiej
"Hampelmann der Nazis"
powiedział o nim
sprawiedliwy wśród filozofów
Karl Jaspers

Bóg nie umart
tylko nas zostawił
czy dojdziemy do życia
bez boga

palec na ustach
mówi nam o tym

luksus

wtorek 23 kwietnia
113 dzień roku 2002

dzisiaj
mam dzień wolny

słucham jak pada deszcz
czytam wiersze
Staffa i Tuwima

„Będę ja pierwszym w Polsce futurystą.
A to nie znaczy, bym się stał głuptasem,
Co sport z poezji czyni, i z hałasem
Udaje maga...”

patrzę na struny deszczu

czytam kartkę z kalendarza
Arcydzięgiel litwor
to znana już w starożytności
bardzo aromatyczna roślina
czy można sobie przypomnieć
smak życia
smak dzięgielówki

słucham jak pada deszcz

na taki luksus nie mogą
sobie pozwolić
możni tego świata

muszą ścisnąć niezliczone
spoczone dłonie całować sztandary
muszą głaskać dzieci
po główkach i staruszczy

wycierać garnitury i twarze
wycierać
farbę z twarzy
żał mi
„wielkich” (tego świata)
że nie mogą nikogo
ugodzić pomidorem
że nie mogą
gówniarza
złapać za ucho

dziękuję Bogu
że nie muszę ubiegać się o „głosy”
idiotów

słucham deszczu

tak mało potrzeba
człowiekowi
do szczęścia

kwiecień 2002–lipiec 2003

taki to mistrz

budzi się
rozgląda dokoła
z rzeczy świata tego
powinno coś zostać
ale co?

odfrunęły anioły

Trochę pijany
snem winem

napojony żółcią
i octem
stary poeta
usiłuje sobie przypomnieć
co miało pozostać
z rzeczy tego świata

poezja i miłość
a może poezja i dobroć
bezzębny przeżuwa słowa
dobroć chyba dobroć
i piękno?
a może miłosierdzie?

oddala się
żeby lepiej zobaczyć Warszawę

Tamta była piękna i zła
jej „siostra” dobra i brzydka

taki to mistrz
co gra choć odpycha
zaciemnia aby wyjaśniać

zamyka oczy widzi stopy dwie
gwoździem przebite

te odlatują z planety

commentary

Biblioteka poetycka F. Hoesicka
w Warszawie rok 1928

Alberti Kazimiera Bunt lawin Mój film 2 zł
Birkenmajer Józef Ulicą i drogą 5 zł
Bogusławski Antoni Honor i ojczyzna
Braun Mieczysław Rzemiosła Przemysły
Choromański Leon Urna 6 zł
Denhoff-Czarnocki Waław Włóczęga 4 zł
Géraldy Paul Ty i ja
Grossek-Korycka Marja Pamiętnik liryczny
Hełm-Pirgo Janina Kolorowa Sonata
Hulewicz Witold Sonety instrumentalne 4 zł 50 groszy
Iłakowicz I.K. Płaczący ptak Złoty wianek
Kasterska Maria 1 zł 50 groszy
Miłaszewska Wanda Rok Boży 2 zł
Pawlikowska Maria Pocałunki Wachlarz Karnet balowy
Rościszewska Zofja Wstęgi 6 zł
Słonimski Antoni Z dalekiej podróży
Stern Anatol Bieg do bieguna
Szpyrkówna M.H. Poezje 4 zł
Wroczyński Kazimierz Samolot
Zegadłowicz Emil Dom jałowcowy
Stefan Napierski List do przyjaciela
„W Częstochowie (czy też w Piotrkowie), pamiętasz,
mój umarły Kuzynie...”

mowa rozmowa dialog

Człowiekowi jest dana mowa
To odróżnia ludzi od zwierząt

Kierowca: „spierdalaj pan
z tego samochodu”
pasażer „pan nie ma prawa”
kierowca: „w mojej taksówce
ja stanowię prawo”

dialog skończył się na skrzyżowaniu
ulic Jana Pawła II
i Anielewicza
taksówkarze pobili panią
profesor zachodniej uczelni
i dali w ucho
krytykowi teatralnemu

prezydent paryża północy
obiecał wnikliwe śledztwo

biedny poeta Stachura

niedaleko brudnego koryta
rzeki Wisły
pasło się stado świń i wieprzy
pospołu z dziećmi Apollina

do tej stołówki
przywędrował z dalekiej krainy
Janko muzykant chłopiec opętany poezją
rzucał perły przed wieprze
śpiewał grał na złotym grzebieniu

aż usłyszał głosy
i oszalał

był jak motyl
w pajęczynie

rozmawiałem z nim
raz w życiu
w jakimś domu pracy twórczej
stanął w drzwiach
mojego pokoju
i poprosił o kartkę
papieru

powiedziałem że mam
tylko papier z makulatury
w kratkę
uśmiechnął się grzecznie
podziękował
odszedł
z trzema kartkami

czasem myślę że chodziło mu
o coś innego

że chodziło o jego i moje
o nasze życie

wrzesień 2003 r.

Tadeusz Różewicz

Słowa

słowa zostały wzięte
przezute jak gumki do zucia
~~przez młode~~
przez młode niskie usta
zamienione w brzoję
baniek, balonik

ostabione przez polityków ~~ostabione~~
stwierdzą do wybielania
zębów
do pęknięcia jamy
ustnej

za mojego dzieciństwa
można było słowo
przytłoczyć do rany
jak liść ~~liście~~
można było podarować
osobie Kochanej
~~można było~~

teraz ~~ostabione~~ ostabione
ostabione w gazecie
jeszcze trują cuchną
jeszcze ranią,
~~ostabione~~

ukryte w głowach
ukryte w sercach
ukryte pod sukniemi
młodych ~~ukryte~~ kobiet
ukryte w świętych księgach
~~ukryte~~

wybuchają ~~ostabione~~
~~ostabione~~ ~~ostabione~~ ~~ostabione~~
zabijają (2004)

siedzę w cieniu
za chwilę wejdę
do wnętrza

„jestem szczęśliwy”
mówię do siebie

cicho

bo to jest moja
Tajemnica
we Florencji

Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym

przed trzydziestu laty
zacząłem deptać Baconowi po piętach

szukałem go w pubach galeriach
sklepach rzeźniczych
w gazetach albumach fotografiach

spotkałem go w Kunsthistorisches Museum
we Wiedniu stał przed portretem
Infantki Małgorzaty
Infantin Margarita Teresa in blauem Kleid
Diego Rodriguez de Silva y Velázquez

mam go pomyślałem
ale to nie był on

po śmierci
po odejściu Francisa Bacona

umieściłem go pod kloszem
chciałem obejrzeć malarza
ze wszystkich stron

biorąc pod uwagę
jego naturalną skłonność
do ucieczki do znikania
do picia
do przemieszczania się
w czasie i przestrzeni
od pubu do pubu
w postaci barokowego putto
który zgubił kapelusz
i czerwoną skarpetkę
musiałem go
unieruchomić

przez kilka tygodni
chodziłem do Tate Gallery
zamykałem się z nim
i zjadałem oczami

trawiłem jego straszną
sztukę mięsa kopulowanie padliny
zamknięty w sobie
prowadziłem dalej mój dialog
ze Saturnem który był zajęty
zjadaniem własnych dzieci
„człowieka tak się zabija jak zwierzę
widziałem furgony porąbanych ludzi
którzy nie zostaną zbawieni”
pisałem w roku 1945

Bacon pod wpływem alkoholu
robił się ciepły towarzyski
szczodry gościnniej
fundował znajomym

szampana kawior
zamieniał się w anioła
ze skrzydłem zanurzonym
w kuflu piwa

większość moich obrazów – mówił –
została wykonana przez człowieka
w stanie Niepokoju

przy malowaniu pewnego tryptyku
pomagałem sobie pić
tylko raz pomogło
powiedział niewyraźnie
malując palcem na szkle
Lager Beer Lager Beer
malowałem w roku 1962
ukrzyżowanie
czasami na kacu
ledwo wiedziałem co robię
ale tym razem pomogło

Bacon osiągnął transformację
ukrzyżowanej osoby
w wiszące martwe mięso
wstał od stolika i powiedział cicho
tak oczywiście jesteśmy mięsem
jesteśmy potencjalną padliną
kiedy idę do sklepu rzeźniczego
zawsze myślę jakie to zdumiewające
że to nie ja wiszę na haku
to chyba czysty przypadek
Rembrandt Velázquez
no tak oni wierzyli w zmartwychwstanie
ciała oni się modlili przed malowaniem
a my gramy
sztuka współczesna stała się grą
od czasów Picassa wszyscy gramy
lepiej gorzej

czy widziałeś rysunek Dürera
dłonie złożone do modlitwy
oczywiście pili jedli mordowali
gwałcili i torturowali
ale wierzyli w ciała zmartwychwstanie
w żywot wieczny

szkoda że... my...
nie dokończył i odszedł w sobie wiadomą
stronę

minęły lata
w łowach na Bacona
pomagał mi Adam
poeta tłumacz
właściciel krótkopisu
zamieszkały w Londynie
i Norwich

12 czerwca 1985 roku

pisał do mnie:

„Kochany Tadeuszu

byłem dziś na wielkiej wystawie Bacona
i myślałem, że Ty miałbyś z niej dużo
satisfakcji. Ja zaś poszedłem dość opornie.
Ale nie żałuję, bo te wczesne nadgryzione głowy
są kompozycyjnie i kolorystycznie
bardzo efektowne. Natomiast nie przekonali
mnie nowe obrazy. Jak Ci już pisałem
przyjadę do Wrocławia (...)"
na odwrocie reprodukcja *Head IV*

przecież ja Adamie nie mogę
powiedzieć
Baconowi
On nie zna języka polskiego
ja nie znam języka angielskiego

powiedz mu że debiutowałem *Niepokojem*
w roku 1947

pisałem: „różowe ideały
poćwiartowane
wiszą w jatkach (...)”

W roku 1956 pisałem:

„jeszcze oddychające mięso
wypełnione krwią
jest pożywieniem
tych form doskonałych

zbiegają się tak szczelnie nad zdobyczą
że nawet milczenie nie przenika
na zewnątrz (...)”

„the breathing meat
filled with blood
is still the food
for these perfect forms”

obaj wędrowaliśmy
przez „Ziemie jałową”

Bacon opowiadał że lubi
oglądać swoje obrazy przez szybę

nawet Rembrandta
lubi za szkłem
i nie przeszkadzają mu przypadkowe osoby
które odbijają się w szybie
zamazują obraz
przechodzą
ja
nie cierpię obrazów za szkłem
widzę tam siebie pamiętam że kiedyś
oglądałem kilku Japończyków
nałożonych na uśmiech Mony Lisy

byli bardzo ruchliwi
Gioconda została unieruchomiona
w szklanej trumnie
po tej przygodzie
już nigdy nie wybrałem się do Luwru
Gioconda uśmiechała się pod wąsem
Bacon zamknął w klatce
papieża Innocentego VI
potem Innocentego X
i Piusa XII
Infantkę Małgorzatę w błękanie
jeszcze jakiegoś sędziego prokuratora
wszystkie te osoby zaczęły krzyczeć

w roku 1994
14 lutego
w dniu Świętego Walentego
na szklanym ekranie
ukazał mi się Francis Bacon
okrągła głowa owalna twarz
wymięty garnitur
słucham Bacona
patrzę na portret
na czerwoną twarz papieża Innocentego VI
patrzę na łagodną buzię Infantki

próbowałem pokazać
pejzaż jamy ustnej
ale mi się nie udało
mówił Bacon
w jamie ustnej znajduję
wszystkie piękne kolory
obrazów Diego Velázquez

szyba tłumi krzyk
pomyślałem
Bacon przeprowadzał swoje operacje

bez znieczulenia
przypomina to praktyki
XVIII-wiecznych dentystów
Zahnextraktion
przecinali też wrzody czyraki karbunkuły
to nie boli mówił do Infantki
proszę otworzyć buzię
niestety nie mam środków znieczulających
to będzie bolało
Infantka na fotelu ginekologicznym
Papież Innocenty VI na fotelu elektrycznym
Papież Pius XII w poczekalni
Diego Velázquez
na fotelu dentystycznym
przyjaciel George Dyer
before a Mirror – 1968
albo na sedesie...

malowałem otwarte usta
krzyk Poussina w Chantilly
i krzyk Eisensteina na schodach
malowałem
na kanwie z gazet
reprodukcji reprodukcji
w kącie mojej pracowni
leżała kupa gazet fotosów
jako młody człowiek
kupiłem sobie w Paryżu
książkę o chorobach jamy ustnej
Bacon rozmawiał z Davidem Sylvestrem
i nie zwracał na mnie uwagi

chciałem go sprowokować
więc zapytałem czy słyszał
o gnijącej jamie ustnej Sigmunda Freuda
pod koniec życia nawet wierny
pies uciekał od swego pana

nie mogąc znieść smrodu
czemu Pan nie malował
podniebienia zjedzonego
przez pięknego raka
Bacon udawał że nie słyszy

te pańskie modele drą się
jak odzierane ze skóry chmury
znów pan posadził papieża
Innocentego któregoś
w piekarniku
znów pan chce tej cichej
sennej pięknie ułożonej i namalowanej
Infantce
zaaplikować
„die Applizierung” des Klistiers

chciałem prosić Adama
o pomoc ale Adam
uśmiechnął się
jadł „kanapkę” z tuńczykiem
i pił heinekena

powiedz mu Adamie
powiedz mu
proszę „po angielsku”
że dla mnie zamknięte usta
są najpiękniejszym krajobrazem

usta Nieznajomej z Florencji
Andrea Della Robbia
Ritratto d'Ignota
Portrait of Unknown Women

i powiedz mu jeszcze
że Franz Kafka bał się otwartych
ust i zębów pełnych mięsa i złotych koronek

umieściłem to w sztuce *Pułapka*
która była grana w Norwich
szkoda że Bacon nie namalował
portretu Eliota cierpiącego
na zapalenie okostnej
z twarzą owiniętą w kraciatą
chustkę

Adam jadł teraz kanapkę
z wędzonym łososiem
Tadeuszu! to już trzeci kufel
ostrzegałem Cię że guinness
jest mocny
spytaj pana Franciszka
czy wie co powiedział Wondratschek
o ustach i zębach
Adam schował krótkopis

„Der Mund ist plötzlich
der Zähne überdrüssig“
powiedział Wondratschek

Bacon powiedział do kufła piwa
nigdy nie udało mi się
namalować uśmiechu
zawsze miałem nadzieję
że będę zdolny namalować usta
tak jak Monet namalował
zachód słońca

a malowałem
usta pełne krzyku i zębów

ukrzyżowanie? jeszcze raz powtarzam
to jedyny obraz
który malowałem po pijanemu

ale ani picie ani narkotyki
nie pomagają w malowaniu
tyle że człowiek robi się rozmowny
a nawet gadatliwy

żegnaj Francis Bacon
napisałem o Tobie poemat
już nie będę Cię szukał
koniec kropka
a! jeszcze tytuł poematu
Francis Bacon
czyli
Diego Velázquez
na fotelu dentystycznym
prawda, że niezły
żaden z irlandzkich
czy angielskich krytyków
i poetów
nie wymyślił
takiego tytułu
może niepotrzebnie
dodałem jeszcze do tytułu
ten długi poemat
ale człowiek przy piwie
robi się rozmowny
a nawet gadatliwy

luty 1994–marzec 1995

Wrota śmierci

pamięci Henryka Bereski

kiedy zaczynałem pisać wiersze
jeszcze „wszyscy” żyli
potem zaczęli odchodzić

najtrudniejsze zadanie
przejść przez wrota śmierci
bez pomocy Anioła

wierzący przechodzi
przez wrota śmierci
z zamkniętymi oczami
po przejściu
ma uśmiech na ustach

mam za sobą drogę
która wydłuża się
z godziny na godzinę
przed sobą mam drogę
coraz krótszą

wiara w to co istnieje
nie jest wiarą jest wiedzą
ale wiara w to co nie istnieje
jest prawdziwą wiarą

kto wierzy że Bóg istnieje
nie potrzebuje cudów
wiara jest cudem

ktoś kto wie że istnieje miłość
ma obowiązek ją opisać
i udostępnić innym jej obraz

Wrota śmierci
Zagadka ich konstrukcji
polega na tym że tych wrót nie ma
ale równocześnie są
szeroko otwarte dla wszystkich

są tak ciasne
że człowiek przeciska się
przez nie w pocie czoła
w krwawym trudzie
całymi latami piszcząc
albo rycząc ze strachu

szczęśliwy kto umiera
we śnie
trzymany za rękę
przez Eurydykę
która jest śmiertelna
i płacze bo musi dalej
żyć sama

Wrocław, 2005 r.

drobne ogłoszenia i wróżby

wymienię wzrok na dotyk
dotyk na zapach
wymienię zapach na smak
smak na pikantne paluszki
wieprzowe w kolorowym pieprzu
wymienię paluszki
na wierszyk
Opisz mi czułość
a ja ci powiem
czy będziesz grafomanem

opisz mi szczęście
które cię spotkało i
nieszczęście
które na ciebie spadło
a powiem ci kim jesteś
powiedz mi w wierszu
możliwie krótkim
czym się różni miłość
od nienawiści
powiedz mi
czym się różni
czarny kwadrat od białego
a ja ci powiem
czy będziesz malewiczem
czy tylko ramą do obrazu
powiedz mi czym się różni
wtorek od środy
a powiem ci czy jesteś
futurologiem czy futuro
ględą
powiedz mi kiedy świat
się skończy
a ja ci powiem kiedy
się nie skończy

biedni ludzie (z cyklu depresje)

ktoś do mnie telefonuje
czegoś chce tłumaczyć
że mnie nie ma
to znaczy jestem ale
że ja
ten ktoś mówi

energicznym głosem
(ten ktoś jest „młody”)
mówi że ma plany
związane z moją osobą
mówię że ja nie mam planów
związanych z moją osobą
ale głos mówi dalej
co ze mną chce zrobić
ze mną z moim czasem
z moimi myślami wierszami
z moją przeszłością
jeszcze słucham
mówię do siebie w myślach
(myśli nie „nagrywają”
nie podsłuchują ale
pracują nad tym...)
mówię do siebie
bądź cierpliwy
grzeczny (grzeczność
nie jest nauką łatwą)
te żywe głosy
rysują mnie ranią
te kobiece męskie medialne
głosy osobników w sile
wieku chcą ode mnie
czegoś co mnie już opuściło
odeszło
teraz słyszę w tamtym głosie
złość pretensję agresję
chcę jeszcze raz przeprosić
słyszę przez ścianę
jakieś krzyki wrzaski wycie
nie zgasilem telewizora
czemu kibice tak trąbią
przecież Małysz zajął
20, 23 miejsce
i mówi cicho
biedny chłopiec!

W Turynie otwarto
Zimowe Igrzyska Olimpijskie
nasi sprawozdawcy sportowi
cytowali Dantego Piekło
w tłumaczeniu Porębowicza
dzisiaj jest Dzień Chorego
psychicznie
świata świętego Walentego

Elegia

pamięci Cz.M.

za pięć dwunasta!

pytam siebie
kiedy napiszesz Elegię
o winie i chlebie

chciałem wykręcić się rymem
i odpowiedzieć „w niebie”
ale ze wstydu zapadłem się
w ziemię

od tego czasu żywot pędzę kreta
i nie pamiętam
co to śpiew
wino i kobieta

te czarne kopczyki
na zielonej łące
to jedyne pamiątki
po pracy bez końca
to moje pomniki
tęskniące do słońca

a co z nami?
co z naszymi sporami
przyjacielskimi
Ty zmarłeś więc nie pytasz
co ze mną? pewnie odrzucę starą
formę szatę
i z Orfeusza zmienię się
w łopatę

2005–2006

Łódź

Nie płacz
przecież go nie kochałeś
on jest przedmiotem
który trzeba wynieść z domu

dyskretnie uchylone okna

w moim czarnym ubraniu
w łodzi
bez wioseł
opuszcza ten świat
odpływa
ojciec

drewniana trumna
utknęła w kwiatach
zielonych świerkowych wieńcach
papierowych wstęgach

ojciec przeżył
dziewięćdziesiąt lat
zmarł w lutym w 1977 roku

nie płacz

przecież go kochałem
pod powieką niewielki obrazek
ojciec niesie zielone drzewko
krzyżak i siekierę
brnie
przez głęboki śnieg

na stole leżą kolorowe łańcuchy
gwiazdy anielskie włosy

niech mu ziemia lekką będzie

dwie siekierki

kiedy ojciec skończył
77 lat
powiedział do mnie
„dwie siekierki, Tadziu,
jak człowiek przejdzie
przez nie, to dalej
wszystko pójdzie gładko
jak po maśle”

wypiliśmy pół litra wódki

Ojciec zapalił nieśpiesznie
papierosa
i zaczął wydmuchiwać
kółka dymu
kółko
za kółkiem
leciały do sufitu
rosły rozpląwały się

pamiętam jedno pytanie
z tej naszej urodzinowej rozmowy
„Tato, powiedz mi,
czy warto jest żyć?”

Ojciec przyglądał się
kółkom dymu
strząsał popiół z papierosa
i powiedział
„pewnie, że warto!”
potem spojrział na mnie
„co z Tobą... Tadiusiu!...”

Wtedy zrozumiałem
że Ojciec nas kochał
ale o tym nie mówił

1999

To się złożyło (1885–1977)

Pojechałem do Częstochowy
na grób Ojca
pochyliłem się
nad grobem
pogłaskałem kamień

Zrozumiałem że „To się złożyło”
wypełniło zamieniło się w koło
zamknęło w sobie stało się
doskonałe
To co było bezkształtne
niespójne niestaranne

wypełnione pracą i zabawą
rozdzierane
to co było lekkomyślne
pełne grzechu
i głębokiej wiary
w zbawienie
to co było szare i małe
drżące nieskore do pokuty
poszło do ziemi
przemienione

Ojcze powiedziałem
mój lekkomyślny staruszk
byłeś dla mnie zawsze dobry i zawsze bez grosza

wreszcie zostałeś moim dzieckiem

Kiedy byłem u ciebie po raz ostatni
(to były twoje 90. urodziny)
uchyliłeś ostrożnie drzwi
w twoich niebieskich zgaszonych
oczach
była dal zdziwienie
nie poznałeś mnie

wracaliśmy do siebie powoli

twój uśmiech „to ty Tadiusz”
pamiętam jak powiedziałeś
„napisz coś poważniejszego jak Reymont!
twoje książeczki są takie cieniuchne...”

pokusy

jakie pokusy czekają
na starego poetę?

żeby znaleźć się w piaskownicy
z dadaistami! (...)
mężczyzna to duże dziecko
tym bardziej poeta

Stary poeta ma prawo
a nawet obowiązek zdziecinnieć
tym bardziej że dzieci
to podobno jedyni mieszkańcy nieba
na ziemi... Villon Jarry Arp Breton
Francis Tzara Tristan Tzara Marcel
Breton André Duchamp Vincent Ray
Man Maria Cocteau Iwan Goll
Theo Éluard to moi koledzy po
piórze rozbrykane dzieciaki
na padole łąz

Dadaści byli tak rozbawieni
że nie zauważyli
schludnie ubranego pana
który obłożony gazetami
zagłębiony w gazetach
nie bywał w „Café de la Terrasse”
ani w „Cabaret Voltaire”
mieszkał w Zürichu
na Spiegelgasse 14
zatopiony w muzyce Beethovena
nie zauważył narodzin Dada
w dniu 8 lutego 1916 roku
o godzinie 6 po południu
w tym czasie zajęty był
notatkami do dzieła

*Rewolucja socjalistyczna
i samostanowienie narodów
może pisał Der Imperialismus
als höchstes Stadium des Kapitalismus
choć Spiegelgasse
to ciasna uliczka
ojciec rewolucji październikowej
Lenin Uljanow i ojciec Dada
Tristan Tzara nie poznali się
nie czytali swoich dzieł
redagowali gazety ale „inne”
być może ze szkodą
dla dadaistów i bolszewików
te międzynarodowe ruchy
wykluczały wszelkie odchylenia
czasopismo „Dada” miało
inną szatę graficzną niż „Prawda”
caca dada praw dada praw
Tzara i Trocki
nie doczekali wszechświatowej
rewolucji Soso też pisał
wierszyki
i załatwił wszystkich
rewolucjonistów i poetów
przy pomocy różowej bombonierki
ozdobionej piękną czerwoną kokardą
nawet twardy Gorki połknął
słodką przynętę i odszedł
w samą por... bomba!*

PS

Fußnote und Versfüße (przypisy itp.)

1. imiona dadaistów zostały zmienione
żeby uczony zoil mógł wykazać
autorowi ignorancję i braki w wykształceniu
wyższym (ale niepełnym)
tylko wtajemniczeni w dada odkryją

interpolacje wprowadzone do
intertekstualnych trocin którymi
podstępny senior nihilista
wypycha swoje podejrzone
wyroby

2. stary poeta poznał już
wszystkie tajemnicze zakątki
parnasu poznał Jambusa – –'
Trochäusa –' – Fiutasa
nieobcy był mu Daktylus –' – –
znajomy smutny Spondeus –' –'
wdzięczył się do niego Choriambus –' – – –'
a przecież wybrał wolny wiersz
aby opisać nos swojej muzy

3. na stare lata poeta
wybrał się w odwiedzin
do Zürichu gdzie czekał
na niego profesor German Ritz
i pan Dada i pan Lenin
i moja stara znajoma z Krakowa
piękno-oka Roma

4. znów zgubiłem wątek
i już go nie odnajdę
kawiarnia dadaistów w Zürichu
była zabita gwoździami
rewolucja październikowa
zamieniła się w muzeum figur woskowych
sympatyczna pani Joanna
ogłosiła koniec komunizmu
dnia 19.08.05 otrzymałem
od Romy karteczkę z Zürichu
„wydeptuję uliczki starego miasta,
raz się wspinam, to znów schodzę
w dół. Bardzo to malownicze, trochę
jak z bajki. Do tego dużo mostów

i wody. Muzeum nieźle zaopatrzone”
(...)

5. Lenin zwierzył się Gorkiemu
że mógłby słuchać Sonaty f-moll
(Appassionaty) co dzień...
(itd.) czy Tristan Tzara słuchał
Beethovena z równym wzruszeniem
i nabożeństwem? nie wiem

6. Profesor German Ritz zrobił mi
zdjęcie na tle zamkniętego lokalu
dadaistów i drugie pod domem
w którym mieszkał Lenin, ale
zdjęcia zaginęły – podobnie
jak Profesor, pisałem do niego,
nie daje znaku życia.

7. różowa bombonierka którą
Soso otruł Gorkiego nie jest
moim wymysłem, informacji
na ten temat dostarczył mi
pisarz Józef H. który był
przyjacielem Króla Stasia Poniatowskiego
(bywał w teatrze na wodzie itd.)

8. kiedy czytałem wiersze dadaistów
doszedłem do „wniosku” że:
nieznajomość francuskiego ułatwia
mi zrozumienie konfucjusza
natomiast (słabnąca z latami)
znajomość języka niemieckiego
utrudnia zrozumienie dlaczego
reich ranicki był papieżem
niemieckiej literatury
Breton André Duchamp Vincent Ray
Man Maria Cocteau Ivan Goll
Theo Éluard to moi koledzy po

piórze rozbrykane dzieciaki
na padole łez

minuit définitif
accolade des coucous
progression des coucous
cacadu oxygéné
daumenhalt auf mist
reichbohne singt

Wrocław, 2004–2005

Odaliska Ingres'a

kiedy pierwszy raz ją ujrzałem
pomyślałem
jest jak wąż z sonetu
Adama Mickiewicza
co śliską piersią dotyka
się ziola
nie wiem do dzisiaj
gdzie wąż Wieszcza
ma pierś gdzie łono
wyżej niżej?
odaliska była zwinięta
jak wąż
pod wpływem ciepła
i światła zaczęła się rozwijać przeciągać

pozbywała się szat
płynęła przez wszystkie
sale Luwru
ktoś powiedział do mnie
„nagość była sakralna
to znaczy nieczysta...”
ktoś w sto lat później

(przyprawił)
przykleił do twarzy Odaliski
maskę małpy
to gdzieś w Wenecji na
tym ostatnim biennale
sprytny artysta wizażysta
zamiast klapsa i kopa w d...
dostał brawko
była frajda
fajne było to 51. biennale w Benatkach

Alla Biennale di Venezia
„tutto e perduto anche il pudore”
(„stracono wszystko łącznie ze wstydem”)
pisał w lipcu 1964 roku M. Porębski

Zwiastowanie

zwiastowanie poezji
budzi w człowieku
pełnym życia
popłoch

odblask słowa
wyzłoczonego w ciemności
język ognia
nad milczącą głową

głowy rówieśników
potoczyły się dalej
bilardowe kule
na zielonej łące

młody człowiek
odpycha skrzydlate słowo
uśmiecha się

wzrusza ramionami
nie lubię poezji mówi
nie wiem co z nią zrobić
jest zagubiony opuszcza
dom rodzinny

zmęczony wędrówką
klęka nad zwierciadłem
przestraszony ucieka
i nagle staje się poetą

zakochuje się
w sobie
połyka go horror vacui
poeta napętnia
pustkę słowami
tak długo czerpie
ze źródła aż dotknie
kamienia
po drodze gubi słowa
ślepnie zapala żółtą
małą świecę
w obliczu ogromnego słońca

źródło z którego płynie
poezja żywa
jest obok

ciemne postacie
myją w nim ręce
z których spływa krew

bezpański pies
chłepce w ciszy
wodę

1995 r.

związanie

związanie poezji
budzi w człowieku
pełnym życia
nieufności i popłochu

odbłask słowa
wyłoboszonego w ciemności
język ognia
nad mierzącą głową

głowy ~~innych~~ innych
potoczyły się ~~dalej~~ poleciały
poleciały gadające kule
głowy oddaliły się od siebie

młody człowiek
odpycha uszkodyłone słowa
nie lubię poezji
nie wiem co z nią zrobić

"to" spadło na mnie ~~dalej~~ nagle
nie wiem co "z tym" zrobić
uśmiecha się tajemniczo &
wzrusza ramionami

jest ~~z~~ zakłopotany
opuszczam ~~miejsca~~ miejsca nawiedzone
~~moje miejsce, miejsce, miejsce~~
~~to~~ mnie ~~dotyczy~~ dotyczy

ciężki portaw
nóg w ram ręk
z którego spływa
krw
wzrastają nies
chłynie w ciemny
mstny wstę
poeta zakrywa twarz
płacz

przebiegają
do życia
poeta

przebiegają po myślowym
próbie i odbiciu
i wariantem moim

ale moja głowa
wpełnia głowę
bryła pasem światła
romantycznie
głowy ~~dalej~~ dalej
potoczyły się dalej
gadające kule
na i słone, to

młody człowiek
odpycha słowa
Zamyka się

Wskazywał się
tajemniczo
nie było otw
podekła języ
zostawiając
wargi

opuścił stronę
rodzinną
boi się skryć
kieruje się od siebie bogu słońca

Podczas rozmiaru

nie wyprowadziane

} zaraz ~~zaczniemy~~ rozmowę
słowa zastają na chwilę
to w się stało

zaraz ~~zaczniemy~~ rozmowę

wtresniej

~~Wszystko~~ poza nami poza domem
bez wyjścia

słowa stają się
berdomne

berdomne słowa

~~Wszystko~~ ^{o tym} jeszcze nie wiem
~~to wszystko~~ ^{głównie} jest }

wyciągasz do mnie ręce
myślisz że jestem
w tym miejscu
gdzie mnie zostawiłaś

uśmiechasz się oglądasz
odchodzisz ~~zostawiasz~~
w ślepej ulicy

w ciemności

stoiś w ~~ciemności~~ czerwonym świetle

nieuchwytalna niejasna
prawda dociera prosto
do twojego serca

słowa ^{stają} ~~stają~~ berdomne

1995



nie wypowiedziane

zaraz zaczniemy rozmowę
słowa zasłonią
to co się stało
wcześniej
poza nami
bez wyjścia

jeszcze nie wiesz o tym

wyciągasz ręce
myślisz że jestem
w tym miejscu
gdzie mnie zostawiłaś

ogładasz się
odchodzisz
w ślepą ulicę

stoisz
nieruchoma niejasna
prawda dociera powoli
do twojego serca

nasze słowa stają się bezdomne

W środku życia

Po końcu świata
po śmierci
znalazłem się w środku życia
stwarzałem siebie
budowałem życie
ludzi zwierzęta krajobrazy

to jest stół mówiłem
to jest stół
na stole leży chleb nóż
nóż służy do krojenia chleba
chlebem karmią się ludzie

człowieka trzeba kochać
uczyłem się w nocy w dzień
co trzeba kochać
odpowiadałem człowieka

to jest okno mówiłem
to jest okno
za oknem jest ogród
w ogrodzie widzę jabłonkę
jabłonka kwitnie
kwiaty opadają
zawijają się owoce
dojrzewają

mój ojciec zrywa jabłko
ten człowiek który zrywa jabłko
to mój ojciec

siedziałem na progu domu
ta staruszka która
ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza
i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójcą

to jest człowiek
to jest drzewo to jest chleb

ludzie karmią się aby żyć
powtarzałem sobie
życie ludzkie jest ważne
życie ludzkie ma wielką wagę
wartość życia
przewyższa wartość wszystkich przedmiotów
które stworzył człowiek
człowiek jest wielkim skarbem
powtarzałem uparcie

to jest woda mówiłem
gładziłem ręką fale
i rozmawiałem z rzeką
wodo mówiłem
dobra wodo
to ja jestem

człowiek mówił do wody
mówił do księżyca
do kwiatów deszczu
mówił do ziemi
do ptaków
do nieba

milczało niebo
milczała ziemia
jeśli usłyszał głos
który płynął
z ziemi wody i nieba
to był głos drugiego człowieka

1955

Oktostychy

Zbyt wysoki Twój tron, o Boże!
jakże mi z wysoka pomożesz
Puszczasz z fajki chmury i słońca
n i e b o modra puszcza płonąca
I nie widzę manny w pustyni
kto się za mną u kogo przyczyni?
Lecą z nieba białe obłoki
Bóg króluje w chwale wysokiej.

6 X 1941 r.

Księżyc jest jak wycinanka
srebrny okrągły i naiwny
niebo i chmury kształtem wianka
spiecione w wieczór dziwny
Firanki w oknie jak motyle
trzepocą białym skrzydłem
świat cały zda się w taką chwilę
być bajką, snem, mamidłem.

XI/XII 1941 r.

Stara panna

Życie jest jak sentencja
w imionniku starym.
Cisza, pustka – mrok przyszedł
i drzemią zegary
Między zieleń pachnącym
mruczą bure koty
biała ręka rozdaje
zgubione pieszczoty.

Może

W czterech ścianach pokoju
jak w pachnącym zielniku
jesteś schnącą rośliną
blada obca dziewczyno,
może jesteś snem tylko
snem o sobie prześnionym
księżyc ujrzął twarz twoją
i przystanął zdziwiony.

Zakonnica

Ktoś odszedł i nie wróci
Ktoś tęskni ktoś się smuci
komu usta czerwone
komu ręce liliowe
Jakieś po nocy słowa
i korona cierniowa
dusza cicha i pusta
i twarz biała jak chusta.

Dyskusja

A, zapomniałem...

patrząc na ogromny platan
na jego zieloną pełną blasku koronę
na pomarańczowy pień
pokryty szarymi plamami
pomyślałem
że trzeba wrócić do domu
i napisać ten poemat

o 65 letnim poecie
który na pytanie
co pan pisze co pan ma na warsztacie
odpowiada z uśmiechem
(kryjącym zakłopotanie)
nic nie piszę
nic mam na warsztacie

ale inni poeci
piszą nieugięte poezje
i nieugiętym głosem
wygłaszają je
dla
równie nieugiętych słuchaczy
wolnej Europy

Wszystko jest poezją

Oczywiście ta banalna i tylko
do połowy przemyślana pół myśl pół prawda
pół idea nie jest oryginalna (ale zasłyszana)
i dlatego znalazła natychmiast legion
bezmysłnych entuzjastów i naśladowców

którzy pragną podciągnąć również
swoje liche wiersze pod miano poezji
bo przecież: jeśli wszystko jest poezją
owszem wszystko jest poezją – prócz złych wierszydeł
oczywiście można mówić
że każdy człowiek jest artystą
każda kobieta Kleopatram i świętą Katarzyną
każdy mężczyzna Casanovą i Cezarem
każdy przedmiot jest dziełem sztuki
(np. deska sedesowa, wieszak, kopyto)
każdy jest twórcą
oczywiście!
każdy jest poetą
ale nie każdy jest dobrym poetą

Dlaczego autor, który tłumacząc się
powiada: Bo ja tak czuję, jest raczej
śmieszny. I lepiej by – no właśnie, milczał.

Każde dzieło sztuki jest aniołem
Każdy obraz jest milczącą myślą
każdy obraz jest wstrzymanym oddechem
jest otwarciem na nieskończoność
która zaczyna się zaraz pod powierzchnią
obrazu – powierzchnia krajobrazu uwodzi
amen

jubilusz

prosi mnie pan o
~~nowy~~ "nowy wieś"

biada w tym
że ten wieś
gdzieś mi się zapodział
szukam gorzkiego

gdzieś mi się zapodziały
okulary

gdzieś mi się zapodziała
kraina ~~serca~~ młodości

nie widzę zegarka
gdzieś się zapodział
czas

mój czas

a pan mnie prosi
o coś

o nowy
niemamy mi jeszcze
wierszyk

(1921-2011. Wrocław)

T. ROŻEWICZ

* * *
Włókacz uwarcił dotyk za
najważniejszy ze zmysłów
według ~~Włókacza~~...

dotyk potwierdził świat realny
i był wysuniętym w rzeczywistości
narzędziem (ramieniem)

jego „duszy”
(naszego ja)

ale to wszystko było
bardzo bardzo dawno
za siedmioma górami
za siedmioma rzekami
kiedy toczyły się spory
o istnienie świata

kiedy środkiem i chwalebnie
było umierać za ojczyznę

nie za baryłkę ~~ropy~~
ropy za czarne złoto
za złotą cegłę

za złotego cielca który się wściekł
i zdychał z przeżarcia

T. Różewicz w młodości

dotykaniem widziadłem
lepiej niż wzrokiem
formy
i powierzchnię materii

wzrokiem dotykaniem
kolorów w ciemności



Mozaika bułgarska z roku 1978

I

czarny kamyk
biały kamyk
niebieska muszelka
czerwone wino
czarny kamyk
żółty czarny
brak kamyka
w mozaice

kamyk który zginął
wypadł po drodze
do domu pisarza
w Sitniakowie w Bułgarii
w lipcu 1978 roku

brak kamyka w mozaice
przywraca kamykowi
kształt
puste miejsce
po kamyku skupia na
sobie uwagę

strumień turkusowych kamyków
kamyk żółty kamyk zielony
czarny

przeszedł Człowiek
dobre utro
dzień dobry

obejrzałem się za nim
portki jak stary worek
na jednym pośladku
czarna dziura

na drugim łąta
jak słonecznik

oddala się
błękitnieje
płowieje
wybielony
wietrzeje
otoczyły mnie skały
wypalone trawy
mchy kamienie
w nozdrza uderzył
zjęłczały ostry zapach
kożucha sera
na skale stał brudnożółty
rogaty cap

przeszedł człowiek
pomyślałem
i tak będziemy się mijali
do końca
i po końcu świata
obejrzałem się za nim
na jednym pośladku dziura
jak słonecznik
na drugim czarna łąta

II
pada deszcz
deszcz pada
i pada
pijemy herbatę
czeren czaj
w pałacyku myśliwskim
Cara Ferdynanda
i Cara Borysa
wypchany orzeł

„erlegt von SR. Kön. Hoheit
Fürst Ferdinand I. von Bulgarien
Rimaszégs 9 XII 1904“
Rogi jelenia
„erlegt am 21. Januar 1912
Hirschpark
Bartkowa“

Schlafzimmer
na ścianie kalendarz rok 1906
„Verlag der Neuen Photogr. Gesell.
Steglitz – Berlin
März
Meistersinger Fanget an!
So rief der Lenz in den Wald
April
Parsifal Der Winter floh
und Lenz ist da
Erwache! Erwache dem Lenz!“

obok wiszą sztychy i oleodruki
Josef Chelmonski
Polowanie na cietrzewia
Otto Recknagel München 1887
Gestörte Liebeserklärung
(na obrazku widzimy
jak lis zagryza tokującego
głuszca samica odlatuje)
Hans Rudolf Schulze
Gralzburg

„In fernem Land
unnahbar euren Schritten
Liegt eine Burg,
die Monsalvat genannt...“
i jeszcze
ręcznie malowana laurka

Borysa dla Ojca
1 grudnia 1907 rok Sofia
czerwone róże

Kiedy pan odjeżdża
„kogá zaminawáte”
czytam rozmówki bułgarskie

Odjeżdżam jutro
za tydzień
za miesiąc
„zamináwam útre
sled edna sédmica
sled edin mésec”

i Mickiewicz odwiedził
Bułgarię
„i Mickewicz e posetił
Bałgárjija”
Król Polski Władysław
Warneńczyk zginął
pod Warną
„pólskijat krał Władisław
Wárnenczik zagina pri Wárna”

czytam rozmówki bułgarskie

pada deszcz mgła za oknem
przeszła stara poetka Kalina Malina
zdaje mi się że pisze bajki dla dzieci
a może dla dorosłych

chodzę po pokoju ziewam
za ścianą albo w ścianie
w suficie w starej szafie
stukanie – (maszyn)
to panie

piszą erotyki
dla dzieci
ziewam przeglądam
pożółkłe karty
„Dîner le 28 Mai 1901
Potage d’orge
Gigot d’agneau garni
Pulet (a może poulet?) nouveau
frits
Pudding Diplomat
Dîner le 10 Mai 1901
Potage crème d’oseille
Langue de boeuf
aux pinards
Poulets rotis
riz. Salade
Choux-fleurs Sce. holland.
Poudingue”
i co jeszcze jedli
„caviar
miroton salade
viandes”
jedli i jedli
mój boże takie małe
carstwo a tak jedli

a my? też nieźle
„jajca wardeni
jajca na oczci
grach
piper
grozdowa rakija”

sery owoce kefir
a gdzie menu
tego człowieka
co mi zaginął

przeпадł
za zakrętem historii
w drodze na Borowec

1978–1994

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Jeszcze próba

Poezja to nie skok barbarzyńcy, który poczuł Boga, poeta to nie osobnik, którego określono mianem mistyka w stanie dzikim... uroczę powiedzenia... Teraz: poeta to osobnik, który poczuł nicość Nic. Nic szaleje. Przystanek: ciało. Ale ono się szybko rozkłada. Trwoga. Jak trwoga, to do Boga...

Nie karać, ale wychowywać

Każdy z nas każdy człowiek nie tylko chrześcijanin ma swój krzyż nosi swój krzyż dźwiga swój krzyż od dziecka przez całe życie do śmierci... ktoś mu pomaga w niesieniu tego krzyża – w krzyżu dla wierzącego jest nie tylko zbawienie ale cierpienie nadzieja i radość – znak krzyża krzyż jest i był dla mnie symbolem o niezwykłym znaczeniu... doczekałem czasów kiedy krzyż został zamieniony w amulet gadżet biżuterię... byle dama albo dziewczka która wystawia na sprzedaż swoje cycki która nosi i obnosi swoje cycki jako najcenniejszą „część” swojej osobowości – obok oczywiście (!) tyłka – byle gwiazda gwiazdka idiotka „artystka” która rozkłada nogi na reklamach w filmach (przeważnie amerykańskich) byle słynna madonna trzyma się krzyżyka albo krzyża... trzyma krzyżyk między cyckami wypchanymi przerobionymi przez specjalistów od upiększania...

Stało się. Dziewczyna przeciętna „artystka” pozbawiona wyobraźni uboga duchem godna litości wiesz na krzyżu genitalia męskie, robi się z tego „proces”, widowisko, cyrk... dziennikarze (a może krytycy?) bronią „dzieła” biduli, krzyczą o „wolności sztuki”... Tak! „wolność sztuki” podobnie jak Wolność jest czymś najwyższym... ale nie można i nie wolno każdego śmiecia każdego produktu byle jakiej wyobraźni i kurzego intelektu przedstawiać jako „dzieła sztuki”... Ludzie

idźcie wreszcie po rozum do głowy! Można być wierzącym, niewierzącym, nie-wierzącym, niepraktykującym ale nie wolno robić z krzyża zabawki dyndającej między cyckami wystawianymi na sprzedaż na byle targowisku piosenki festiwalu filmu książki na prymitywnych pornograficznych występach półgłówek w TV! „Fundamentalisci” ucinają głowy „niewiernym” ludzie naszego kręgu cywilizacji i kultury głów nie ucinają ale powinni z cierpliwością i miłosierdziem pouczać jednostki infantylnie o małym mózdzku... że sztuka wiara kultura to są wartości które człowiek zaczął już tworzyć w jaskiniach... że był jakiś Rembrandt, Goya, Dürer... że istnieje gdzieś Kaplica Sykstyńska...

Panience z Gdańska, która chce być artystką, życzę żeby zapoznała się z małą książeczką – Paul Valéry, *Degas, taniec, rysunek* ta książeczka pomoże w zrozumieniu, że jej osławiony krzyż jest zwykłym „knotem” i nie ma nic wspólnego ani ze sztuką ani z wolnością sztuki... Jak dorośnie i dojrzeje może będzie mi wdzięczna? I niech nie słuca swoich obrońców.

Poeci, pasztet i katedra

Dnia 15 września 1829 roku nasz poeta Adam Mickiewicz z młodym przyjacielem Edwardem Odyńcem znaleźli się w Strasburgu. W liście do kraju Odyńec pisał: „Strasburg dwiema rzeczami sławi się u świata: katedrą i pasztetem...”, a że łatwiej dobrać się do pasztetu niż do katedry (*entamer le pate que la cathedrale*), więc najpierw Odyńec opisał pasztet i jego produkcję, gęsie wątróbki i trufle... Odyńec opisuje karmienie gęsi i męczarnie gęsi... wreszcie smak pasztetu.

W drugiej części listu Odyńec opisuje katedrę, a przede wszystkim – wieżę: „wysokość jej jest 490 stóp, a jej pierwszy architekt nazywał się Erwin von Steinbach”...

Nie będę streszczał całego listu Odyńca z 1829 roku. Muszę wtrącić parę słów o sobie.

Przed wielu laty i ja byłem w Strasburgu, byłem krótko, może dzień, może trzy dni... wiem, że byłem w katedrze i w kościele św. Tomasza, i na starym

mieście. Na wieżę nie wspiąłem się, choć wiedziałem, że sam Goethe wypróbował na niej swoją odwagę, przewyciężając lęk przed utratą równowagi, lęk przed upadkiem.

Nie wiem, czy nie ma tam teraz wygodnej windy dla turystów... zresztą Państwo macie możliwość to sprawdzić...

Jeśli można się zakochać w wieży – to i ja zakochałem się w tej wieży... jako wielbiciel i czciciel dwóch największych poetów romantycznych Europy.

Wyznam natomiast, że wstydzę się, że nie próbowałem nie jadłem, nie smakowałem pasztetu strasburskiego z wątróbek udręczonych i umęczonych gęsi... ze wstydem też przyznaję, że nie widziałem nigdy i nie próbowałem truflii, choć wiem, że przepadają za nimi ludzie wysokiej kultury i polityki...

Mistyka i metafizyka kuchni, metafizyka i mistyka poezji i architektury są w duchowym jadłospisie współczesnego człowieka i poety – bo poeta też jest człowiekiem – równouprawnione.

Bodaj stary niemiecko-polski szlachcic i filozof Fryderyk Nietzsche powiedział, że filozofia i myślenie zależy od tego, co się je... Inaczej myśli i filozofuje ktoś, kto je kaszankę z kapustą do piwa, a inaczej smakosz, konsument pasztetu z gęsich wątróbek i truflii... do szampana!

Co jest zdrowsze dla poetów, tego nie wiem, bo w ostatnich latach XX wieku straciłem apetyt... przyszedł wiek XXI – doczekałem czasów, w których Harry Potter wypiera z głów i serc Homera; King-Kong Apollina...

Mawiało się w dawnych czasach, że poeta jest kapłanem i błaznem. Nietzsche gdzieś powiedział: „*Nur Narr! Nur Dichter!*”... i tak dalej, i tak dalej...

Zacząłem 87. rok życia, piszę wiersze od 70 lat... i nie wiem, kim jest poeta... ale wiem, że nie jestem ani kapłanem ani błaznem.

Jestem człowiekiem, człowiekiem, który pisze wiersze.

Strasburg, 1 marca 2008



Wrocław, ul. Promień 16, 17 czerwca 2006.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem (fragmenty)

U mnie, jak w każdym warsztacie starego rzemieślnika, są różne skrawki, gwoźdźniki, skórki, linki. Coś więc dla pana znajdę. Ale zdradzę panu coś, tylko proszę tego nikomu nie powtarzać: Nie chce mi się.

Mnie źle interpretują! Prawie wszyscy!

Zapytałem o Boga, o *sacrum* w życiu i w jego twórczości. To jest! – powiedział. Ale ja pana nie wezmę za rękę i nie zaprowadzę na górę, skąd to widać. Sam pan musi udać się na tę wędrówkę.

Kiedyś prowadziłem obszerną, bogatą korespondencję. Teraz już nie, bo to zajmowało mi mnóstwo czasu. Napiszę do pana krótką kartkę.

O dziennikarzach: To jest jakaś inna rasa.

Trzy godziny przed drugim meczem półfinałowym mistrzostw świata w piłce nożnej mówi, że z zaciekawieniem ogląda te mecze w telewizji i dziwi się, że ja nie oglądam. Gdy stwierdzam, że jest kibicem, odpowiada: proszę mnie nie obrażać. Jako chłopiec znał nazwiska najlepszych piłkarzy i grał w piłkę z kolegami, zawsze „na beku”, to znaczy na obronie (nie wiedziałem, co to znaczy). Wspomina, że grali w ustawieniu: dwa – trzy – pięć. Interesują go różne piłkarskie sformułowania, na przykład: „szanować piłkę”, czy „światło bramki”. Mówi, że teraz dla wielu światło bramki zastąpiło światło wiekiuste.

Jest chory, w złym nastroju. Spotkamy się w Toruniu, w listopadzie. Powiedział, że Toruń bardzo mu się podoba i że gdyby nie był tak stary, to by w Toruniu zamieszkał.

Redaguje pan dobre pismo. Tyle powinno panu wystarczyć, bo życzeń nie bardzo potrafię napisać. Tak jak nie potrafię wybrać „Trzech wierszy”.

Tak, jestem pesymistą, ale na pewno nie jestem nihilistą.

O nagrodzie Nike: Tak się bawią, a przy tym różni jurorzy, sekretarze itp. zrabiają.

Po piętnastu minutach, na zakończenie: Gdybym pana nie lubił, to nie rozmawiałbym z panem tak długo.

Rozmowa o dobru i złu. Mówi, że hitleryzm działał inaczej we Francji i inaczej w Niemczech, ale w obu przypadkach działał bardzo skutecznie. Powiedziałem, że zło jest inteligentne. Tak, powiedział, zło jest bardzo inteligentne, w przeciwieństwie do dobra. A jednak dobro zwycięża, powiedziałem i przytoczyłem sławny cytat z początku części pierwszej *Fausta*, odpowiedź Mefistofelesa na pytanie: „...kim jesteś ty?”. Ten kunsztowny, bardzo efektowny i chyba najslawniejszy cytat z *Fausta*, to nie jest prawda, odpowiedział Różewicz, proszę spojrzeć na konstrukcję postaci Mefistofelesa, a i sam Goethe to nie był przecież duch ewangeliczny, to jednak była inna natura. Ma pan teraz zadanie do przemyślenia, zakończył.

Jest zmęczony, zniechęcony, ale uważny i czujny. Powiedział, że to dla mnie odegrał te sceny w Toruniu, w Dworze Artusa i że powinienem to opisać.

Ponowiłem zaproszenie do Bydgoszczy na spotkanie z cyklu „Mistrzowie literatury w Filharmonii”, ale powiedział, że pewnie będzie dużo ludzi, a on woli spotkać się kameralnie, to większy z tego będzie pożytek.

Tłumaczył, dlaczego nie przysłał wierszy. Powiedział, że czeka na moje opisanie tego wieczoru autorskiego w Dworze Artusa w Toruniu, którego byłem świadkiem. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 3/2002 (35) – przyp. mój, K.M.) Umówiliśmy się na telefon na koniec maja. Może przyjedzie do Bydgoszczy. Kiedy narzekał, usłyszałem w tle głos jego żony Wiesławy: Tylko mówisz, tylko zapowiadasz, wreszcie byś coś zrobił.

Od razu podniósł słuchawkę i powiedział, że chciał do mnie zadzwonić. Wybiera się w te strony, a więc i do Bydgoszczy, w kwietniu. Dzwonił dziś do niego Miłosz i rozmawiali o jakimś starym wierszu, nie pamiętał tytułu. Mówił, że dzwoni do Miłosza, że lubi słyszeć jego głos: To tak, jakby był kontakt fizyczny z człowiekiem, słyszeć głos.

Czyta Czechowa. Powiedział, że Beckett, Kafka odeszli, zapadli się – jego stare miłości.

Pisze wiersze, obiecał, że przyśle. Narzekał na oczy, że coraz słabiej widzi.

Dostał zaproszenie do Kanady, ale nie pojedzie, bo to jest bardzo męczące: siedzieć na sesji i słuchać długich wypowiedzi na swój temat.

Spał, ale przebudził się i podszedł do telefonu. Narzekał, wycofywał się, ale był zainteresowany.

Przygotowuje materiały do bloku, który będzie w „Kwartalniku” jemu poświęcony. Powiedział, że jest dziś skapcianały przez pogodę, ale jednak był ożywiony i rozmowny. Norwida odłożył, jak zaczęła się ta heca z prochami poety.

O Tadeuszu Micińskim mówi, że to samobójstwo literackie na własne życzenie – język! Słowacki był inteligentniejszy od Mickiewicza – głębsza ironia, autoironia, ale Mickiewicz jest największym polskim poetą. *Drugą przestrzeń* Miłosza przeczytał i odłożył – tak czyta, że wraca po kilku tygodniach do przeczytanej książki.

Pyta się, czy materiały doszły. Tak. T.R.: Jak będzie? Mówię, że najpierw idą rękopisy i wiersze, a potem *Kartki*. T.R.: Tak, dobrze. Pytam się, co to za książka, której zniszczony grzbiet zobaczyłem na fotografii na jego biurku. T.R.: To z tyśiąc osiemset dziewięćdziesiąt któregoś, pierwsze wydanie Mickiewicza.

Rozmawiamy o zdjęciach w „Kwartalniku”. Dają portrety, większe, mniejsze lub i większe i mniejsze. Nie za dużo daje pan zdjęć? Każdy chce mieć swój portret. Dla mnie to jest galeria. Foto-Dorys w 1947 i 48 robił zdjęcia wszystkich młodych pisarzy, *en face* i z profilu. Konwicki, Bratny...

Mówi o miałości dzisiejszej poezji – „Tadeuszu, to od ciebie wyszło” – powiedział Przyboś, o wszechobecnej postmodernistycznej bylejakości, o imitowaniu zręcznym, a nawet sprawnym warsztatowo, o pustce całej dzisiejszej sztuki rozsławianej przez tabuny idiotów w telewizji („telewizja to siedlisko idiotów”) i w innych mediach. To jest jakieś błędne, czy obędne koło, a on nie ma sił z tym walczyć, coraz mniej go to obchodzi, ma dosyć, nie chce mu się. Czy pan to rozumie, panie Krzysztofie? Nie chce mi się.

Przypomniał, żebył napisał studium o *Et in Arcadia ego* i o *Tryptyku rzymskim*. (Patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 2/2006 (50) – przyp. mój, K.M.)

Powiedział, że poezję czuje, rozpoznaje przez skórę, na odległość. Gdzie jest dziś poezja? W Krakowie?

Mówił o młodych spryciarzach i cwaniakach, którzy kombinują, jak sprytem albo fuksem dostać Nobla.

Literatura ode mnie odpływa. Stoję na brzegu i widzę, jak odpływa. I widzę na krach różnych literatów, jak skaczą i machają rękami.

O wierszach Różyckiego: Na czym to polega?

Niech pan ogłosi w „Kwartalniku” strajk poetów.

Mówił o rygorze w poezji: sonety, tetrastychy, tercyny, forma.

Pytał o poezję, prozę i eseje, jakie przysyłają do druku. Powiedział, że największe możliwości są w eseju, bo i filozofia się w nim mieści i teologia.

Zapytał, czy jest taka książka, która mną wstrząsnęła i stała mi się bliska, zaprzyjaźniłem się z nią i kładłem się z nią spać pod poduszką.

Podziękował za przysланą książkę pt. *Ten biedny Mickiewicz. Zapiski z początków towiańszczyzny* Antoniego Ostrowskiego. Widzę, że pan też podkreśla przy czytaniu. Przeprosiłem, że nie wymazałem, ale już nie zdążyłem przed wyjazdem, a chciałem jak najszybciej wysłać. Moje książki są z samych podkreśleń robionych od pięćdziesięciu lat różnymi ołówkami – powiedział. To można łatwo rozróżnić i zobaczyć, jakimi fazami moja lektura przebiegała.

Zapytał, czy coś nowego, ciekawego się ukazało. Powiedziałem, że nic takiego, oprócz nowej prozy Jurewicza. T.R.: Zła, kiepska literatura wychwalana jest przez krytykę na zamówienie wydawców. Pokazowy numer to *Harry Potter*, którego ilość egzemplarzy idzie w miliony. Promocja jest wyjątkowa. To jest celowe obniżanie poziomu, wychowywanie publiczności. W tym pomagają także głupie piosenki, zła plastyka, fotografia. I ci mierni wychowują miliony odbiorców, którzy potem mówią: To nam jest potrzebne i wtedy tamci mówią: My spełniamy życzenia publiczności. To przebiega podobnie jak zbyt ubrań.

Popsuto nawet budownictwo sakralne, na przykład Licheń – monumentalna grafomania architektoniczna. Ja to obserwuję, byłem tam kilka razy. Nie uznaję *Golgoty* Gibsona. *Pasji* – mówię. T.R.: Tak, tak to się nazywa. To jest niepotrzebne, haniebne dzieło. Na przykład: gazowanie ludzi nie może być przemienione w dzieło sztuki. *Pieękło* Dantego to piękne, genialne obrazy, ale robić z tego film! Wolę filmy dokumentalne – sztuka zniekształca, szczególnie filmy artystyczne. Dlatego nie obejrzą *Katynia* Wajdy.

Pytam, czy coś napisał, czy coś pisze. Ja poszczę! – odpowiada. Teraz jest Wielki Tydzień.

Rozmowa z panią Wiesławą: mówi, że zmarł ich syn Jan, jest żałoba, spotkała ich najgorsza rzecz, jaka może spotkać rodziców.

Mówi: Minutkę, tam przygaszę, żeby mi nie przeszkadzało. Czekanie. Pyta się, czy wybieram się na targi. Nie. T.R.: Niech pan się nie spieszy, żeby nie było za wcześnie, niech pan jeszcze parę lat poczeka. Część tej kultury jest mi zupełnie obca, nie biorę w tym udziału. Coś zwyrodniałego jest w tym. Niektóre rzeczy są śmieszne, ale jest też w tym pierwiastek tragizmu.

Ludzie wychowują się na telenowelach. Nie czytają albo czytają jakieś prymitywne teksty. Oświadczono, że nie ma żadnych kryteriów. Wszyscy mogą wszystko, byle kto. To był początek. Jak oni mogą rozumieć parodie, pastisze, teksty satyryczne, ironię i humor z *Kup kota w worku*? To się teraz sprawdza, ale niestety na serio.

Następują niepowetowane szkody. Powstają niezliczone blogi. Wszyscy piszą, jeden przez drugiego. To się kiedyś źle skończy. Między kulturą a techniką nastąpił olbrzymi rozdźwięk.

Treny, cmentarze. Kogo się dziś wspomina?

W telewizji, w internecie kuchnia stała się liturgią, mistyką. Mówią, żeby się gimnastykować i pić mleko.

To, co się ogląda w telewizji – czy to się dzieje na świecie, czy co innego? W latach 1929–33 był wielki światowy kryzys. Teraz powtarza się w dużo gorszej, bo w anonimowej formie.

Pan Bóg mówi: Nie jestem Bogiem umarłych, lecz żywych. Dostał pan *Wycieczkę do muzeum*? To jest opis mojej pierwszej wizyty w Oświęcimiu, w 1946 roku. Potem napisałem wiersz pt. *Warkoczyk*. Proszę przeczytać *Nową szkołę filozoficzną*, tam jest to wszystko w załączku powiedziane.

Nie udzielię już prawdziwego wywiadu. Pan się kiedyś dowie, jaką monetą się płaci.

Przypomniał to, co napisał w wierszu po śmierci młodszego syna, że nasze dzieci znają inni, a my ich dobrze nie znamy.

Życzę panu, żeby miał pan dobre sny, bo sny czasem są bardzo trudne do zniesienia.

Panu to dobrze. Ale proszę pamiętać, że nie może być za dużo wierszy. Wiersze w jakiś sposób rozkładają pisma. To działa: ten zalew wierszy na portalach. To jest jak z fałszywymi pieniędzmi. Te fałszywki są lepiej z r o b i o n e od oryginałów.

Czuję się źle. Kiedyś pana tu zaproszę. Nie zawsze mogę odpisywać. Proszę nikomu nie powtarzać, że źle się czuję.

Kota w worku nie został zrozumiany, bo parodie i pastisze są takie same jak rzeczy tragiczne. Wymieszało się to wszystko. Literatura bez satyry i ironii, bez humoru, komedii – co to za literatura? A mieliśmy Fredrę!

Pan siedzi w pustym pokoju? Tak. T.R.: A dlaczego sam? Wyjaśniłem. To ja miałem gorzej – mówi.

Pyta, jaka jest sytuacja „Kwartalnika”. Mówię, jak jest. T.R.: Trzeba ratować pismo! Skoro „Gazeta Wyborcza” i ten „Dziennik” Springera narzekają, dołączają torby, okulary, szampony...

Powiedział, że nie docenił wierszy Jasia (syna), ma jego jedyny tomik i napisze coś o tym.

Życzę panu dobrej nocy i żeby się panu nic nie śniło.

Niech pan poszuka w sobie diabła, a nie w literaturze. Niech pan diabła i anioła poszuka w sobie: od stóp do głowy. To jest najważniejsze i najciekawsze.

Spadłem do rzędu satyryków, teraz jestem humorystą – mówi. Zaprzeczyłem. Nie czytał pan *Kota w worku*? To ironia. Dedykuję to moim naśladowcom. Ale tam jest też poważnie – daję im wzór, wzory. *Przyj dziewczę przyj* – to wzór.

W jakiej sytuacji znalazła się literatura piękna? Czy jest jeszcze piękna, czy już nie?

Byłem w Krakowie, krótko. Spotkałem się z Jerzym [Nowosielskim – przyp. mój, K.M.]. I jak się trzyma? – pytam. T.R. (po chwili): Czego można się trzymać w tym wieku?

Opisałem krzyż Nowosielskiego w Tyńcu.

Często o panu mówimy, wspominamy tu pana.

Na czym pan pisze? – pyta. W notesach i na komputerze. – odpowiadam. Na komputerze nie da się pisać wierszy – mówi. Ja nie piszę wierszy. T.R.: No tak, ale pan pisze aforyzmy. Luksusowo pan żyje.

W związku z aforyzmami mówił o Pascalu, Novalisie, Kierkegaardzie i Jerzym Stanisławie Lecu. Powiedział, żebym ich uważnie czytał. Ale to pan jest materiałem i polem, proszę o tym pamiętać. Powiedział, że Hamlet był kretem.

Pytał o pobyty w Tyńcu, o moje tam rekolekcje, jak to nazwał. Dopytywał się o szczegóły. Był tym zainteresowany.

Jakie są wieści? – pytam. Wieści się kończą – mówi. Nie ma wieści. Się jest. Po trochu wszystko się kończy. Jest się. Nie jest się. Jednego dnia się jest. Drugiego nie ma. Czytam pisma, wydaje mi się, że coś jest, kiedy indziej, że nic tam nie ma.

Ile można interesować się literaturą? Nie interesuje mnie ten cały zgiełk, ten jarmark, te czy inne sensacje. Odszedłem, odsunąłem się od tego. Ale coś musi być w życiu – mówię. T.R.: Pan jest. Dzwoni pan, mówi, jest pan.

Spotkamy się jesienią, jak będzie chłodniej, będą padać deszcze, dam panu znać i przyjedzie pan. Mówię, że będę czekać na znak.

Byłem w Krakowie, ale wróciłem chory, chorowałem. Może to od powietrza – mówię. T.R.: To nie od powietrza. To od wieku. Stary już jestem, dla mnie wszystko już się kończy.

Teraz każdy gówniarz obchodzi po dwóch latach od wydania tomiku jubileusz. To wszystko stało się jednowymiarowe. Jestem stary, chory, coraz mniej mnie to interesuje.

Jest pan dla mnie coraz bardziej tajemniczy. Mówiłem już to panu, że jest pan tajemniczy. Być tajemniczym to jest atut. Pan o tym wie.

O planowanym spotkaniu i rozmowie: Pan by się natrudził, jechał taki kawał i siedzielibyśmy trzy godziny, a ja bym milczał. Tak jak Joyce z Beckettem – mówię. T.R.: Ale to by było moje milczenie, milczenie Różewicza i pana milczenie – milczenie Myszkowskiego.

Pan jako mistyk by mówił, a ja bym nic nie mówił i by musiał pan napisać książkę, może by to była pana najlepsza książka. „Rozległ się głośny uśmiech Różewicza” – tak by się skończyła, bo ja się nie śmieję, ja się uśmiecham i to też rzadko.

Musimy kończyć, muszę zaraz płukać gardło. Niech pan rozejrzy się po kosmosie, zajrzy na księżyc, czy tam nie ma wody albo ropy, czy może są tam agencje towarzyskie. Dobranoc, panie Krzysztofie, życzę panu zdrowia, sił, dobranoc panu.

Raz jest lepiej, raz gorzej. Jest tam pan, czy się zerwało? Jestem, słucham pana. T.R.: Nie ma czego słuchać. Czuję się nie najlepiej. Muszę zrobić pauzę. Jubileusz nie ma nic wspólnego z utworami. To są śmieszne historie. Dziewięćdziesiąty rok życia. Z czego się mam cieszyć? Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, tak to mija. Bliscy ludzie umierają, robi się coraz bardziej pusto.

Wszyscy kłęką te wierszyki. Czyta pan okienko z wierszem w „Gazecie Wyborczej”? Przecież tam nic nie ma. Coś wymyślają, to nie są wiersze, to jakieś kosałki opałki. Trzeba spoważnieć. Ten śmietnik się powiększa.

Albo spowaźniej albo nic z tego nie będzie. Może niech satyry piszą. Ale czy potrafią? Ta atmosfera jest okropna, to wszystko dokoła. Przecież pan widzi, co się dzieje, pan widzi, że niczego nie ma.

Proszę napisać do mnie, niekiedy odpisuję. Tylko wyraźnie, najlepiej na maszynie czy na komputerze. Napiszę ręcznie, dużymi literami – mówię. T.R.: Ręcznie nie, pan pisze tak nieczytelnie. Postaram się czytelnie, dużymi literami, tak jak pan, u pana to jest jak kaligrafia. T.R.: Proszę spróbować.

Może jeszcze napiszę o Miłoszu, o Andrzejewskim. Najlepiej byłoby się spotkać, ale teraz nie mogę, źle się czuję, pogoda, ciśnienie, a do tego jubileusz. Jubileusze to zawracanie głowy, kombatantstwo – ja się na tym nie znam. Teraz są podobno kombatanci z 1990 roku. Życzę panu powodzenia w redagowaniu pisma. Dobranoc.

Dzwonię z Torunia – Różewicz telefonował do Bydgoszczy. Mówi, że przyśle maszynopis, około dwanaście stron, *Kartki z dziennika gliwickiego*, były gdzieś drukowane, ale teraz poprawił, wprowadził niewielkie zmiany. Pytają ludzie, skąd wiersz *Unde malum*. Z Miłoszem po przyjacielsku się spierałem.

Teraz jest ten jubileusz i ciągle czegoś chcą. Przychodzą ludzie, siedzą, słuchają, a jak zapytać kogoś, co czytał, jakie ma książki w bibliotece, to milczy.

Pan walczy. W panu jest walka – mówi. Modelują mnie. Ja nie modeluję, to jest walka. Ale pan jest Krzysztofem Myszkowskim i pan zawsze będzie patrzył jak Krzysztof Myszkowski.

Jestem realistą, od kiedy zacząłem wierszyki pisać. To są różne stany. Nie jest się od rana do nocy poetą, i w łóżku i na sedesie. Nikt się nie rodzi poetą. Nie ma takiego gatunku ludzkiego. To się staje z czasem, z historią.

Mówi, że często myśli o Mickiewiczu. Tak, to skomplikowane historie. Ta iskra, później poezja. Żeby było ognisko musi być iskra.

A jak jest w Toruniu? Dawno tam nie byłem. Chyba ostatni raz, jak się widzieliśmy. Czy w Toruniu jest teraz huragan? Nie, jest spokojnie. T.R.: U nas pada deszcz.

Dziękuję za przysłane do „Kwartalnika” teksty. T.R.: Czy Kopernikowi nikogo nie dostawili? Zrobiła się moda na pomniki! Nie, to był kanonik, poważna osoba, musi stać osobno – odpowiadam. Przyśle *Oktostychy*, które napisał w latach 1940–1941 i właśnie znalazł zeszyt z nimi. Naśladowałem Iwaszkiewicza. Gdy mu je pokazałem, powiedział: Nieźle, nieźle, proszę pana, niektóre prawie tak dobre jak moje. On miał najlepszą prozę, opowiadania. Szkoła Bunina i Czecho-wa, trochę Turgieniewa.

Zapraszam do Torunia. T.R.: To może na wiosnę się wybiorę. Chcę zobaczyć Toruń.

Mówił o tomie pt. *Wycieczka do muzeum*, wydany przez Biuro Literackie. Jest tam *Napiwek* – opowiadanie o Dostojewskim, a na końcu jest *bez odwołania* – opowiadanie o Kafce. To jest zakończenie moich z nimi bardzo trudnych stosunków. Ja się z nimi rozstałem. Do Czechowa wracam, Czechow to przyjaciel, Kafka – nie. A Beckett? – pytam. T.R.: Proszę mnie nie wypytywać. Świetny był ten numer „Kwartalnika” o Becketcie. Jak on pilnował swojej sztuki, jak pilnował aktorów! Shakespeare w *Hamlecie* też pilnował aktorów.

Te *Oktostychy* to moje pierwsze wierszyki. Uczyliśmy się wszyscy. Przyboś od Tuwima, ja od Iwazkiewicza. Staff na końcu od pana – mówię. T.R.: A teraz byle gówniarz myśli, że on sam wszystko umie.

Notesik osiem na sześć centymetrów, małe wiersze, forma przystosowała się do natury, nie tyle forma, ile ilość wersów, nie mogłem pisać na ziarnku ryżu jak Chińczycy. Dwanaście małych wierszyków, sama obróbka nigdy nie jest przypadkiem. Piętnaście, szesnaście redakcji jednego wersu. Natchnienie to jedna rzecz, a rzemiosło – druga. Natchnienia się obrabia. Kawałek metalu jak spada – to jest natchnienie. A potem już warsztat: praca, obrabianie, talent. Pan to wie.

Gdzie pan teraz jest? W Toruniu. T.R.: Proszę pozdrowić Kopernika.

Mówi, że uzupełnia galerię obecnych twarzy. Nałkowska, najpiękniejsza – zdjęcie z lisem przerzuconym przez ramię, to są wizerunki idealizowane. Świadectwo żony Mozarta, do Saliergo: Mozart przypominał z profilu prosiątko z malutką bródką. To jest chyba w *Podróży Mozarta do Pragi* Eduarda Morike w tłumaczeniu Marii Kureckiej. Miłosza pamięta z 1948 roku, a potem widział go z kozią bródką, która była śmieszna i mu nie pasowała. Ja też to Miłoszowi powiedziałem – mówię. T.R.: To tak jakby pan zapuścił wąsy zakręcone do góry.

Ja teraz nie mogę czytać, listy dają żonie do czytania. Muszę pauzować. Dają mi zastrzyki na oczy, muszę się ograniczać. Pod koniec roku coś panu przysię, mam dużo notatek brata Stanisława, na przykład bardzo ciekawe zapiski o *Westerplatte*, jak ten film robili i inne. On lepiej pisał prozy niż ja. Syn Stanisława zrobił selekcję, są tam też setki zdjęć.

Co pan teraz robi? Nic o pana życiu nie wiem. Czy pan siedzi w tej pustelni swojej? Czytam pana coś w rodzaju aforyzmów. W tym gatunku jest wiel-

ki mistrz – Lichtenberg. Ciekawe są aforyzmy Krausa. U nas – Lec. Kiedyś panu opowiem moje rozmowy z nim. Czy pan wie, że Jan Józef Szczepański zostawił dziewięć tysięcy stron?

Płukałem gardło. Wysyp książek jak grzybów. Wszyscy o wszystkim piszą. Nie wiedzą, że nie wszystko jest na sprzedaż.

Czytał pan listy z Nowosielskim? Mówiłem do niego: Ty wierzysz, ja nie wierzę. Jak to jest? Czym my się różnimy?

Krótki oddech – aforyzm. To o panu, ale nie chcę być pana nauczycielem. Jest nim pan w jakiś sposób. T.R.: Ho ho ho. Pan wie, jak to jest, jak to przeni-ka, pisał pan o tym – Staff, nawet Przyboś. T.R.: Pan zarzuca wędkę i... Zdrowia. Odezwę się na przełomie marca i kwietnia. Odbitki *Oktostychów* wyślę.

Mam różne kłopoty. Nie mam teraz w głowie, żeby wierszyki pisać, wysyłać. Miłosz jest poetą religijnym. Nowosielski też to mówił.

W 2004 lub w 2005 napisałem wiersz o tsunami, jest w czwartym tomie, niech pan przeczyta. Teraz to się dzieje tam. W tym wierszu jest jak we śnie – mówię. T.R.: Cóż z tego, że we śnie? Może pan ten wiersz drukować.

Czytam pana *Addenda*. Co to znaczy addenda? Dodatki? Dopiski? Tak. T.R.: Niech pan za wcześnie aforystą nie zostanie! Kiedyś panu napiszę o niektórych pana aforyzmach.

Dziś krótko rozmawiamy, bo bardzo źle się czuję. Tak, jest pan teraz obłą-żony tam, we Wrocławiu. T.R.: To nie to, że obłążony. Źle się czuję, to wiek. Je-stem obłążony jak miasto!

Przyślę panu oktostychy i jeszcze inne teksty, moje wspomnienia i dwa teks-ty brata Stanisława. Myśmy blisko współpracowali. Wybierze pan, co pan bę-dzie chciał. W sobotę wyślę. Potwierdzę, jak dojdzie. T.R.: Dobrze, nie w sobotę, w poniedziałek, bo i tak w sobotę już poczta nie działa.

Dzwoniłem do pana do Bydgoszczy, ale pana nie było, gdzieś pan jeździ po świecie.

Mówię, że dostałem *Historię pięciu wierszy* i że napiszę o tym. T.R.: Czytał to już pan? Jak to się rozrastało, to jest tam pokazane.

Ściskam serdecznie. Dobranoc.

Jeszcze panu doślę coś w międzyczasie do numeru. Dołączę okładkę *Burztynowego ptaszka*, to od Woroszylskiego, proszę to pokazać. Mam jeszcze inne okładki, także czeskie. Ja popatrzę i wyślę panu. Coraz mniej mi się chce tym wszystkim zajmować. Literatura to jest literatura. Eco wydał nową powieść, wspaniałą, dwieście tysięcy pierwszego nakładu. A u nas – dwa tysiące i po roku połowę będzie można kupić w taniej książce.

Teraz wyszło piękne wydanie angielskie, duże, ponad czterysta wierszy, *Matka odchodzi* po niemiecku, tom w Lublaniu i nikt o tym nie wspomni. Promocja polskiej literatury na świecie to zabawa.

Żeby się pan trzymał, to ważne. Zdrowie ważne. Będę w różnych okresach przysyłał. Teraz kłopoty i nie wiadomo, co będzie. Bóg raczy wiedzieć – mówię. T.R.: Pewnie i Bóg nie raczy. Po chwili: Tak się mówi, to jest ładnie powiedziane.

Narzekał, że źle się czuje, że miał dziś promocję książki i że to go jednak bardzo męczy. Trzeba iść, dojść, potem tam siedzieć, coś mówić, oni patrzą, słuchają, ale czytać nie chcą. Żeby można było tylko siedzieć i nic nie mówić, ale nie, trzeba mówić, bo oni chcą słuchać. Bardzo to wszystko jest męczące panie Krzysztofie.

Byłem w Krakowie na „Transatlantyku”, nagrodę dostała Dvorackowa. Wymęczyłem się. Jazda samochodem: nogi bołą, mięśnie, kości, złe krążenie, to jest bardzo męczące. Pan to rozumie. Moja żona mówi, że to starość. A do tego pogoda – mówię. Tak, pogoda jest fatalna. Te skoki ciśnienia. Podobno ma być upalne lato, około czterdzieści stopni. Proszę zadzwonić w niedzielę o dwudziestej pierwszej. Dobranoc panie Krzysztofie.

Słyszę szum i po chwili: Kto mówi? Przepraszam, ale właśnie zaczął płukanie gardła. Zapytał, czy dostałem list: wysłał trzy dni temu priorytetem na adres redakcji. Nie dostałem – mówię. T.R.: A gdzie pan teraz jest? W Krakowie? Nie, w Toruniu. T.R.: Ja tam panu wszystko wyjaśniam, piszę.

Numer dostałem, przeglądałem. Jest nierówny, jeżeli chodzi o poziom, szczególnie poezja, no ale z wierszami to zawsze jest tak.

Wyślę panu coś dopiero pod koniec roku, bo jutro jadę na operację oczu, nie będzie mnie w domu. W tym liście o wszystkim piszę, przeczyta pan. Jak się pan czuje? Życzę wszystkiego dobrego. Dobranoc.

A list o Andrzejewskim i o Miłoszu dostał pan? Tak. T.R.: Ja ich znałem inaczej niż pan, z innej strony i w innych czasach, napisałem panu. Dobranoc.

Ma chore gardło i robią mu zastrzyki. Mówi: W „Gościu Niedzielnym” przeczytałem artykuł o Tyńcu, tam, gdzie pan jeździł, proszę przeczytać. Tam jest wypowiedź jednego z zakonników, chyba Jana Pawła. Tak, wiem, który to jest. T.R.: Pan mi kartki z Tyńca przysyłał.

Postaram się coś panu dać. Czytam pana myśli, aforyzmy. Z życzliwości powiem, żeby pan za dużo tego nie pisał, żeby pan w to nie zabrnął. Ma pan jeszcze tyle czasu. To nawet nie są aforyzmy, ale myśli, impresje, wyznania. Niekiedy pan się prześlizguje, stwarza pozory głębi. Czasami lepiej nic nie myśleć i nic nie wyznać. Niech pan przemyśli, co pan myśli.

Czy pan czytał ten artykuł w „Gościu Niedzielnym” o Tyńcu? Jeszcze nie. Ale ja to znam i wiem, który to zakonnik ten Jan Paweł. T.R.: Niech pan przeczyta. Pan tylko jeździ i myśli. Żeby pan za dużo nie myślał cytatami, aforyzmami, czasami wizjami. Mówię to panu jako stary człowiek, który też wie coś o myśleniu.

Proszę o wiersze, żebym miał coś do tego jubileuszowego numeru. T.R.: Ja wierszy teraz bardzo mało piszę. Gorzej widzę. Operację przełożono na przed Bożym Narodzeniem.

Mówię, że spisuję z notatek nasze rozmowy i że to będzie właśnie w tym jubileuszowym numerze. T.R.: A więc będę. Ale chciałbym mieć wiersz, taką bezpośrednią pana obecność.

Nie nadaję się do jubileuszu, do tego ceremoniału. To już dziesiąty krzyżyk! Ile jeszcze? Nie biorę w tym udziału. W operze był w związku z tym jakiś koncert, ale nie byłem, nie chodzę.

Życzę, żeby pan miał spokojne sny. Dobranoc.

Dziękuję za wiersze, za list i pytam, czy mogę go zamieścić obok wierszy. T.R.: Niech pan robi, co uważa. Mówię, co będzie w bloku przygotowywanym na jego 90-lecie i że kończę spisywanie naszych telefonicznych rozmów. T.R.: Panie Krzysztofie, ja nie jestem skory do żadnych zewnętrznych wyznań. Jeżeli pan zapamiętał, co my od tylu lat mówimy, to proszę to spisać, nie mam nic przeciw temu.

Czy pan przeczytał ten artykuł o Tyńcu? Jest tam zdjęcie tego zakonnika, proszę zobaczyć, w jaki sposób się pokazuje: wygląda zza jakiejś ściany, czy ścianki, w kapturze. Tak, przeczytałem to i widziałem w internecie. T.R.: Internet to wygoda, ale to nie jest dobry środek komunikacji. Oni tam w Tyńcu or-

ganizują różne rekolekcje, zapraszają do medytacji i różni ludzie przyjeżdżają i rozmyślają, na przykład milionerzy przyjeżdżają i martwią się, że za dużo zarobią. O tak, to jest kłopot.

Jeszcze chciałem panu powiedzieć, że nie wszystko zasługuje na głębokie aforyzmy. Taki skrót udawał się Marcjalisowi i jeszcze paru, w starożytności. To są epigramy wspianiałe. Cała antologia – mówię. T.R.: Tak, to warto robić. W ogóle warto pisać mniej, wstrzymać się. Wskazany jest post myślowy. Doznać pustki w głowie – to jest coś!

Mam tu kalendarz ścienny z 2007 roku, pod redakcją Goździkowej. Na jednej stronie jest jakaś myśl, na przykład Platona albo Plotyna, a na drugiej są przepisy kulinarne na cały dzień. Jest i to i to. Aforyzm nikomu nie zaszkodzi – prawda? Ale jak pan coś źle ugotuje, to od razu zaszkodzi. Dlatego trzeba uważać.

Ściskam, wracam do medytacji.

Czytałem, że wysycha jezioro Gopło – mówi. Nic o tym nie wiem. T.R.: Wysycha. Tam jest Mysia Wieża, jak pan wie. To wiem, ale nie wiedziałem, że Gopło wysycha.

Zaprosili mnie do Kanady, do Vancouver, ale nie polecę. Trzeba by było dać się zbadać na lotnisku: sprawdzają but, obcas... To już nie dla mnie.

Co u pana słyhać? Ściskam, dobranoc.



Jan Paweł II i Tadeusz Rózewicz w ratuszu we Wrocławiu, 1 czerwca 1997.
Te fotografie miały być ilustracją do tekstu Tadeusza Rózewicza o uśmiechach starych ludzi.

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Znalezisko

Zbliżam się do końca
mojej „drogi”
początek
widzieli inni
„inni” będą też widzieli
koniec
ja się zbliżam
ale nie zobaczę
po drodze
spotykałem ludzi
szukałem
szukałem siebie
znalazłem CIEBIE
idziemy
razem od tylu tylu
lat



T A D E U S Z R Ó Ż E W I C Z – I N M E M O R I A M

JULIA HARTWIG

Patrzenie na Różewicza

Obłożyłam się tomikami poezji Tadeusza Różewicza, ukazującymi się w różnych okresach życia. Piękne obwoluty tomików najwcześniejszych – *Form* i *Głosu Anonima* projektował zaprzyjaźniony z poetą Jerzy Tchórzewski. Związki Różewicza z malarstwem były bardzo bliskie, obracał się w środowisku wybitnych malarzy: Tadeusza Kantora, Tadeusza Brzozowskiego, Kazimierza Mikulskiego, Andrzeja Wróblewskiego.

Ujawnione przez poetę rękopisy, czasem w wielu wersjach, a zawsze z dziesiątkami zmian i poprawek, świadczą, jak uparcie dążył do czystości wiersza, który miał być nam przekazany. Bylejakość ogarnia dziś masy i elity – pisze.

Nie ukrywa swojego warsztatu – czasem wraca po wielu latach do rozpoczętego wcześniej wiersza. Od załączka do napisania *Do piachu* minęło trzydzieści lat. Pracuje w świetle dnia, unika nocy. Ale to, co tworzy, sięga do pokładów człowieczeństwa zakrytych i ciemnych. „Poprzez pogodne strofy przebija w jego poezji groza Apokalipsy.” – pisze jeden z krytyków. – „Od siedemdziesięciu lat Różewicz realizuje fragment wielkiego przedsięwzięcia:

poszukiwania prawdy w świecie wierszy. – pisze inny. – Jego egotyzm wyrażający się w sposobie widzenia świata pozwala postawić go obok Geneta i Becketta”. „Różewicz nigdy nie był optymistą – pisze Tadeusz Nyczek – czarne widzenie świata towarzyszy mu od pierwszego tomu wierszy”. Powtarzają się w opisach omawiających tę poezję jej cechy egzystencjalne. „Jest w tej twórczości rozpacz, ostre szyderstwo, groteska pastwiąca się nad płytkością i degeneracją współczesnego świata. Przerażenie, śmiech, gorzka błazenada galopującej ignorancji, chamstwa, głupoty, polskich obsesji”. Pesymizm Różewicza nie przeszkodził mu w ukazaniu świata w całej jego bogatej różnorodności, prawdziwszej niż hymny pochwalne. Nie pomylił się Miłosz przyznając Różewiczowi rangę wysokiej miary.

STEFAN CHWIN

Wczoraj zmarł Różewicz. Kartka z dziennika

Koło południa zadzwoniła komórka. Miałem właśnie zajęcia na uniwersytecie. Jedna ze stacji telewizyjnych poprosiła mnie, bym powiedział parę słów na temat śmierci Poety. Zajrzałem do Internetu. Sama wiadomość nie znalazła się na pierwszym miejscu. Były ważniejsze. Studenci zareagowali na nią zupełną obojętnością. Jak się okazało, nigdy Różewicza nie czytali z własnej woli. Był pozycją z listy lektur – do zaliczenia.

Powiedzieć, że twórczość Różewicza jest nierówna, jeśli chodzi o jej wartość intelektualno-artystyczną, to powiedzieć prawdę dość znaną. Pozostanie Różewicz autorem paru arcydzieł i bardzo wielu tekstów takich sobie, co zresztą przydarza się wielu pisarzom. Spośród dramatów ocaleje *Do piachu*, *Pałapka* i *Kartoteka*. Na resztę jego awangardyzowania w teatrze lepiej spuścić zasłonę milczenia, chociaż właśnie to awangardyzowanie zrobiło z niego na pewien czas celebrytę polskiego teatru.

Prawdziwą zagadką, wartą uważnego zbadania, była kariera Różewicza w socjalistycznej Polsce. To znaczy pytanie, dlaczego komuniści z tak wielką

determinacją wpychali np. jego wiersz *Ocalony* do wszelkich możliwych podręczników, jakby chcieli milionom polskich uczniów wbić ten wiersz do głowy na zawsze. Oczywiście talent poetycki Różewicza był niewątpliwy. Wiele jego wierszy to wiersze znakomite. Początki kariery Różewicza mają jednak u swych podstaw nie tylko mecenat wielkiego poety Przybosa, który promował młodego, utalentowanego autora, ale też prawdziwą nienawiść Różewicza do kadry oficerskiej Armii Krajowej, które to uczucie harmonizowało w latach czterdziestych XX wieku z zamierzeniami nowej władzy. Tom *Niepokój* był tym uczuciem przeniknięty. Powody były osobiste. Różewicz w ostatniej fazie wojny został przez oficerów AK oskarżony o lewicową agitację i musiał uciekać z własnego oddziału, bo groził mu wyrok. Uraz wobec AK pozostał trwałym urazem jego świadomości i pamięci. Nawet w późnym dramacie *Do piachu* (z 1972 roku) uraz ten pulsuje jak niezagojona rana. Jak świadczą choćby słowa z ostatniego wywiadu, opublikowanego pośmiertnie w „Polityce”, Różewicz dawał wyraz swojej niechęci wobec „elity akowskiej” do końca, co przyjmowałem ze zdziwieniem, że tak długo można nosić w sobie uczucia tak silne i zapiekłe.

Drugą sprawą to jego ateizm. To także odpowiadało nowej władzy. Był bowiem Różewicz bodaj jedynym polskim poetą, który swoje doświadczenie wojny podsumował otwarciem formułą „Nie wierzę w przemianę wody w wino / nie wierzę w grzechów odpuszczenie / nie wierzę w ciała zmartwychwstanie”¹.

Tak pisał Różewicz o sobie w latach czterdziestych, na samym początku swojej kariery. Później jego stosunki z Bogiem były mocno zakłócone, ale *Lament*, z którego pochodzą powyższe słowa, przedrukowywano – i pewnie nie bez przyczyny – we wszystkich podręcznikach, żeby polscy uczniowie zapamiętali go sobie na zawsze.

Różewiczowskie doświadczenie wojny – o czym zwykle się nie mówi, a co warto jest podkreślić – było w sensie statystycznym zupełnie marginesowe, bo polskie społeczeństwo, w swojej masie katolickie, pod wpływem wojennej katastrofy wcale nie utraciło wiary w ciała zmartwychwstanie. Na przykład w mojej rodzinie nie spotkałem nikogo, kto by tę wiarę utracił z powodu okropności wojny. Tymczasem Różewicz w swojej twórczości kreował całkowicie oderwaną od rzeczywistości, uogólnioną postać „człowieka współczesnego”, którego system wartości pod wpływem traumy wojennej

¹ Cytaty przytaczam za książką Różewicza *Na powierzchni poematu i w środku*, Warszawa 1983.

rzekomo uległ całkowitemu rozpadowi. Równie oderwana od rzeczywistości była kreowana przez niego postać „poety współczesnego”, bo realni poeci współcześni niewiele mieli z nią wspólnego. Wystarczy porównać Różewicza choćby z Miłoszem czy Herbertem, nie mówiąc już o Baczyńskim czy Gajcym, którzy też byli „poetami współczesnymi” i także zostali dotknięci równie bolesnym doświadczeniem wojny, a o żadnym rozpadowie wartości nie pisali. To, co w realnej psychologicznej rzeczywistości powojennego świata było marginesowe, Różewicz konsekwentnie przedstawiał jako typowe dla „człowieka współczesnego zdruzgotanego przez wojnę”, w czym rozmiął się z prawdą, bo prawda była inna.

Właściwie trudno pojąć, dlaczego komunistyczna władza tak chętnie umieszczała w programach szkolnych wiersze o „człowieku współczesnym” dotkniętym całkowitym rozpadem świata wartości. Różewicz od tego zaczął. Pokazał powojennego człowieka jako człowieka zdruzgotanego, pustego, zrozpaczonego, który rzekomo pogubił się w wartościach, gdy tymczasem większość Polaków wcale nie pogubiła się w wartościach, tylko była zdruzgotana tym, że do Polski weszła Armia Czerwona. W *Lamencie* pisał Różewicz, że szuka nauczyciela i mistrza, który powie mu, co to jest dobro i zło, bo sam pod wpływem wojennej traumy umiejętność rozróżniania między dobrem i złem utracił, podobnie jak utracił wiarę w Boga i poetyckie słowo. W latach czterdziestych większość Polaków wcale nie szukała nauczyciela i mistrza, bo doskonale wiedziała, gdzie jest dobro i zło, i wcale nie utraciła tej wiedzy.

On sam zaś w swoich wierszach chętnie przedstawiał siebie jako człowieka zdruzgotanego przez wojenny kataklizm – jakby w ten sposób dawał sobie światopoglądowe alibi dla późniejszego wyboru socrealistycznej opcji, jakiego dokonał w tomie *Czas, który idzie* (z 1951 roku). Po wewnętrznym rozbiciu odnalazł w sobie kult „prostego człowieka”, oparty na dość topornych przeciwstawieniach. „Człowieka prostego” chętnie przeciwstawiał inteligentom. Antyintelligencka niechęć Różewicza była silna i nie ma sensu udawać, że jej nie było. To stały element jego twórczości. Kryło się w niej wspomnienie zniechęconych inteligentów akowskich, ale później doszły do tego niechęć do „inteligentkiej warszawki” i idące za tym demonstracyjne występowanie w roli gliwickiego poety prowincjonalnego. Różewicz chętnie podkreślał, że od inteligentów trzyma się raczej z daleka, bo woli od nich – jak to można zobaczyć choćby w *Kartotece* – szarego, prostego wujka z miasta Radomsko.

Przez całe życie Różewicz tendencyjnie mitologizował mentalność inteligencją, nie zostawiając na niej suchej nitki. Nie budził jego współczucia inteligent biadający nad obojętnością ludowego oracza, który beznamiętnie przygląda się tragedii lkarza wzlatującego w niebo, a potem spadającego do morza. W swoich wierszach demonstracyjnie przechodził na stronę oracza i jego ludowej obojętności, w której widział prawdziwą mądrość, dużo cenniejszą od inteligenckiego mędrkowania. Wyraźnie przeciwstawiał rzekomo nieautentyczny świat inteligentów rzekomo autentycznemu światu „prostych ludzi”, podczas gdy w rzeczywistości oba te światy były równie nieautentyczne, co Gombrowicz dostrzegł już w latach trzydziestych, a czego on sam wołał nie dostrzegać.

Pakowanie wierszy Różewicza do socjalistycznych programów nauczania mogło w niejednym zadziwić. Miał Różewicz prawdziwą ateistyczną obsesję mięsa ludzkiego, z której nie umiał się wyzwolić, przeciwnie: podkręcał ją w sobie, co pozornie kolidowało z wizją polityczną realnego socjalizmu, ale – jak się okazało – wcale nie przeszkadzało decydentom z ministerstwa oświaty. Władza chętnie pokazywała młodzieży obraz Polaków jako ludzi „porąbanych” przez wojnę jak bydło rzeźne. Uratowanie Polski z tej rzeźni przez Armię Czerwoną Różewicz uczył paroma wierszami (np. wierszem *Był styczeń*, w którym polska matka w roku 1945 uśmiechem przez łzy dziękowała żołnierzom radzieckim za wyzwolenie).

Korzystna dla władzy była także jego, połączona z antyinteligencjkim urazem, niechęć do współczesnego „mieszczucha”, bo w dużym stopniu była ona zwrócona przeciwko kulturze zachodniej i dziwactwom burżuazyjnej sztuki. Różewicz napisał sporo wierszy wymierzonych we „współczesnych mieszczan”, przywiązanych do pogodnego, a więc skłamanego obrazu rzeczy. Przypominał o obrzydliwości cielesnej natury człowieka. Na przykład przedstawiał zamieszkane przez ludzi miasto jako organizm biologiczny, który bez względu na pogodę pożera codziennie tysiące zwierząt. Dodawał do tego złośliwą litanię gatunków pożeranych. Brzydził się mięsem ludzkim i współczuł mu, co było przekonywające i poruszające. Jeśli w wierszu *Nocna zmaza* pisał o śmierci własnego ojca, nie zapominał ujawnić, że ojca nie kochał, co dawało paradoksalny efekt płaczu po niekochanym, który stawał się lamentem nad umierającym, bezbronny ludzkim mięsem.

Różewicz czuł się poetą, który wyszedł ze „świata zwierzęcego”, ale w swojej twórczości gromadził argumenty dla silnej niewiary w ludzką „duszyckę”, zamieszkującą ciało jak „ćma w nocy”. Nie mógł w sobie przezwyciężyć potrzeby

stałego przypominania o rozkładzie, jakby chciał wpędzić czytelnika w sytuację duchową podobną do własnej. Źle znosił światopogląd wiary i nadziei. Nadzieja i wiara miały dla niego – jak sam pisał – „przykrą woń”.

Miał prawdziwą obsesję rozkładającej się cielesności, porodu, śmierci i umierania, fizjologicznej strony życia, która go przerażała i zachwycała. Na wszystko patrzył przez pryzmat biologicznej śmierci, po której nie będzie zbawienia. Umarli mu „zarastali świat”, jak w *Wierszu pisanym o świecie*. Obecność śmierci czuł nieustannie. W *Szkicu do erotyku współczesnego* opisywał Byt poprzez Brak.

Paradoks Różewicza polega na tym, że sławę – przynajmniej w Polsce – przyniosło mu to, co było w jego twórczości najślabsze. Mam na myśli mit „człowieka naszych czasów”, którego Różewicz trzymał się w swojej twórczości przez całe lata, co psuło wiele jego wierszy a równocześnie budowało bardzo skutecznie sugestywny obraz jego samego jako „przenikliwego diagnosty naszej współczesności”. Ten obraz przyniósł mu popularność, która daleko wykroczyła poza kręgi literackie. Wszyscy wiedzieli, że Różewicz to „surowy diagnosta naszej współczesności oraz powojennego kryzysu wartości”, czego on sam trzymał się chętnie, bo taka rola była dla niego korzystna.

W całej twórczości Różewicza tkwiła fundamentalna nieuczciwość. Swoje własne, osobnicze doświadczenie wojny i współczesności Różewicz przedstawiał jako doświadczenie „człowieka XX wieku”, doświadczenie „człowieka współczesnego”. Nieuczciwość polegała nie tylko na tym, że sam Różewicz nie był żadnym typowym „człowiekiem XX wieku”, lecz także na tym, że nigdy w realnej rzeczywistości nie istniał żaden typowy „człowiek XX wieku”, czy typowy „człowiek współczesny”, choć wielu ludzi uważało i uważa nadal, że takie pojęcia są najzupełniej uzasadnione i naturalne, ponieważ prasa i telewizja obraca nimi bez końca, a autorzy podręczników historii chętnie się nimi posługują, wierząc, że w ten sposób dają syntezę ducha epoki. W logice takie pojęcia nazywamy hipostazami. Charakteryzują się one tym, że byt abstrakcyjny – wykoncypowany i dyskusyjny – przedstawiają jako byt namacalnie rzeczywisty.

To była jedna z najślabszych stron jego pisania. Toporne, kategoriyczne diagnozy „naszej współczesności”, pogardliwe i obraźliwe. Sławny wiersz *Przyszli żeby zobaczyć poetę* zasługiwał tylko na wzruszenie ramion, jak każde ogólnikowe pomstowanie, bezpieczne, bo unikające wszelkich konkretów. Przekonywał Różewicz, że w Polsce byle jaki Gustaw przemienia się w byle jakiego Konrada, byle felietonista w byle moralistę, byle kto mówi do byle kogo,

a sama bylejakość ogarnia masy i elity. „Widzę byle jakie działanie, przed byle jakim myśleniem”. Pięknie! Tylko kiedy on tak pomstował, kogo właściwie miał na myśli? Jakie to konkretnie osoby? Szymborską? Lema? Herberta? Doradców Solidarności z „Więzi” i „Tygodnika Powszechnego”? Bo przecież w tamtych czasach, kiedy on tak natrzęsał się nad byle jaką „cywilizacją współczesną”, oni żyli, pisali, mówili, myśleli i jeszcze na dodatek należeli do elity tej cywilizacji. A przy tym wcale nie byli byle jacy. I cała sprawa Solidarności, na którą on się krzywił w latach osiemdziesiątych, też wcale nie była byle jaka.

Ale to nie liczyło się zupełnie. Różewicz pozwalał sobie na takie zrządzenie właśnie dlatego, że trzymał się kurczowo swojego ogólnikowego obrazu „człowieka współczesnego”, któremu bezkarnie mógł przypisać wszystko. Pisał, że „człowiek współczesny” schodzi na psy, jest rozmnożonym nikim. A sporo krytyków i polonistów jeszcze mu klaskało za taką „surową ocenę naszej współczesności”.

Tymczasem nie istnieje nic takiego jak „nasza współczesność” czy „człowiek współczesny”. To są puste słowa schematu. On jednak posługiwał się tym schematem bez żadnych skrupułów, jakby chciał, żeby nawet dziennikarze mogli się powoływać na jego „diagnozy”. Dawał fałszywe obrazy „naszej współczesności”, uproszczone, rysowane grubą krechą, na które wszyscy czekali, bo wszyscy chcieli mieć „poetę współczesnego”, który powie im dobitnie, w jakich to czasach żyją, dając mocną „poetycką definicję naszej epoki”. I on chętnie takie definicje dawał. Trudne do zniesienia były w jego wierszach formuły: „kończy się jakaś epoka / zaczyna się jakaś epoka”, bo w rzeczywistości nie istnieją żadne „epoki” – to tylko fikcje naszego umysłu, tnącego strumień czasu na dowolne kawałki. W poemacie *Spadanie* pisał, że „człowiek współczesny” – inaczej niż człowiek dawny – spada we wszystkich kierunkach, tymczasem ja sam znałem w tamtych czasach ludzi, którzy nie spadali w żadnym kierunku, tylko stali mocno na ziemi i wcale nie było ich mało, więc właściwie kogo on miał na myśli, kiedy tak pisał?

W tomie *Nic w płaszczu Prospera* (z roku 1962) oskarżenie „naszej epoki” przekraczało wszelką miarę. Barbarzyńcy czają się, kultura współczesna to „nic w czarodziejskim płaszczu”, wszystko, co powstaje, jest bez wartości, „nic płodzi nic”, „nic z ulic / z ambon i wież / nic z głośników / mówi do niczego o niczym”. Dalej już w pomstowaniu posunąć się nie było można. Tymczasem ja sam żyłem w tamtych czasach i zapewniam, że taka diagnoza była kompletnie fałszywa. Z ambon przemawiał wtedy Prymas Tysiąclecia, którego trudno było określić jako nic, co z ambony „mówi do niczego o niczym”. Tymczasem

Różewicz w wierszu *Nowy człowiek* podsumowywał, że „nowy człowiek / żyje jak rura kanalizacyjna”, „przepuszcza wszystko przez siebie”, co było kolejnym wątpliwym uogólnieniem.

W *Zielonej róży* raczył nas banałami w rodzaju stwierdzeń, że w wielkich miastach „zaczynamy żyć coraz samotniej”, co trudno było uznać za porażające odkrycie. Ponadto tworzył fałszywy, schematyczny obraz przeszłości, kiedy pisał, że dzisiaj żyjemy oddzielnie i egoistycznie, podczas gdy w „czasach największego ucisku” byliśmy (kto: wszyscy? niektórzy?) otwarci na cudze cierpienie, czemu całkowicie przeczyło choćby *Campo di Fiori* Miłosza, gdzie mowa była o tym, że podczas okupacji nie istniała żadna wzajemna empatia cierpiących.

Hodował w sobie mit małego miasta z Dwudziestolecia jako krainy autentyczności i prawdy, którą schematycznie przeciwstawiał nikczemnej współczesności (*Acheron w samo południe*). Przeciwstawienie było naciągane i nieprzekonywujące, choć psychologicznie uzasadnione wspomnieniami z dzieciństwa, ale on sam nie dopuszczał do siebie myśli, że nigdy nie istniał i nigdy nie będzie istniał świat, w którym „las był lasem / Bóg Bogiem / Diabeł Diabłem / jabłko jabłkiem”. Upierał się, że takim światem było jego rodzinne Radomsko z międzywojnia.

W poemacie z lat 1959–1969 obwieszczał: „mówię że nic jest w nas”. Ale jakich to „nas” miał na myśli? Moją matkę, Jana XXIII, Tadeusza Mazowieckiego, Iwaszkiewicza, Karola Wojtyłę, Miłosza? Dość bezceremonialnie posługiwał się takimi mocnymi ogólnikami jak „my”, „nasz”, „nas”, bo pozwalało mu to formułować bezkarnie kategorię diagnozy rzekomego stanu „naszej” duszy zbiorowej. Dobrze czuł się w takich ogólnikach.

Napisał piękny wiersz o swojej żałobie po śmierci Leopolda Staffa, ale i ten wiersz zepsuł banalnymi natrząsaniami się nad podłą współczesnością. Miał na swoim koncie sporo pięknych wierszy, ale napisałby ich dużo więcej, gdyby dał sobie spokój z rolą „diagnosty współczesności” i „krytyka cywilizacji”. *Kartoteka* z 1960 roku była świetna, bo została zrobiona z „cytatów” uważnie obserwowanej realności. *Kartoteka rozrzucona* z 1996 roku była słaba, bo została sklejoną ze stereotypowych wyobrażeń o moralnej katastrofie „epoki transformacji”.

W *Walce z aniołem* poezję wzniosłych olśnień przeciwstawiał poezji krwi, żółci, śmietnika, „gnoju słów”, z satysfakcją ściągając jej „różowego” anioła na „swój śmietnik”, co było przeciwstawieniem łatwym i wątpliwym, bo twierdzenie, że poezja śmietnika jest prawdziwsza niż optymistyczne „niebo poezji”,

które zapomina o tym, że Ziemia jest boiskiem pokrytym „naszymi odchodami”, wcale nie jest mocną prawdą, przed którą powinniśmy pochylić głowę. Cenił Rubensa za pochwałę cielesnego życia i bolesne wycucie podziemnej strony istnienia „ociekającej ropą” (gnicie, śliskość, trup Jezusa na Rubensowskim obrazie, – w wierszu *W róży*, ale równocześnie w *Opowiadaniu dydaktycznym*, dedykowanym Mieczysławowi Porębskiemu, kategorycznie obwieszczał: „poeta śmietników jest bliżej prawdy / niż poeta chmur”, oczywiście nie dopowiadając, jakiego to konkretnie poetę uważa za „poetę chmur”. Wymyślił sobie figurę „poety chmur” jako chłopca do bicia. Jeśli chwalił sztukę śmietnika na XXX Biennale w Wenecji to schematycznie kontrastował z nią obraz dziewczyny, która „śmieje się pogodnie”.

Lubił przeciwstawiać arcydzieła Louvre’u sklepom rzeźniczym w paryskich halach, gdzie piętrzyła się „góra mięsa”, co znaczyło, że trudne, bolesne piękno okaleczonego mięsa uważa za prawdziwsze od uładzonego piękna artystyczno-muzealnego i ośmieszał „mieszczucha”, który podobno od rzeźniczego sklepu woli wylizaną Giocondę.

Do Chrystusa miał stosunek ambiwalentny, ale chętnie bronił go przed Kościołem, w którym widział zyskowne przedsiębiorstwo handlujące nadzieją, a tych, którzy nadzieją handlowali określał jako „kupki nieczystości w białych pióropuszcach”. Potępił świat, że zapomina o Jezusie jako ikonie dobra. Oskarżał polityków, że Jezusa wykorzystują dla własnych celów (wiersz *Biel*).

Zostawił po sobie poruszające *Opowiadanie o starych kobietach*. Zresztą temat starych kobiet to był jego temat królewski. Dał tu rzeczy wybitne, oprócz może sławnego dramatu o wysiadywaniu, o którym lepiej zamilczmy. Kiedy pisał o matce, kobietach, umieraniu i chorobie, był wielki. Miłość do matki rozjaśniała jego wiersze. Był świetny jako poeta uczuć synowskich i rodzinnych. Zupełnie jednak niepotrzebnie budował toporne przeciwstawienia „starych kobiet” i „dyktatorów”, bo stare kobiety i bez takich przeciwstawień same się obronią jako fundament ludzkiego świata. Ale on musiał to robić. Ostry, czarno-biały kontrast „stare kobiety – dyktatorzy” przerysowywał, podobnie jak kontrast „stare kobiety – Hamlet i Raskolnikow”. Niepotrzebnie też – aby wywyżżyć stare kobiety – pomniejszał mężczyzn heroicznych (w tym Jezusa). Przeciwstawienia, które budował, były tandetne, kreślone grubą krechą.

Piszę o tym wszystkim z prawdziwym żalem, bez żadnej satysfakcji. Bo z żalem patrzyłem, jak Różewicz psuje swoje wiersze, trzymając się kurczowo roli, w której zasmakował. Miałem żal do osób, które były blisko niego, że nie powiedziały mu któregoś dnia wyraźnie: „Panie Tadeuszu, niech Pan porzuci rolę

surowego diagnosty katastrofального stanu naszej żalostnej cywilizacji, bo psuje Pan swoją poezję". Miałem też żal do siebie, że takich słów nie wypowiedziałem podczas rozmowy z nim na Kongresie Tłumaczy w Krakowie. Rozmawialiśmy wtedy o tłumaczeniach polskiej literatury w Rosji, więc nie było punktu zaczepienia dla tej sprawy. Zresztą co by to właściwie zmieniło?

Ale można też zapytać, czy gdyby Różewicz nie występował w swojej ulubionej roli „diagnosty”, byłby tak znany, tak popularny, tak sławny? Czy potrafiłby wtedy przyciągnąć uwagę tak wielu ludzi? Czy gdyby był tylko znakomitym poetą intymności, trafiłby do podręczników jako „czołowy poeta polski XX wieku”? Trudno o bardziej przykry paradoks.

Kiedy byłem członkiem jury nagrody Nike, podczas posiedzenia w roku 2000 głosowaliśmy nad książką *Matka odchodzi*. Jury, obradujące w łazienkowskiej Pomarańczarni, było podzielone. Połowa za Różewiczem, połowa za Wilhelmem Dichterem. Głosowałem jako ostatni. Wahałem się, aż w końcu podjąłem decyzję. Różewicz dostał Nike moim głosem. Wypominam to sobie do dziś, bo *Matka odchodzi* była jedną z jego słabszych książek (składała się zresztą z poetyckich remanentów i cudzych głosów...). *Szkoła bezbożników* Dichtera, kontrkandydatka do nagrody, była o niebo lepsza. Różewicz powinien dostać Nike za coś innego. To też kolejny paradoks...

Dlaczego więc zagłosowałem wtedy tak, jak zagłosowałem – mimo zastrzeżeń i wątpliwości? Był to ktoś dla mnie bardzo ważny, może nawet ważniejszy niż myślę, chociaż nie zgadzałem się z nim w kwestiach najbardziej podstawowych. Ale tak to już jest, że prawdziwie ważni są tylko tacy pisarze, z którymi się żarliwie spieramy, budując w otwartym starciu z nimi własną duszę...

ALEKSANDER FIUT

Kilka pytań nie zadanych Tadeuszowi Różewiczowi

Zacznę od osobistego wspomnienia. Nigdy nie zapomnę pewnego spotkania w Wydawnictwie Literackim, podczas którego Tadeusz Różewicz mówił o swoich odwiedzinach Krakowa: „Przechodzę obok Muzeum Narodowego, obok pomnika Wyspiańskiego, a wszystko to o zmierzchu, w jesiennych mgłach, jakby wprost przenosiło mnie w czas Młodej Polski. A potem mijam dom literatów przy Krupniczej i wspominam mieszkających tam przyjaciół i kolegów”. Była to chwila prawdziwie magiczna: na moich oczach luźne na pozór dywagacje przeradzały się w prawdziwą poezję, mówione słowo nabierało nieoczekiwanego znaczenia i blasku. Bowiem wspomnienia, w miarę jak je Różewicz snuł dosyć cichym, przygaszonym głosem, przeobrażały się, jakby samorzutnie, mimochodem, w swego rodzaju przejmujący tren, który upamiętniał wielobarwną galerię poetów i pisarzy, przywracał do życia bez mała całą, bezpowrotnie minioną, epokę literatury polskiej.

Przyznam, że odczuwam pewną niedogodność. Pisanie „In memoriam” nieuchronnie wtrąca w ton podniosły, skłania do wzięcia udziału w żałobnej celebracji, niemal zmusza do wynoszenia pod niebiosa cnót i zasług Zmarłego. Tych Tadeuszowi Różewiczowi, jak wiadomo, nie brakowało i lepsze od mojego pióra dały temu wystarczający wyraz. A przecież był zawsze twórcą osobnym, unikającym oficjalnego blichtru i blasku reflektorów, skromnie umieszczającym się na uboczu – nawet po swojej śmierci. Zarazem – nie bał się podejmowania zagadnień trudnych, spraw skłaniających do gorących nieraz sporów i ostrej polemiki. Oddając mu cześć, ośmielam się zatem, po Gombrowiczowskiu nieco naruszając ceremoniał, zadać pośmiertnie – jego twórczości, ale także jego krytykom i badaczom – kilka takich właśnie, kłopotliwych pytań. Jak sądzę, taka forma hołdu, oddana jego wielkości, spodobałaby mu się bardziej niż okolicznościowe laurki.

W swojej poezji, w kulturoznawczej refleksji, w teorii dramatu wysnuł ostateczne wnioski ze słynnej formuły Theodora W. Adorno, że „Po Oświećcimiu wszel-

ka kultura, jak też jej krytyka, to śmiecie". Skrajność tej formuły i konsekwencja jej rozwinięcia były źródłem olśniewającego nowatorstwa jego wierszy. Czy wystarczająco przyznawał się do tego, że co tak ostro i do końca krytykował, było zarazem przedmiotem jego czułego przywiązania? Że kulturowe śmieci tyleż go przerażały, co przewrotnie, fascynowały i stanowiły źródło jego inspiracji?

W tym upodobaniu kryło się także pewne niebezpieczeństwo: niezgoda na wybór i hierarchię – bo ich przecież nie ma, oraz przyzwolenie na bylejałość wypowiedzi. Szczególnie pouczająca staje się lektura rękopisów wierszy zamieszczonych w tomie *Płaskorzeźba*. Zwłaszcza rękopis wiersza, który uznać wypada za prawdziwe arcydzieło, o incipicie „Czas na mnie...”. Ileż tutaj wariantów, skreśleń i poprawek zanim wyłonił się kształt doskonały! Dlaczego zatem, zwłaszcza w ostatnich tomach, jak gdyby zawodził go zmysł selekcji i publikował teksty artystycznie słabe, przegadane i nierzadko w wyrazie artystycznym banalne? Tak dalece przestał wierzyć w rangę poetyckiego słowa, uznał, że cokolwiek się powie, ma takie samo znaczenie, albo jest bez znaczenia?

Podobnie jak Czesław Miłosz, dosyć wcześnie dostrzegł i zaczął piętnować kryzys kultury europejskiej. Czy nie zauważył, że ten kryzys, na inny sposób, drąży również świat go otaczający, czyli prząsną rzeczywistość PRL? Czytając jego utwory można odnieść wrażenie, że w tej rzeczywistości był dobrze zadomowiony, że dotkliwości komunistycznego systemu totalitarnego jakby go nie dotyczyły, a kulturowa zapaść objęła tylko kraje Zachodu. Umknęło jego uwadze, że krytyka zachodniej cywilizacji stawia go w cokolwiek dwuznaczej pozycji, a mianowicie doskonale współbrzmi z propagandowym potępieniem „zgniłego kapitalizmu”?

Te same zarzuty stawiał kulturowym wzorom w Polsce już niepodległej. Ubolewał nad ich wtórnością, łapczywym i powierzchownym przyswajaniem obcych standardów, ślepemu kultowi totemów konsumpcji, recyklingowemu charakterowi kultury masowej. Innymi słowy, włączał się w krąg myślicieli zwiastujących koniec naszej cywilizacji: od McLuhana poprzez Tofflera i Marcuse'a, do Benjamina, Baumana i Baudrillarda. Czy tak dalece został zraniony przez doświadczenie Holocaustu, że w dwudziestym i dwudziestym pierwszym stuleciu dostrzegał wyłącznie zapowiedzi katastrofy?

W jego pisarstwie odnajdują się młodzi poeci kontestatorzy, buntownicy spod znaku postchrześcijaństwa, postmodernizmu, postsekularyzmu, gorliwi czytelnicy pism Nietzschego. Czy takie miało być jego „za grobem zwycięstwo”? Czy taki sukces naprawdę go ucieszył?

RENATA GORCZYŃSKA

Różewicz. Okruchy wspomnień

Często nie zdajemy sobie sprawy, jak wielkie wrażenie niektórzy polscy poeci wywołują na czytelnikach w innych krajach. Do takich mistrzów słowa należy w Stanach Zjednoczonych Tadeusz Różewicz. Tam również zalicza się go do grona Nieśmiertelnych.

Nie potrafię dziś powiedzieć, czy to Czesław Miłosz w swojej pamiętnej antologii *Postwar Polish Poetry* (Penguin, 1965) był tym, który zapoznał czytelników amerykańskich z częścią jego poezji. W każdym razie był z pewnością jednym z pierwszych tłumaczy Różewicza na angielski. Po nim przyszli następni, zwłaszcza tandem slawistów amerykańskich – Magnus J. Krynski z Duke University i Robert Maguire z Columbia University. W wydanym w 1976 roku wyborze wierszy zatytułowanym „*The Survivor*” and *Other Poems* przedstawili najważniejsze utwory poetyckie Różewicza powstałe do tego czasu. Dalszą popularyzacją jego poezji w kolejnych zbiorach wydanych w USA zajmowali się między innymi: Adam Czerniawski, Joanna Trzeciak, Bill Johnston.

Różewiczowski „nagi wiersz” na pozór nie sprawia wielu trudności twórcy przekładu. Jednak ta wyszukana prostota zmusza do sięgnięcia po podobne środki wyrazu w angielskim. Z tym można się uporać. Trudniejsze są konotacje zawarte w oryginale i tło historyczne, szczególnie dotyczące doświadczeń II wojny światowej i lat powojennych, przecież tak odmienne dla Polaków i Amerykanów. Nie sposób opatrywać wierszy mrowiem przypisów. Głęboki pesymizm towarzyszący Różewiczowi w jego twórczości (okraszony, co prawda, szczyptą czarnego humoru) też nie ułatwiał mu zadania w kraju programowego optymizmu. A jednak i jego sztuki wystawiane na scenach w czołowych ośrodkach akademickich, takich jak Yale Repertory Theater w New Haven,

i tomy poezji w przekładach przedarły się do świadomości młodych i starszych intelektualistów. W reżyserowanym przez Andrzeja Wajdę *Białym małżeństwie* główną rolę grała Elżbieta Czyżewska. Do dziś doskonale pamiętam i ją, i całe przedstawienie.

Wkrótce po edycji pierwszego zbioru poezji w USA Tadeusz Różewicz zawiązał do Nowego Jorku. Jego wieczór autorski, bodaj w auli Biblioteki Publicznej – gmazysku przy Piątej Alei i 40 Ulicy – odbył się w trakcie oberwania chmury. Sala była wypełniona po brzegi, stawili się niemal w komplecie wszyscy członkowie Polskiego Instytutu Naukowego – profesorowie, malarze, pisarze, a także obie „Lilpopki” – Halina Rodzińska, wdowa po dyrygencie, i jej siostra Felicja Kranze. Po krótkim wprowadzeniu Różewicz zaczął czytać swoje najnowsze wiersze, a na prośbę zebranych – również dawniejsze, w tym *Spadanie* i *Opowiadam synowi Hamleta*. Ten niezwykły klimat zakłócił niespodziewanie dozorca, który głośno obwieścił zebranym, że muszą się rozejść bo on musi zamknąć salę.

Różewicz poczuł się głęboko urażony: „A gdzie obiecana lampka wina, gdzie małe przyjęcie?”. Miał minę dziecka, któremu ukradziono zabawkę. Obecna na wieczorze Anna Frajllich rzuciła: „Nic nie szkodzi, pójdziemy do kafejki naprzeciwno i tam będziemy kontynuować spotkanie”. Nic z tej propozycji nie wyszło, bo poeta pozostał nieugięty. Spodziewał się lampki wina i półmiska kanapek w foyer i jak nie, to nie. W strugach deszczu nasza grupka doczłapała więc do kawiarni bez niego i tam z ponurymi minami przesiedziała ulewę.

W ten sposób osobiście poznałam poetę, w którego wierszach zaczytywałam się w młodości. Po latach, gdyśmy się spotkali w Pałacu Kultury na dorocznych Targach Książki, niewiele z tamtego wieczoru sobie przypominał, a do tego niezbyt przychylnie odniósł się do mojej prośby o udzielenie mi długiego wywiadu dla Polskiego Radia. Spojrzał na mnie z góry i z nieskrywaną ironią odparł: „Z panią?!”. Wobec tego, żeby mimo wszystko zrealizować plan, podeszłam go z innej strony i wymyśliłam, że przeprowadzę taką rozmowę jednocześnie z dwoma wielkimi poetami – z nim i z Czesławem Miłoszem. I tak się stało. Właściwie przekonałam go do tego nagrania, gdy go odwiedziłam w domu ZAIKS-u w Konstancinie. Uzgodniliśmy tam, że spotkanie odbędzie się w Krakowie na początku sierpnia 1999 roku. Różewicz przyjechał dzień wcześniej z Wrocławia, zatrzymał się w pokoju gościnnym Wydawnictwa Literackiego na szczycie wieży i zażyczył sobie, żebym go tam odwiedziła. Panował obojętniejszy upał. Zauważyłam, że poeta był w nastroju krotochwilnym. Wspomnił o swoim pseudonimie z czasów partyzantki w AK – „Satyr”,

potem opowiedział, jak to się stało, że zaczął pisać wiersze. Chciał się popisać tą umiejętnością przed swoim starszym bratem, Januszem, poetą, który był publikowany w prasie literackiej tuż przed wojną. Wysłał swoje iuvenilia do jakiegoś pisma, dziś już nie pamiętam którego, ale na wszelki wypadek użył *nom de plume*. I mu je wydrukowano.

W pewnym momencie Różewicz w tej wieży dodał, że gotów mi jest dużo opowiedzieć o sobie. Doszłam do wniosku, chyba trafnie, że chętnie by mi udzielił wywiadu-rzeki, może do przyszłej książki o nim. Poczułam się wyróżniona. W trakcie nagrania nazajutrz bardzo się starałam, aby zadawać obu moim szacownym rozmówcom pytania po sprawiedliwości, nie wyróżniać jednego kosztem drugiego. Różewicz kilkakrotnie błysnął humorem, a już rozśmieszył mnie niemal do łez, gdy odpowiadając na pytanie, w jakiej roli z klasyki teatralnej czułby się najlepiej, stwierdził, że najchętniej zagrałby Ofelię. I barwnie to uzasadnił.

Ta trójstronna rozmowa mogłaby się okazać dobrym wstępem do dalszych z nim spotkań. Niestety, na przeszkodzie stanęły względy osobiste. Właśnie wtedy postanowiłam się przenieść nad Bałtyk, sprzedawałam mieszkanie w Warszawie, kupowałam na Wybrzeżu, a z uwagi na opiekę nad ciężko chorą matką praktycznie nie mogłam się ruszyć z Gdyni. Dłuższy wyjazd do Wrocławia nie wchodził w rachubę.

Nasza ostatnia rozmowa telefoniczna też nie była udana. Pakowałam się, gdy któregoś wieczoru Różewicz zadzwonił z pytaniem na temat emisji odcinków naszej trójstronnej rozmowy w Programie II Polskiego Radia. W tym momencie usłyszałam walenie do drzwi. Okazało się, że to policja antyterrorystyczna, zaalarmowana przez któregoś z sąsiadów, który zauważył na naszej klatce schodowej podejrzany pakunek. Kazano nam natychmiast opuścić mieszkania. Ledwie zdążyłam wykrztusić tę wieść do słuchawki. Odniosłam wrażenie, że Różewicz nie uwierzył w tę historię i potraktował mnie jak osobę nieco postrzeloną.

I w ten sposób nie doszło do rozmowy-rzeki, a ja muszę poprzestać na paru okrucach wspomnień.

BOGUSŁAW KIERC

Wybrany

Przyszło mi czytać przed kamerą tekst ostatniej woli i prośby Tadeusza Różewicza. Wiem więc, jak wygląda ta kartka, rękopis z 5 marca 2003 roku. Pewnie zostanie dołączona do innych, reprodukowanych wcześniej, rękopisów, które poeta zwykł był umieszczać w swoich książkach. I właściwie można ją traktować jak manuskrypt wiersza.

Staralem się czytać powściągliwie, najskromniej, rzeczowo, ale słowa złościły we mnie linie możliwych wersów, przywoływały swoje sensy wcześniejsze i późniejsze od daty postawionej w Karpaczu. Podczas tych jedenastu lat pojawiło się jeszcze sporo ważnych wierszy Tadeusza Różewicza. Tak ważnych, że opanowują czytelniczą pamięć i dają się przywoływać temu dziwnemu rodzajowi tęsknoty, o jakim pisał Mickiewicz w *Dziadach*:

Jest i musi być kędyś, choć na krańcach świata,
Ktoś, co do mnie myślami wzajemnymi lata!

Ta wzajemność myśli czyni aktywnym to czekające we mnie na wydobyć, wywołanie – choć sam nie dorastam do doświadczenia wywołującego to, co i tak mnie (na mnie) czeka.

Mówię o tym swoim czytaniu w filmie Piotra Lachmana *Moje pojednanie. Tadeusz Różewicz i Niemcy*, bo, patrząc na wykaligrafowane zdania, słyszałem głos. W rozmowach, w czytaniu własnych wierszy był to ten sam, spokojny głos kogoś, kto woli kłaść palec na ustach.

Ta właściwość Różewiczowego mówienia sprawia, że w i d a ć je w jego kaligrafii. Być może – moja aktorska profesja uczula mnie na takie wrażenia. Nie wrażenie jest dla mnie ważne ale to, co z niego wynika: pewien rodzaj osmozy mowy.

Wielokrotnie wypowiadałem słowa Tadeusza Różewicza, albo wypowiadałem się jego słowami. Czytałem głośno wiersze, grałem w jego sztukach. W prapremierowym *Odejściu Głodomora* i w polskiej prapremierze *Pułapki*. Także w innych. Reżyserowanych przez Kajzara, Brauna, Wardejna, Grzegorzewskiego, Kutza, Kruszczyńskiego... *Głodomora* grałem w trzech różnych inscenizacjach, w trzech różnych „epokach” społeczno-politycznych. Pierwszego – mając trzydzieści trzy

lata; trzeciego – pod sześćdziesiątkę. Tadeusz Różewicz był na próbach tych przedstawień. Ścisłej – widział jedną z ostatnich prób każdego przedstawienia. Był także na próbie *Pułapki* i jego uwagi zasadniczo wpłynęły na zmianę mojej interpretacji roli Franza. W pierwszym porywie chciałem ukazać wewnętrzną ekstatyczność tej postaci, ale poeta przekonał mnie, że powinienem uwydatnić jej przeciętność. Możliwe, że w mgnieniu refleksji uzmysłowiłem sobie tę istotną jakość „bohaterów” Różewicza. Także ten cudzysłów, którym ich opatrywał. I redukcję do anonimowości.

Tak długo kształtowałem
siebie
na kształt i podobieństwo
niczego
formowałem to oblicze
na kształt i podobieństwo
wszystkiego

wreszcie zacierają się rysy
moje słowa
nie dziwią się sobie

To „Głos anonima”. Chodzi tu jednak o głos jako wypowiedź, nie o brzmienie, inkantację, modulację, rytm... Nie – o słyszalny organizm wypowiedzi, o ten analogon ciała zmartwychwstającego. Nasyczonego nieśmiertelną duszą.

Gadam rzeczy nieprzystające do myślenia o Różewiczu. No dobrze, ale to m n i e się pomyślało. A raczej – okazało.

Wpatrując się tedy w dukt pisma ostatniej woli i prośby Poety, słyszę go i słyszę jego słowa spod tamtych słów i znad nich. Trochę to podobne do pierwszego głosu ptaka przed świtem, kiedy po kilku dźwiękach dołączają się poświsty i kwilenia innych ptaków. Ta kartka sprawia, że zaczynają się „odzywać” inne kartki Tadeusza Różewicza. I te z wierszami i te z tekstem sztuk teatralnych, i te z opowiadaniem... Odzywają się we mnie. Czytają mnie.

No właśnie. To przecież całkiem zwyczajna sytuacja „grać rolę”. Ponieważ od samego początku mojego chcenia być tym, kim bywam i jestem, stanowiło mnie czytanie-pisanie-granie, sytuacja „grania roli” nigdy nie była całkiem zwyczajna. Granie Głodomora i Franza uwydatniło mi to z dojmującą wyrazistością.

To, co teraz powiem, zabrzmiałoby pretensjonalnie i zbyt ostentacyjnie. A jednak zdaje mi się, że powinienem powiedzieć, że te włókienka mojej relacji do Tadeusza Różewicza łączyły nas przez osobę jego i mojego Mistrza, Juliana Przybosię; jego i mojego przyjaciela, Helmuta Kajzara.

Miło mi było kiedyś tam, kiedy w niemieckim konsulacie we Wrocławiu, pijąc razem piwo, w towarzystwie Karla Dedeciusa i Tadeusza Różewicza, opowiadałem, jak Julian Przyboś pokazywał mi zbiór swoich poezji, wydanych właśnie przez Hansera w tłumaczeniu Dedeciusa i żałował, że nie może mi podarować tego tomu, bo miał tylko jeden, ale z radością podkreślał, że niektóre wiersze w przekładzie Dedeciusa są lepsze od oryginałów; ucieszony Dedecius przywołał Różewicza i prosił: słuchaj! Raz jeszcze, dla Tadeusza Różewicza opowiadałem tę historyjkę. Obaj cieszyli się, jak rozigrani chłopcy. Ale Dedecius miał w sobie jeszcze taką zadziorną nutkę: a widzisz?

Kiedyś pisałem już o tym, że nie ośmieliłem się zapukać do pokoju Tadeusza Różewicza w hotelu w Hamburgu, choć on oczekiwał takiej wizyty. Naza jutrz rozmawialiśmy o tym, siedząc obok siebie w autobusie i sporo rozmawiając przede wszystkim o Przybosiu. Jechaliśmy na wystawę tak zwanego skarbu Tutenchamona. Żałuję, że nie ośmieliłem się zapukać.

Ale wtedy do głowy nie przyszedłby mi nawet taki pomysł. Tadeusz Różewicz, podróżujący z trupą teatralną, nie przestawał być jednym z największych poetów na tej planecie, któremu nie powinienem zakłócać spokoju.

Żałuję tej możliwości wspólnego picia koniaku (mieliśmy pić koniak), bo wiem, że rozwinęłyby się opowieści o Mistrzu i o Helmucie, opowieści, które fragmentarycznie przydarzały nam się przy okazji prób *Odejścia Głodomora*, czy podczas innych spotkań.

To najbardziej zdumiewające (i czułe), 6 grudnia któregoś tam roku, kiedyś też wspominałem, ma dla mnie po jego śmierci i uroczystościach pogrzebowych sens pogłębiony. Wtedy mówił: pan pewnie wierzy w świętego Mikołaja? Odpowiedziałem, że wierzę i że na pewno przyjdzie do mnie święty Mikołaj. A przecież już przyszedł do mnie, obdarzając tym spotkaniem z Tadeuszem Różewiczem. W czerwonej czapeczce z pomponem. Tak zwanej narciarskiej czapeczce. Ale nie wiem, czy czegoś nie konfabuluję.

Różewicz mówił o wierze jako łasce. I o szczęśliwości tych, którzy dostąpili tej łaski. Myślę, że i niewiara bywa niekiedy stanem łaski. Danej takim wybrańcom, jak Tadeusz Różewicz. Wybrańcom doświadczanym tak, jak naród wybrany.

PIOTR MATYWIECKI

Prostota

Słowo zakazane w dzisiejszej krytyce poetyckiej i w refleksji poetów o sobie: prostota.

Dla teraźniejszego uprawiania poezji i myślenia o niej pojęcie prostoty jest obojętne. Nawet poeci z pozoru kultywujący prostotę jedynie z nią grają, a stawką tej gry czynią bardziej jeszcze skomplikowane wyrafinowanie.

Jedynym poetą dzisiejszego czasu, który – przynajmniej kiedyś – zachował walor i filozofię prostoty jest Tadeusz Różewicz.

Myślę o jego wierszach z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, wierszach z tomów *Rozmowa z księciem*, *Zielona róża*, *Nic w płaszczu Prospera*, *Twarz trzecia*, *Regio*.

Wiersze z tamtego czasu są jak węzeł splatający etyczny radykalizm „Niepokoju” z rozpięchającymi się w błahości wątkami masowej kultury, tak chętnie wykpiwanymi w późnej poezji Różewicza. Chociaż te etyczne i cywilizacyjne dylematy nie zawsze są na powierzchni ówczesnych wierszy, to jednak dramatyzują się w ich głębi.

Ironia, sarkazm i krytyka masowej kultury nie byłyby wiarygodne, gdyby nie tamto świadectwo prostoty.

W tamtych latach opublikował zapomniany dzisiaj esej *Sezon poetycki – jesień 1966*, ongiś bulwersujący. Padły w nim zdania prowokacyjne:

„Myślę o poezji pozbawionej wszelkich interesujących właściwości. Poezja, która może być znów poezją anonimową, »głosem anonima«. Do tego dążyłem przez wszystkie lata. (...) To, co wszelkiej maści »nowatorom« wydaje się czyścicem, a nawet piekłem, anonimowość, brak osobowości twórczej, brak owego znaczka rozpoznawczego – dla mnie jest oczyszczeniem”.

Ten manifest brzmi dzisiaj szczególnie, inaczej niż wtedy. „Osobowość twórcza” bywa negowana nie przez tęsknotę do poezji powszechnej, „anonymowej”, a przez swojego rodzaju unieważnienie personalizmu przez językowy automatyzm.

Czy w swojej liryce z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku Różewicz był „anonimem”? Chociaż to deklarował, to jednak nie. Na szczęście nie.

Mówił głosem „białym” – a nie było to słynne „wyzerowanie” języka opisywane w tamtej epoce przez Rolanda Barthesa, ani „neutrum” poetyckiej narracji znane z teorii Maurice Blanchota. Chodziło o coś p r o s t e g o: dar złączenia w jednym drobnym liryku myśli, obrazu, alegorii, symbolu, konkretnemu, nastroju. I czegoś szarpającego sumienie. Całość sztuki słowa obejmowała wszelkie ludzkie doświadczenia. Gdyby komuś taka kwalifikacja arcydzieła wydała się naiwna, to znaczy, że nigdy nie przeżył lektury liryków lozańskich.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Noty o Różewiczu

Religijny wymiar poezji Tadeusza Różewicza to zagadnienie wiary i niewiary. Dramatyczny problem – czy jest Bóg?, a więc w gruncie rzeczy pytanie o wartości, obecny jest od pierwszego tomu, który z nadzieją powitał Czesław Miłosz.

Przeżył piekło wojny, był żołnierzem Armii Krajowej. Jego brat Janusz został rozstrzelany przez gestapo. Swoją niewiarę zestawiał z silną wiarą matki, którą bardzo kochał.

Życie bez wiary i umierać bez nadziei? Można, ale jest to jednak duży brak. A miłość (*agape*)? Czy można przeżyć życie i nie doświadczyć jej choćby najmniejszego działania?

Dobro i zło, prawda i kłamstwo, światło i ciemność, tajemnica i sens. Czy są ważniejsze sprawy dla człowieka? Czy jest jakiś inny wybór?

W roku 1955 w *Kartkach z gliwickiego dziennika – Jak powstała moja poetyka?* mówi, że współczesne wiersze są lepsze od dawniejszych, ale straciły sens i rację bytu i to jest ich główna słabość. Wiedział, że potrzebna jest „nowa poezja”, że trzeba dla niej czyścić pole i starał się to robić.

W 1957 pyta: Jaka jest zasada, która rządzi twórczością, jaki jest jej cel? I stwierdza, że człowiek bez wiary jest pusty i biedny, a ci, co mają ten dar, są bogaczami.

Człowiek, który stoi pod ścianą.

Nie miał wiary, stracił ją i długo nie doświadczał jej mocy. Był biedny, pusty, a jednak...

Próbował pisać „nową poezję”.

W 1958 roku wyznał, że dwadzieścia lat nie był u spowiedzi, że nie umie się modlić, ale pragnie wiary i do niej dąży. Chce do niej wejść, ale nie może przekroczyć jej kręgu. 22 kwietnia notuje: „Jaka jest sytuacja człowieka, który nie wierzy w Boga, ale jest człowiekiem... wierzącym? Jest człowiekiem, który pragnie wiary. Przez wszystkie lata niewiary pragnę wiary. Dążę do wiary. Muszę pościć w ukryciu. Dążę do tego”.

Rok później: „Piszę. Piszę rzecz »nie mo żli wą«. A w 1960: „Otworzyłem nagle *Wyznania* Augustyna i to były pierwsze słowa: »19. Precz z tym wszystkim. Poniechajmy tych rzeczy czczych i bez wartości! Zabierzmy się jedynie i wyłącznie do szukania prawdy. Życie jest marne, a godzina śmierci nie jest nam znana. Jeśli zaskoczy nas nagle, to w jakim stanie będziemy, gdy stąd odejdziemy“.

Gdyby współcześni poeci chcieli wziąć do serca te słowa, to żyliby w innym świecie.

W tym samym roku notuje: „Moja Droga krzyżowa odbywa się w burdelu, kryminale i wesołym miasteczku. (...) Moje wiersze to nie »**poezja**« – **to są rzeczy**. Cóż to ma wspólnego z »poezją«. (...) Czy współczesna literatura jest **tylko** literaturą. U nas? Czy może istnieć jako »piękna sztuka pisania«. Jest pokutą. Wyznaniem win. Cudzych i własnych”.

Mówi o pogardzie dla całej literatury (poza wyjątkami), a o pisaniu, że jest to budowanie murów własnego więzienia. Mówi o wypruwaniu flaków z pu-

stego wnętrza i że jego główną trudnością jest walka ze zwątpieniem, które tkwi w nim jak zaporą.

Jest to sytuacja krańcowa. Rozpad, duchowe ruiny. Pustka i wypełniająca ją wielkie Nic. Na myśl przychodzi Nic Mistrza Eckharta i Nic Becketta.

Tworzy poetykę otwartą, bez przepisów. Otwartą na cztery wiatry?

Nie wiedział, gdzie jest światło, gdzie ciemność, gdzie prawda, gdzie fałsz i kłamstwo, gdzie strona prawa, a gdzie lewa? Nie wiedział tego?

Długo nie ma Boga w jego wierszach, nie ma w nich też i diabła.

Jaka więc jest jego walka?

Knebel lub udawanie, „okrągłe perełki”. Czy tylko taki miał wybór?

W wierszu pt. *Poetyka* mówi: „Pieśń bez miłości / jest martwa”. Jaka miłość jest w jego wierszach? Co i jak mówi o niej, do kogo i po co?

W wierszu pt. *Świadek* stwierdza, że jest świadkiem „miłości / którą zwycięża śmierć”.

W tych wierszach jest nie tyle walka, co upór, prawdziwy upór, nie udawanie.

Wiersz pt. *Kara z Rozmowy z księciem* (1960):

Już dziś
w tej chwili
życie bez wiary jest wyrokiem
przedmioty stają się bogami
ciało staje się bogiem

jest to bóg bezwzględny i ślepy
swego wyznawcę połyka trawą
i wydalą

Czy można jaśniej?

Ale w większości jest to jednak nie-dopowiedziane, nie-rozjaśnione, w zamieszeniu. Tak, człowiek nie raz doświadcza utraty wiary, ale przecież nie wymazuje to wiary ze świata, ona jest.

Czy rzeczywiście „najplastyczniejszym / opisem chleba / jest opis głodu”? I czy: „Brak głód / nieobecność / ciała” jest rzeczywiście „opisem miłości” i najlepszym „erotykiem współczesnym”? Na tyle to efektowne, co pozorne i chyba nieprawdziwe.

W poemacie pt. *Et in Arcadia ego* (1961) opisuje swoją włoską podróż – upał, ciszę i wyludnioną ulicę w Neapolu, zetknięcie z diabłem, górę nad zatoką, pensjonat trzeciej kategorii, lustro, zgiełk, krzyki, noc i wędrówkę dusz, czarne niebo, neony, grające szafy i automaty, otwarty pusty kościół, rozpalone ciała i harmider, hałas słów, „w ślepej uliczce serce Jezusa / przebite mieczem w girlandzie żarówek”, *Pietę* Michała Anioła, Kaplicę Sykstyńską i *Sąd Ostateczny* (pisałem o tym z jego inspiracji w kontekście *Tryptyku rzymskiego* Jana Pawła II), piękno, wstrząs, głosy, barwy i niewidzenie, chaos, ruch, stwarzanie, odmienienie, rzeczywistość pełną pęknięć, przez które przenika wyobraźnia, kanały w Wenecji, szczęście, Bazylikę Świętego Marka, płonące Lido, kukły i ciała, słońce, defiladę i wstępowanie miasta w niebo, czerwień pompejańską, przezroczystą zatokę, płacz.

W roku 1963 mówi, że nie widzi sensu, że nie wie, w jakim celu ma coś (co?) wyrażać.

„Dwoistość równoczesnego widzenia – robak w róży, trup na obrazie Rubensa, rzeźnia i Gioconda, wiosenny baranek zmartwychwstania prowadzony do szlachtuza, miłość wreszcie, co zmienia się w śliskie i lepkie okrucieństwo – funduje całą lirykę Różewicza. Powtarza tak, w tysiącnych przekształceniach, pierwsze doświadczenie młodego chłopca, który w czterdziestym pierwszym czy drugim roku wyruszył z karabinem do partyzantki – po to by w okrutnym utożsamieniu poznać zarazem i życie, i śmierć” – stwierdza w *Ścieżkach donikąd* (1963) Jan Błoński. Zauważa, że nawet u Camusa jest wytyczona droga nadziei, że i u Becketta istnieją rozmaite metafizyczne furtki.

Literatura jako droga, poezja jako droga. Ale jaki jest cel, co jest tu punktem omega?

Błoński mówi, że Różewicz pozostał katastrofistą, że jego liryka i teatr są „nieruchome, statyczne”, że ruch u niego stracił sens, który instynktownie utożsamiał z celem i stwierdza: „Czas chrześcijaństwa jest czasem strzały. Chrystus smartwychwstał i strzała ruszyła, każdy zaś moment, co mija, tylko w przyszłym celu może znaleźć usprawiedliwienie. Jeśli nie ma punktu omega, do którego zdąża los i świat, wszystko nieruchomieje w absurdzie. Nie ma dokąd wycofać się i można tylko powtarzać to samo zdanie, rozdrapując ranę, z której tryska poezja – daremna. Świat jest labiryntem zaułków. I tak istota poezji Różewicza stała się prawdziwą kwadraturą koła: nihilizmem tragicznym”.

Czy znalazł wyjście z tej sytuacji?

Co jasnego i budującego jest w tej poezji?

Może uśmiech? Za tymi niezliczonymi słowami i wersami – uśmiech poety.

Mówić w sposób zrozumiały, językiem potocznym, prostym, w miarę możliwości bez metafor i zbyt wielu środków stylistycznych. Pisać komunikaty – ale komunikaty z czego? Z budowania, czy z burzenia? Z drogi, czy z tkwienia w miejscu? Z trwania w sobie, czy z przemiany? Komunikaty siły, czy bezsiły? Nadziei, czy beznadziei?

W wierszu pt. *Cierń z Reggio* (1969) mówi (a powtarza to wielokrotnie), że nie wierzy, ale że myśli o Bogu – w perspektywie życia i w perspektywie śmierci.

Z tego okresu są wiersze o aniołach i wiersze, w których mówi o wieży Babel, o chuście świętej Weroniki, o sercu Jezusa w cierniowej koronie, o Baranku, o złocistym świetle i *lacrima Christi*, a także przejmujący, pełen ciszy *** (*rzeczywistość którą oglądałem...*).

Zjawiają się: Szekspir, Gogol, Tołstoj, Dostojewski, Kafka, Nabokov, Camus, Staff, Przerwa-Tetmajer. Mówi o umieraniu poezji i o nowej poezji, o słowach, o ich mocy i nie-mocy, o samotnym poecie, o jego kłamstwie i o pisaniu.

„Czy jestem larwą nowego?” – pyta.

W *Sobowtórze* (1973) Poeta pytany przez Drugiego, jakie trzy książki chciałby zachować, wymienia: stary tom pism Adama Mickiewicza i *Ewangelię Świętego Pana Naszego Jezusa Chrystusa*. Żył i pisał w cieniu tych ksiąg – zapatrzony w nie i przytłoczony nimi.

Wypisując niezliczone słowa, czekał na objawienie się Słowa i na moc, która pozwoli mu je unieść.

Pisał satyry, parodie i pastisze, groteski, pół-groteski i humoreski. To była jego obrona i atak.

Jednak jest jakiś mozół w tej poezji, zapętlenie. I *sacrum* jest dla niej ratunkiem, jej wentylem bezpieczeństwa.

Sporo jest w niej rekwizytów i rupieci, jest także zwięzłość i wtedy jest najlepsza i jest rozgadanie, jakby przewijanie pustych szpul. Jaki jest jej duch?

W *Płaskorzeźbie* (1991) w wierszu pt. *Bez* mówi, że „największym wydarzeniem / w życiu człowieka / są narodziny i śmierć / Boga” i stwierdza: „życie bez boga jest możliwe / życie bez boga jest niemożliwe”. O jakiego „boga” tu chodzi? I dlaczego do „najważniejszych wydarzeń” nie dodaje Zmartwychwstania?

W tym tomiku są tak niezwykle wiersze jak poświęcony pamięci Konstantego Puzyny *** (*Czas na mnie...*) i *** (*Einst hab ich die Muse gefragt...*).

W posłowniu do wyboru z 1995 roku mówi o „ogrodach, śmietnikach, świątyniach, cmentarzach, drogach i bezdrożach” swojej twórczości. I tak jest. Twórczość Tadeusza Różewicza to rozległe i zróżnicowane pole. Jest w niej wiele wspaniałych, niezapomnianych wierszy, ale jest i wiele długich, o wiele za długich, w których niewiele jest poezji. I on to wiedział, widział to i nic nie mógł na to poradzić.

Ta ścieżka zaprzeczeń, opisywania czegoś przez zaprzeczenia jest dla mnie za łatwa. W jego wierszach, prozie i dramatach jest sporo łatwizn i mielizn.

Mówił o języku martwym, o braku ducha, o trudzie i nieradzeniu sobie i nie były to czcze słowa i wykręty.

Jaki sens jest w tym, żeby najpierw odwrócić się od Boga, a potem długie lata żalić się, że Go nie ma, że się Go nie widzi? Czy to Bóg nas opuszcza, czy my odchodzimy od Niego? Zagłuszamy Go w sobie różnymi przedmiotami i błyskotkami, gadżetami i fajerwerkami, złą sztuką i całym tym zgiełkiem.

„Poeta ateistyczny” – to brzmi jak wyrok.

W tomiku *wyjście* (2004), który przysłał mi z dedykacją: „Zagadkowemu / panu Krzysztofowi Myszkowskiemu / przesyła / na gwiazdkę / Tadeusz Różewicz”, pisze o słowach i kamieniach, a w wierszu o aniołach mówi, że „Anioł Stróż i Diabeł Stróż/ zaczęły walkę” o jego duszyczkę. W następnych wierszach: „zamyka oczy widzi stopy dwie / gwoździem przebite // te odlatują z planety”, mówi o „świetle / nowo narodzonym / w Betlejem”, o Zmartwychwstaniu Jezusa i o jego objawieniu w świecie – „ten co był prawdą”, widzi pustkę i zagrożenie, rozpad i śmiertelne niebezpieczeństwo – „napis Mane Tekel Fares / w Babilonie nóż na gardle człowieka”, opowiada o Dietrichu Bonhoeferze, który „szedł za Chrystusem / naśladował Chrystusa”, stwierdza, że „najkrótsza droga do Boga / to Trwoga”, ale dużo jest w tym tomiku także poetyckiego miału, katarynkowego ecie pecie. Czy zwrot: „między apokalipsą i sielaneką” jest dobrą na to wszystko formułką? W wierszu pt. *dłaczego piszę?* próbuje wyjaśnić swoją sytuację poety, który zmaga się z tym, żeby pokazać „To”, ale nie ma „potrzebnych środków technicznych / ani siły / ani wiary / która przenosi góry”, więc nigdy tego nie dokona. Ale w rozmowie ze mną (patrz: *Rozmowy z Różewiczem*) powiedział, że „to” – Bóg, *sacrum* jest w jego twórczości, ale muszę sam to zobaczyć, sam muszę do tego dojść.

Nie był ani nihilistą, ani ateistą, był agnostykiem. Czy jednak nie za bardzo uwikłał się w ateistyczne nurty i prądy XX wieku?

Pisać prawdę, mówić prawdę, być prawdziwym w tym zalewie kłamstwa, w jakim żyjemy – to jest wysoki cel. Ale co to jest prawda? W *wyjściu*, w wierszu pt. *Palec na ustach* mówi:

nikt nie odpowie
na pytanie
co to jest prawda

ten co wiedział
ten co był prawdą
odszedł

Trzeba z uwagą czytać tę poezję, docierać do jej sensów i próbować ją zrozumieć.

Tyle z niej zostanie, ile jest w niej dobra i światła lub dążenia do nich. Reszta w najlepszym razie przemieni się w popioły.

Ci, co poszli za modą minionego wieku, za trendem, że Boga nie ma, co i teraz jest modne, poprawne politycznie i opłacalne, to nic, że na krótką metę, już prawie poginęli – ich słowa nad podziw szybko zatarły się, rozwiały i przepadły.

Miałem swoje rozmowy z Różewiczem. I miałem z nim swoje milczenia, nie-dopowiedzenia i przechodzenia do porządku, chociaż dobrze wiedział, o co mi chodzi i raz po raz przez różne sygnały i znaki odwoływał się do tego.

Wiem, że bez niego inna byłaby polska poezja współczesna i inne byłyby w niej możliwości.

Do numeru na dwudziestolecie „Kwartalnika” zamiast wierszy przysłał trzy układające się w cykl fotografie – niezwykle i wydawać by się mogło, że zaskakujący tryptyk. Od dawna zapowiadał tekst o uśmiechach starych ludzi. Mówił, że ciągle coś zmienia i poprawia. Już go nie napisze. Od jego żony dostałem fotografie, które miały być ilustracją do tego tekstu i ten niezwykle wiersz – *Znalezisko*.

Żegnaj Panie Tadeuszu. Będę o tobie pamiętać.

LESZEK SZARUGA

Drogi Krzysztofie,

rzeczywiście mam problem. Piszesz, że *post mortem* dla Tadeusza Różewicza to dla mnie tekst równie łatwy, jak trudny. I jest to prawda, dla wielu różnych powodów. Po pierwsze – był człowiekiem, którego znałem od zawsze, od dzieciństwa, gdyż przyjaźnił się z moimi rodzicami i przyjeżdżał dość często do nas na Głębokie pod Szczecinem. Po drugie – gdy po latach starałem się dystansować wobec literatury i życia literackiego, stał się jednym z moich Mistrzów. Przy tym był Mistrzem szczególnym: umiał, by tak to określić, być pisarzem zachowującym swoje człowieczeństwo. Jest pisarzem wielowymiarowym, trudnym do opisanego w gotowych, zamkniętych formułach. Tym, co w moim pojęciu czyni go twórcą szczególnym, jest dialogowość jego utworów, ale też nie do przecenienia wydaje mi się jego poczucie humoru, specyfika autoironii jego tekstów. Bo, gdy się zastanowić, to jest pisarz bardzo świadom swej wysokiej, by nie powiedzieć, arcy mistrzowskiej pozycji, ale przy tym, jak niewielu ludzi sztuki, oddanym przede wszystkim swej kondycji człowieczej, owego mieszkańca małego miasta północy, bohatera *Kartoteki* (z której tekstem potrafił się bawić aż po ostatni tom!).

Zawsze byłem dlań pełen podziwu, szacunku i zdumienia dla jego zdolności uchylania się romantycznej roli Poety, Wieszcza. A przecież nim jest i pokolenia polonistów, literaturoznawców, będą się żywiły jego słowami. Wiesz doskonale, że poświęciłem mu książkę, może niezbyt uczoną, ale chyba pokazującą wielkość jego dzieła. I to nie jest książka wyznawcza – staram się z nim polemizować w kwestii tego, co jest językiem poezji czyli tego, co chyba w tym świecie najważniejsze, gdyż pozwala się zbliżyć do tajemnicy, o której wiemy, że jej nie poznamy nigdy.

Wybacz zatem, że zamiast „poważnego tekstu” przesyłam Ci tych kilka refleksji.

Serdecznie

Leszek

Tadeusz Różewicz w „Kwartalniku Artystycznym”

Nr 2/1994: *** (*Czas na mnie...*) (wiersz); *Ufajcie obcemu przechodniowi* – z Tadeuszem Różewiczem rozmawiają Richard Chetwynd i Grzegorz Musiał

Nr 4/1996 (12): *Po co piszę?* (ankieta)

Nr 4/1997 (16): *Wymiar iluzji* (szkic)

Nr 3/2002 (35): *To, co zostało z nienapisanej książki o Norwidzie* (proza i wiersze); *nic o tobie nie wiem* (wiersz); *Kartki wydarte z dziennika*; *Ucieczka świnek dwóch* (z obozu zagłady – rzeźni) (wiersz); *Jeszcze próba*; *Klucze do nieba* (fragment sztuki); *Trzy karty do Przyjaciela K.F.*; *ten to też; dlaczego piszę?* (wiersze)

Nr 1/2003 (37): *kamień filozoficzny*; *na wyspiańską nutę*; *list pisany zielonym atramentem* (wiersze)

Nr 4/2003 (40): *palec na ustach*; *luksus*; *taki to mistrz* (wiersze)

Nr 1/2004 (41): *cmentarz wierszy*; *mowa rozmowa dialog*; *biedny poeta Stachura*; *słowa* (wiersze); *bez odwołania* (proza)

Nr 3/2005 (47): *Nie karać, ale wychowywać* (szkic)

Nr 4/2005 (48): *barwy Rzymu*; *Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym* (wiersze)

Nr 1/2006 (49): *Wrota śmierci* (wiersz); *Dnia 10 listopada 2005 roku* (wspomnienie)

Nr 2/2006 (50): *drobne ogłoszenia i wróżby*; *biedni ludzie* (z cyklu depresje); *Elegia*; *Łódź; dwie siekiery*; *To się złożyło (1885–1977)*; *pokusy* (wiersze); *Fotografie i rysunki*

Nr 2/2008 (58): *Odaliska Ingres’a* (wiersz)

Nr 3/2008 (59): *Poeci, pasztet i katedra*; *Pochwała tłumaczy i Billa Johnstona* (szkice)

Nr 4/2010 (68): *Zwiastowanie*; *nie wypowiedziane*; *W środku życia* (wiersze); *Jak powstawała moja „poetyka”* (kartki z gliwickiego dziennika)

Nr 2/2011 (70): *Oktostychy* – *** (*Zbyt wysoki Twój tron, o Boże!...*); *** (*Księżyc jest jak wycinanka...*); *Stara panna*; *Może*; *Zakonnica*. *Dyskusja: A, zapomniałem*; *Wszystko jest poezją* (wiersze)

Nr 4/2011 (72): *List do Krzysztofa Myszkowskiego*; *jubileusz*; *** (*Witkacy uważał dotyk za...*); *w młodości* (wiersze); *Krzysztof Myszkowski w rozmowach z Tadeuszem Różewiczem*

Nr 4/2012 (76): *Jak szybko zmienia się człowiek* (fotografie, zapis)

Nr 2/2013 (78): *Mozaika bułgarska z roku 1978* (wiersz); *Listy do Hanny i Mieczysława Porębskich i do Stanisława Różewicza*

O Tadeuszu Różewiczu w „Kwartalniku Artystycznym”

Nr 2/1994: Grzegorz Musiał, *Gniewnie pięknie, niezłomnie prawdziwie* (szkic o rozmowie z Tadeuszem Różewiczem)

Nr 2/1996 (10): Krzysztof Myszkowski, *Coś się skończyło* (szkic)

Nr 3/1996 (11): Jarosław Klejnocki, *Obowiązki starego poety* (recenzja zawsze fragment)

Nr 2/1998 (18): Krzysztof Myszkowski, *Nowa „Kartoteka”* (recenzja *Kartoteki* oraz *Kartoteki rozrzuconej*)

Nr 2/2000 (26): Paweł Majerski, *Medaliony Różewiczów* (recenzja *Matka odchodzi*)

Nr 4/2000 (28): Jacek Gutorow, *Wieszcz w kapciach* (recenzja *Uśmiechów*)

Nr 3/2001 (31): Mirosław Dzień, „*Nożyk profesora*”, czyli o *świecie między wierszami* (recenzja *Nożyka profesora*)

Nr 2/2002 (34): Krzysztof Myszkowski, nota o Różewiczu Zbigniewa Majchrowskiego

Nr 3/2002 (35): Julian Kornhauser, *Wiara i niewiara. Droga poetycka Tadeusza Różewicza*; Krzysztof Myszkowski, *Znaki Różewicza* (eseje)

Nr 4/2002 (36): Bogusław Kierc, *Światło między wersami, światło między zwrotkami* (recenzja *szarej strefy*)

Nr 1/2004 (41): Leszek Szaruga, „*Oko poety*” (recenzja *Prozy (1)* z *Utworów zebranych*)

Nr 4/2004 (44): Leszek Szaruga, *Palenie króla Ducha* (recenzja *Prozy (2)*); *Wstyd być poetą* (recenzja *Prozy (3)* z *Dzieł zebranych*)

Nr 1/2005 (45): Mirosław Dzień, *Wyjście w stronę bieli* (recenzja *wyjścia*); Leszek Szaruga, *Pytanie* (recenzja *Matka odchodzi* z *Dzieł zebranych*)

Nr 2/2005 (46): Leszek Szaruga, *Życie snem* (recenzja *Dramatu (1)*); *Z.S.* (recenzja *Naszego starszego brata* z *Dzieł zebranych*)

Nr 3/2005 (47): Leszek Szaruga, *Pelasia* (recenzja *Dramatu (2)* z *Dzieł zebranych*)

Nr 4/2005 (48): Leszek Szaruga, *Didaskalia* (recenzja *Dramatu (3)* z *Dzieł zebranych*)

Nr 1/2006 (49): Leszek Szaruga, *Satyr* (recenzja *Poezji (1)* z *Dzieł zebranych*)

Nr 2/2006 (50): Wisława Szymborska, *Życzenia dla Tadeusza Różewicza*; eseje i szkice: Jacek Bolewski SJ, *Żegnanie Boga Poety*; Julian Kornhauser, *Wizja i rów-*

nanie; Czesław Miłosz, *Dedycje dla Tadeusza Różewicza*; Czesław Miłosz, *Różewicz*; Aleksander Fiut, *Dialog niedokończony*; Piotr Matywiecki, *Trzy spotkania na równinie*; Krzysztof Myszkowski, *Wędrówka i kres; Głosy i glosy na 85. Urodziny Tadeusza Różewicza*; Robert Cieślak, *Widzenie Różewicza*; Mirosław Dzień, *Światło na kamyku albo o Tym, który odszedł*; Aleksander Jurewicz, *Przestrzeń*; Bogusław Kierc, *W klatce z Różewiczem*; Olga Lalić, *Moje ocalenie – cisza*; Jacek Łukasiewicz, *Różewiczowskie dzieło w toku*; Piotr Michałowski, *Różewicz – nieruchomy punkt odniesienia*; Stanisław Różewicz, *Drzwi w murze*; Andrzej Skrendo, *Niewczesna poezja Różewicza*; Piotr Sommer, *Różewicz*; Agata Stankowska, *Inne stany arcy-poezji*; Leszek Szaruga, *List półprywatny do Tadeusza Różewicza*; Zbigniew Żakiewicz, *Tadeusz Różewicz i nasze pokolenie*; Anna Frajllich, *Najdroższe i najpiękniejsze; List do Tadeusza Różewicza*; Głosy studentów Uniwersytetu Columbia – na kanwie Grzechu Tadeusza Różewicza; Leszek Szaruga, „*Język ludzki*” *Tadeusza Różewicza: recycling* (szkic); Leszek Szaruga, *Poezja, która (nie) przegrywa* (recenzja *Poezji* (2) z *Dzieł zebranych*)

Nr 3–4/2006 (51–52): Julian Kornhauser, *Różewicz i Beckett* (esej); Leszek Szaruga, „*Poezja ma zdrowe rumieńce*” (recenzja *Poezji* (3) z *Dzieł zebranych*); *W piaskownicy z dadaistami* (recenzja *Poezji* (4) z *Dzieł zebranych*)

Nr 1/2008 (57): nota Krzysztofa Myszkowskiego o *Nauce chodzenia/gehenn lernen*

Nr 3/2008 (59): Leszek Szaruga, *Wor(e)k in Progress* (recenzja *Kota w worku (work in progres)*)

Nr 1/2010 (65): Leszek Szaruga, *W trybie oznajmującym* (recenzja *Korespondencji* Tadeusza Różewicza i Zofii i Jerzego Nowosielskich)

Nr 1/2011 (69): Leszek Szaruga, „*Głęboko we wnętrzu własnej tajemnicy*” (recenzja *Marginesu, ale... oraz Wycieczki do muzeum*); noty Krzysztofa Myszkowskiego z *Kartoteki: reprint* oraz z *Historii pięciu wierszy*

Nr 4/2011 (72): Krzysztof Myszkowski, *Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem (fragmenty)*; Leszek Szaruga, *Wieża Bubel* (szkic)

Nr 2/2012 (74): nota Krzysztofa Myszkowskiego z *Wbrew sobie. Rozmowy z Różewiczem*

Nr 1/2013 (77): Leszek Szaruga, *Podarunki* (recenzja *to i owo*)

Joanna Helander



JULIA HARTWIG

Po dniach czterdziestu

kuszenia na pustyni

*przeniósł Szatan Pana na szczyt świątyni
by ukazać Mu piękność świata
oddanego Szatanowi we władanie*

Nie mylicie się

to ja pan tego świata

Szatan który przeniósł Pana na szczyt świątyni

by ukazać Mu piękność świata

którego czuł się władcą

a Pan nie zaprzeczył mu

choć odmówił hołdu

Oddając świat w jego ręce

wystawił nas Pan na wielką próbę

byśmy potrafili być szczęśliwi

nawet w rozpacz i w chaosie

Komu wiele dano

od tego wiele wymagać się będzie

a komu wiele zlecono

tym więcej od niego żądać będą

Jak długo może
tak w niewidzialności trwać
upadły anioł
jak długo czuwać będziemy
nad uśpionym
a kiedy się zbudzi
po jakiej ustawi się stronie

czyż nie wiecie
że będziemy sądzić także anioły
pisze święty Paweł w Liście do Koryntian
a my wciąż
głusi i niemi
czekamy

JERZY SIWIEC

Wyznawca

Zawsze miałem wątpliwości, co do wartości różnych sposobów egzegezy Herberta: jaki był naprawdę, co poeta miał na myśli itd. Jeśli ktoś naprawdę chce wiedzieć, jaki Herbert był, wystarczy przeczytać jego wiersze. Tam jest wszystko. Co myślał o życiu, o ludziach, jakie miał poglądy, jaka była jego metafizyka, jakie było jego dzieciństwo, postrzeganie świata, reakcja na sztukę. Herbert niczym się nie różnił w tym, co pisał, od tego, jaki był. Tam jest dokładna transmisja. Nie ma żadnego udawania. Jeżeli uważnie czyta się te wiersze, to można znaleźć wszystko. Nie tylko o Herbercie, bo moim zdaniem jest tam odpowiedź na większość pytań ludzkości. To poezja prosta w sensie formalnym, bo nie ma w niej wyrafinowanych metafor, czy skomplikowanych przełożeń. Natomiast jest wieloznaczność.

Jestem wyznawcą Herberta i nie ukrywam tego. Wyznawcą fanatycznym. I jestem dumny z tego powodu, bo bycie wyznawcą nie jest niczym złym, pod warunkiem, że to, co się wyznaje, ma wartość. Byłem wyznawcą, zanim mogłem przypuszczać, że kiedyś osobiście spotkam obiekt kultu. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych istniał wąski krąg wtajemniczonych, którzy poznawali się po rzucanych od niechcienia cytatach. Wystarczyło w rozmowę wpleść: „Sprawdzamy, czy nie wyschła jeszcze ludzka życzliwość” i już widać było, że jedna osoba na dziesięć zareagowała i od razu wytwarzało się pewnego rodzaju porozumienie. Bo czytać można, ale aby zapamiętać, to już trzeba się przyłożyć. Opowiadałem kiedyś Herbertowi o tym kodzie cytatów. Ale on był do rozmaitych objawów kultu krytyczny. Nie miał w sobie próżności, więc był chyba nawet skrępowany, co zwykle obracał w żart.

Zaraz po wybuchu stanu wojennego współpracowałem z Komitetem Prymasowskim Pomocy Osobom Uwięzionym. Dostaliśmy wiadomość od Herberta, że otrzymał niewyobrażalne ilości paczek z zagranicy. Była wtedy akcja pod hasłem „Paczka dla Polski”, bardzo wzruszająca, bo setki tysięcy ludzi, głównie z Niemiec, wysyłało paczki do Polski: do wszystkich znajomych, pod wszystkie adresy, a ponieważ Herbert był znany, to miał tych paczek dziesiątki i, co jest dosyć cha-

Wspomnienie Jerzego Siwca, nagrane przez Annę Romaniuk w listopadzie 2012 roku, ukaże się w roku 2014 w tomie pt. *Wierność. Wspomnienia o Zbigniewie Herbercie*, redakcja i opracowanie Anna Romaniuk, Dom Wydawniczy PWN, seria „Twarze”.

rakterystyczne, nigdy ich nie rozpakowywał, tylko od razu je przekierowywał na adres Komitetu. Nie otworzył żadnej z nich. Był jednak kłopot techniczny, żeby to dźwigać na pocztę i poproszono mnie, czy nie mógłbym pomóc. Pojechałem kilka razy na Promenady i tam Kasi pomagałem, z Herbertem spotkałem się, wymieniliśmy dwa słowa i właściwie to wszystko. Po czym po paru latach, już nie pamiętam dokładnie, jak to się stało, przypuszczam, że w związku z jakimiś medycznymi okolicznościami (byłem wtedy anestezjologiem, a Herbert miał ciężką niewydolność oddechową i bardzo silne ataki astmy, trzeba było mu podawać leki dożylnie, podłączać kroplówki), zaoferowałem mu fachową pomoc.

Z obu stron pojawiła się wówczas chęć, by kontynuować znajomość, która w rzeczy samej trwała przez ponad dziesięć lat, aż do jego śmierci. Widywałem go parę razy w tygodniu i często rozmawialiśmy po kilka godzin. Były momenty, że myślałem, żeby te nasze rozmowy nagrywać, ale potem sobie pomyślałem, że jednak nie, że co prawda to przepadnie, bo nikt nie jest w stanie tego zapamiętać, ale to było takie prywatne. Gdybym nagrywał, mimo szlachetności intencji, robiłoby to wrażenie załatwiania przy okazji jakiejś jeszcze innej sprawy, a tak była to czysta sytuacja. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, ponieważ Herbert był rozmówcą, który był w stanie przeprowadzić kompetentną, a jednocześnie niezwykle błyskotliwą rozmowę na prawie każdy temat. Miałem okazję sprawdzić zasoby jego rzetelnej wiedzy w różnych, nieraz przedziwnych dziedzinach. Gdzie się nie dotknęło, okazywało się, że ma temat przestudiowany. Pamiętam, jak kiedyś zeszło na psychoanalizę, nagle okazało się, że Herbert wie wszystko o Freudzie, jego pochodzeniu, rodzinie, życiu. Było mu to potrzebne do jednego maluteńkiego eseju, *Akropol i duszyczka*. Gdybym miał opisać podstawową cechę Herberta, poza oczywiście talentem, który jest darem od Boga, byłaby to niezwykła ciekawość świata, i to ciekawość łapczywa. Nie ograniczała się tylko do czytania. Powiedział mi kiedyś, że gdy pisze, musi pojechać i dotknąć tego, o czym pisze i nie jest w stanie napisać czegoś od razu. Wraca z podróży i po wielu miesiącach dopiero jest w stanie wrócić do tego dotknięcia, które pamięta i wszystko powoli się układa.

Herbert dostawał różne książki z wydawnictw, które głównie darował do bibliotek, ale niektóre dawał w prezencie i stąd mam niezwykle zestaw książek z jego dedykacjami. Są tam książki, które bardzo cenił, na przykład podarował mojej żonie historię malarstwa flamandzkiego z dedykacją: „Bożence, tę książkę którą cichcem wyniosłem z mojej biblioteki”. Do tomiku *Hermes pies i gwiazda* wpiisał jej wierszyk: „Nad niebieską stoją strugą, / Hermes z psem a gwiazdka mruga, / mruga, mruga tam wysoko – / czasem puści perskie oko”. Ale czasami były to przypadkowe książki, które dobrze mu pasowały do dedykacji, na przykład *Krew* –

mity i symbole z dedykacją: „Jurkowi – braterstwo krwi”. Dostałem też pięć egzemplarzy *Barbarzyńcy w ogrodzie*, z serią dedykacji propagujących palenie: „Na sam zapach nikotyny, / lecą wdowy i dziewczyny”, „Jednym forsa, innym eros, / Mądry sięga po papierosa”, „Choć lekarze rakiem straszą, / Papierosa nam nie zgaszają” itp. W dedykacji z *Elegii na odejście* nazywa mnie „opiekunem duchowym i dobroczyńcą”, a w *Hermesie psie i gwieździe* „mistrzem kombinacji alpejskiej i życiowej”. Do *Struny światła* wpisał: „Jerzemu Siwcowi, te wierszyki które pisałem, kiedy byłem jeszcze panienką”. Zdążył jeszcze zadedykować kilka książek mojemu synkowi, który urodził się w 1997 roku i na drugie imię otrzymał Zbigniew z powodów, których nie muszę tłumaczyć. Zbyszek widział go raz, czy dwa... Wtedy już leżał, właściwie nie ruszał się. I założył małemu taką biblioteczkę, głównie z klasyką, ale była też *Krótką historią wszystkiego* z dedykacją: „Jureczkowi, żeby interesował się zawsze, wszystkim”.

To jakby o samym Herbercie. Bo wiedza wiedzą, ale on umiał z tej wiedzy zrobić użytek niesłychany, dodać jeszcze niezwykły talent opowiadania. Czasami trudno było rozróżnić w jego opowieściach fakty sprawdzalne od fikcji. Zresztą w życiu by mi nie przyszło do głowy, żeby je rozróżniać. Na tym polegała cała przyjemność, by przyjmować opowieści Herberta takimi, jakimi były. Zbyszek miał sposób opowiadania niezwykły, choć dla osoby, która tego nie zna, trudny do zniesienia, meandryczny. Pojawiał się jakiś temat i Zbyszek mówił o nim kilka zdań bardzo ciekawie, po czym przechodził na zupełnie inny temat mówiąc równie interesująco, ale w sposób zupełnie nie związany z tematem wyjściowym, który jakby umierał. Po czym przechodził miękko do następnego i następnego, zupełnie wydawało się niezwiązanych ze sobą. I tak po godzinie słuchania, bo on nie wymagał czynnego udziału, okazywało się, że to idzie po kole, zaczynało się coś z tego wyłaniać i była pointa i nagle wszystko składało się w jedną całość. To było wspaniałe. Trzeba było tylko słuchać. Herbert nie napawał się swoją rolą. Jeżeli się dopowiedziało coś, przerwał, reagował i uwzględniał w toku opowieści. A po jakimś czasie wracał do poprzedniego rytmu.

I tak się te nasze spotkania przerodziły w rodzaj przyjaźni. Mam wszystkie powody, żeby sądzić, że traktował mnie jak przyjaciela. A ja miałem kłopot z tym, bo jak to – wyznawca przyjaźni się z obiektem swojego kultu. Oczywiście było mi bardzo miło, ale jednak przez cały czas nie byłem pewien, czy mi wypada. A z drugiej strony miałem związek z bardzo technicznymi, medycznymi sprawami, co zmniejsza dystans. Bo jak się wbija w czyjeś ciało ostre przedmioty, to tworzy się dosyć szczególny rodzaj bliskości. W archiwum Herberta powinna być taka sesja zdjęciowa z zakładania kroplówki. Zbyszek tam odstawił cyrk: Kasia powiedziała, że

zrobi zdjęcia, no i on nam całe swoje pierwszorzędne aktorstwo zaprezentował, miał bardzo silny zmysł komiczny. Zdjęcia wyglądają jak dokumentacja zbrodniczych eksperymentów medycznych. Mieliśmy taki pomysł, żeby na tyle, na ile się da, tę jego chorobę obśmiać, to może za dużo powiedziane, odebrać jej grozę. Gdy przychodziłem założyć kroplówkę, wówczas starałem się to zrobić, jakbym wpadł ot, tak, przypadkiem. I Zbyszek sobie siedział z tą kroplówką i rozmawiał. Ja coś poprawiałem, nie było namaszczenia, szpitala. Nigdy mi nie dał sygnału, że czuje się traktowany niepoważnie, bo taka była konwencja. Zbyszek w ogóle miał skłonność do *practical jokes*, co nie wszyscy czują. Sprawy medyczne były marginesem, powodem, dla którego bywałem u Herberta tak często. Natomiast to nie był powód, dla którego zostawałem tak długo.

Moja żona również przychodziła na Promenady. I czasami w trójkę czy we czwórkę siedzieliśmy. Przypominam sobie przyjęcie na siedemdziesiąte urodziny Zbyszka. Zestaw gości był specyficzny: osoby, które Zbyszek zaprosił, bo je lubił i chciał widzieć... Krzysztof Karasek, Hania Fedorowicz i jej mąż Jacek, Czesiek Bielecki, architekt i polityk, wtedy jeszcze niezależny (w prezencie przyniósł Herbertowi zdjęcie swojego domu). A dwie osoby były wyjątkowe. Pierwsza to była licealistka, która zwyciężyła w konkursie znajomości poezji Herberta, długi warkocz, miłe, młode, przestraszone dziewczątka, a jeszcze bardziej przestraszeni byli jej rodzice, którzy ją odprowadzili i chcieli sprawdzić, o co chodzi, bo podejrzewali, że została zwabiona do jaskini dekadencej, gdzie nie wiadomo, co się wydarzy, i uspokoił ich dopiero widok Jacka Fedorowicza, którego kojarzyli z telewizji. Bo jakby Karaska zobaczyli, to by się nie uspokoił prawdopodobnie. Więc była ta Klara, która siedziała cichutko i tylko słuchała.

A druga osoba to cała historia: wydawcą Zbyszka na zachodzie był niejaki Unselt, właściciel jednego z największych wydawnictw niemieckich, bogacz po prostu. Uwielbiał Zbyszka, uwielbiał jego poezję i właściwie umożliwiał mu te wszystkie podróże, bo wypłacał bardzo duże zaliczki. Stosunki między nimi były takie, jak zwykle pomiędzy wydawcą a autorem, mianowicie autor uważał, że wydawca go niecznie wykorzystuje, ponieważ żąda, żeby coś napisał, a wydawca uważał, że skoro płaci, to mu się należy raz na jakiś czas książka. I w którymś momencie, w nieznanych mi bliżej okolicznościach, jeszcze przed powrotem Zbyszka do kraju, straszliwie się pokłócili, Zbyszek zachował się bardzo brutalnie, zerwał stosunki. Biedny Unselt męczył się, bo uwielbiał Zbyszka, nie jako wydawca, raczej też jako wyznawca. Zbyszek był nie do przekonania. Kasia próbowała mediować. W jakiś sposób mnie udało się Zbyszka przekonać, żeby zakończył tę wojnę. Dosyć niechętnie, ale wyraził przyzwolenie, by Kasia zadzwoniła do



Zbigniew Herbert i Jerzy Siwiec z psem Kleksem w Konstancinie.

Unselta i zaprosił go na urodziny. Ten przełożył wszystkie spotkania, wsiadł do samolotu i przyleciał do Polski. Przysłał wcześniej z dziesięć telegramów, jak bardzo się cieszy. Przyszliśmy z żoną na przyjęcie urodzinowe godzinę przed innymi gośćmi, bo najpierw chciałem Zbyszkowi podłączyć kroplówkę, żeby był w formie. Kasia nas powitała w przedpokoju, mówiąc: „Przyjechał Unsel, zjadł całą miskę bigosu, wypił pół litra wódki, teraz śpi... Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”. Oczywiście obudził się na przyjęcie, chłopisko dwa metry wzrostu, i uczestniczył aktywnie w obchodach.

Pamiętam też, kiedy do Herberta przyjechał Josif Brodski, niedługo przed swoją śmiercią, już też mocno chory, tak znienacka zupełnie wpadł, akurat też byłem umówiony ze Zbyszkim, śniadanie było zorganizowane o 10.00 czy 11.00. Zbyszek był wtedy w kiepskiej formie oddechowej, Brodski w kiepskiej formie sercowej, więc dwóch ich takich ledwo żywych siedziało... A ja słuchałem z otwartymi ustami. Mówił głównie Brodski. Był drobny kłopot komunikacyjny, bo Brodski mówił po angielsku, więc Zbyszek wolniej reagował. Brodski opowiadał różne rzeczy, ale był tak przejęty, tak wzruszony, coś niezwykłego, nigdy tego nie zapomnę. Siedział, siedział, patrzył, coś tam mówił, mówił, po czym go zatykało, wstawał, podchodził do Herberta, ścisnął go, całował, mówił: „Zbiszek! Zbiszek!”, po czym siadał. A Zbyszek, który zwykle takiego osobistego kontaktu nie lubił, tu doceniał serdeczność Brodskiego i tak trwało to kolejnych dziesięć minut, Brodski opowiadał, opowiadał, po czym znowu miał przyływ uczucia, wstawał, podchodził i mówił: „Zbiszek!”, ścisnął go, całował i siadał znów. Ze trzy razy to się powtórzyło i nie było w tym nic komicznego, tylko to było niesłuchanie patetyczne. Spotkanie odbyło się z inicjatywy Brodskiego, który jednej rzeczy sobie zażyczył podczas pobytu w Polsce: żeby się spotkać z Herbertem. Nie znali się wcześniej osobiście, a Herbert Brodskiego znał tylko z poezji.

Mam też fotografie Zbyszka z naszego domu w Konstancinie, gdzie udało się go kilka razy przywieźć, gdy jeszcze był w stanie wychodzić. Na zdjęciach jest z psem, Kleksem. A słynnego kota Szuszu, który jest przedmiotem poetyckich uniesień Zbyszka, daliśmy mu w prezencie. Kot często leżał przy Zbyszku. A Zbyszek dwa ostatnie lata leżał właściwie cały czas. Męczył się. Miał asymetrię ciała, bo leżał wyłącznie na lewym boku, prawą rękę musiał mieć do pisania. Lewa ręka była dużo grubsza, ale już nic się nie dało z tym zrobić.

W ostatnich latach miał świadomość, że ogranicza go fizyczna słabość, podejrzewam, że mu brakowało aktywności, bezpośredniego kontaktu ze sztuką, więc szukał sposobów, żeby coś z tym zrobić. Zorganizował wyprawę na wózku inwalidzkim do Muzeum Narodowego na Caravaggia... Jak czegoś naprawdę chciał,

nie było odwołania. Poproszono go na przykład, żeby napisał wstęp do wielkiej wystawy „Tulipan w sztuce holenderskiej”, jako autora eseju *Tulipanów gorzki zapach* z tomiku *Martwa natura z wędzidłem*. I on wbrew wszelkim zaleceniom, również moim, postanowił jechać do Amsterdamu. W końcu powiedziałem, żeby jechał. Pojechał i tam się dramaty działy. Jego tłumacz, uwielbiający go, miły chłopak, sprowadzał pogotowie do hotelu. Ale wpuścili Zbyszka na tę wystawę przed otwarciem, obejrzał ją bez tłumów. Odbierałem go z lotniska. Był bardzo słaby.

Zbyszek palił, dopóki mógł palić, słabe papierosy, ale i tak natychmiast miał ataki kaszlu. A jak próbował rzucić całkiem, to się męczył. Miał dosyć obojętny stosunek do własnego zdrowia, prowadził fatalny tryb życia. Potem słyszałem opowieści, że był ciężkim alkoholikiem, który dogorywał w barłogu, zapijając się na śmierć. Kiedy go znałem, w ogóle nie pił, nawet najmniejszej ilości alkoholu. Po pierwsze dlatego, że nie bardzo miał ochotę, po drugie zdrowie mu nie pozwalało. Natomiast swoje ciało traktował w sposób dosyć brutalny. Nie obchodziła go długość życia i nie dałoby się o nim powiedzieć, że czepiał się życia za wszelką cenę albo że perspektywa, czy będzie żył dłużej o rok czy dwa, mogła cokolwiek zmienić. W pewnym momencie trafił do szpitala z taką niewydolnością oddechową, że był już zaintubowany i podłączony do respiratora, potem miał tracheotomię. W końcu wyszedł do domu (na własne żądanie oczywiście). I przyszedł na wizytę doktor, który go prowadził i twierdził, że tracheotomię Herbert musi mieć cały czas, a do mówienia trzeba zatykać tę dziurkę. Zbyszek nie chciał. W którymś momencie poprosił doktora, żeby wyszedł, wyciągnął tę rurkę i okazało się, że przeżył. A potem napisał *Epilog burzy*. Heroiczny wyczyn. Miał nieprawdopodobną siłę, co ujawniało się również w zachowaniach autodestrukcyjnych.

Do końca się buntował. Na przykład nie zawsze był zadowolony z tego, jak Kasia go karmi. I kiedyś tak się na nią obraził, że postanowił sam się stołować. Powiedział do mnie: „Jedziemy. Zapraszam cię do restauracji”. Nie było sposobu, żeby go powstrzymać, więc ubrał się, co trwało pół godziny. Potem zesliśmy z tych sześciu schodków na Promenady, co trwało następne pół. Kasia przerażona, została w domu. Jedziemy. Przypomniała mi się na szczęście jedyna restauracja, do której wchodzi się bez schodków, „Patron”, na przeciwko sądów na Lesznie. I tam podjechałem samochodem, były dosłownie dwa metry do przejścia. Zbyszek zamówił sobie schabowego i w ogóle wszystko, a potem poprosił, żeby to spakować, bo ledwo oddychał. Zmusił mnie jeszcze do pójścia do sklepu obok, gdzie nakupił sobie zup w proszku. To był najbardziej uparty i zdecydowany, niewzruszony, jak już coś sobie wymyślił, człowiek na świecie. Na szczęście większość rzeczy, które wymyślił i przy których się upierał, była głęboko słuszna i właściwa.

W opiniach o ludziach, wyciąganiu wniosków nawet z pojedynczych wydarzeń nie był to człowiek łatwo wybaczący i mający wzruszenie do ludzkiej słabości. Zresztą wobec siebie również, konsekwentnie. Bardzo trudno było go przekonać, żeby zmienił zdanie, jeżeli ktoś, jego zdaniem, zachował się w sposób niewłaściwy i bardzo źle był nastawiony do argumentów *duszeszczypatelnych*. Kiedyś opowiadał historię: w czasie stanu wojennego nie zgadzał się, by wystawiać jego sztuki, uważał, że to nieprzyzwoite, gdy ludzie siedzą w więzieniach. Zgłosił to w ZAIKS-ie i gdzie trzeba było. Aż tu jakiś reżyser z Wybrzeża chce jego sztukę wystawić. I już nawet zrobił próby, gdy dowiedział się, że jest zakaz. Przyjechał do Warszawy, żeby Zbyszka przekonać. Przekonywał, przekonywał, zupełnie bez żadnej szansy na sukces, do tego popełnił błąd, bo zaczął przechodzić na tory osobiste i mówić, że ludzie już pracują, że on ma żonę, dzieci... A Herbert na to: „To niech pan zabije żonę, niech pan zabije dzieci”. Nie było mowy. I właśnie takie różne wydarzenia, konflikty, które potem odbijały się echem, bo dotyczyły znanych osób, bardzo często wynikały właśnie z tego, że Herbert uznał jakiś powód za wystarczająco ważny i potem już bardzo trudno było wywołać u niego zmianę decyzji.

Kiedy Zbyszek zmarł, zaczęło się... Poszła fama, zupełnie bez sensu, że jego radykalne opinie o ludziach, sytuacjach, historii, były objawem choroby. Oczywiście te opinie były bardzo niewygodne dla wielu osób, które chciały go przeciągnąć na swoją stronę. Herbert miał nieprawdopodobnie kultowy stosunek do idei czynnej walki. Myślę, że miało to osobiste podłoże: był za młody, żeby uczestniczyć w walce czynnej w czasie wojny. Kiedy zgłosił się na ochotnika do Armii Krajowej we Lwowie, otrzymywał tylko zlecenia obserwacyjne. Ale tego mu było za mało, żeby czuć się uczestnikiem walki. I myślę, że z tego powodu, a może z powodu tradycji rodzinnej, bo to była rodzina o mocnych patriotycznych korzeniach, żywił wręcz uwielbienie do wszystkich, którzy mieli związek z czynną walką. Armia Krajowa była dla niego absolutną świętością. Jego przyjaciel Czajkowski, który był w „Zośce”, mój ojciec, który był w Powstaniu Warszawskim – byli ludźmi, których darzył najwyższym szacunkiem. Nikomu by nie wybaczył, nawet w ferworze polemicznym, sformułowania o bandytach z Armii Krajowej. Podobnie pierwsza „Solidarność”. Wierność dla niej owocowała tym, że Herbert pisywał do „Tygodnika Solidarność”. Raz dlatego, że nie chciał pisywać nigdzie indziej, bo miał swoje powody, a dwa, że nazwa tygodnika go rozbrajała. Nazywał zresztą „Tygodnik Solidarność” – „Zgrzytem Ursusa”. Nie miał żadnych złudzeń. Jeżeli chodzi o prawicę polską, nigdy nie zapomnę jego głęboko trafnej analizy przy okazji kolejnego konwentu świętej Katarzyny, po któ-

rym okazało się, że trzy osoby stworzyły cztery frakcje, które zaraz się rozpadły, Zbyszek powiedział tak: „Prawica polska wykopała sobie grób, stanęła na jego brzegu i walnęła się w głowę szpadlem”.

Miał niezwykle i absolutnie niepodważalny podziw dla prześladowanych narodów: Kurdów, Czeczenów. A pułkownika Kuklińskiego uważał za bohatera narodowego i spotkał się z nim osobiście. Bardzo natomiast rozczarował się Adamem Michnikiem, którego wcześniej podziwiał. To oczywiście było potem powodem zjadłej krytyki przez wielbicieli Michnika. Z kolei inni uznali, że jeśli Zbyszek nie jest z Michnikiem, to znaczy, że jest z nimi, tak jakby on w ogóle z kimkolwiek chciał być. Zbyszek nie przepadał też za Leszkiem Kołakowskim wyłącznie z powodu jego działalności na Uniwersytecie Warszawskim w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Herbert bardzo rzadko zmieniał zdanie o ludziach. Jednym z nielicznych przypadków był Wiktor Woroszyński, z którym się przyjaźnił. Uznał bowiem, że Woroszyński szczerze przeszedł przemianę, że nie było tu żadnego udawania. Woroszyński mu od początku do końca powiedział jasno, co tam sobie kombinował, nie było żadnego „ukąszenia heglowskiego”. Zresztą najbardziej bezpośrednim wytłumaczeniem tych tematów jest *Hańba domowa*. Wywiadu Trznadłowi Herbert udzielił w pełni świadomy tego, co czynił, nie ma tam ani jednego zdania, które chciałby później zmienić. Wzbudził tym, co powiedział, ogromną nienawiść. Najpierw wysłano harcówników, żeby mu przylepić łatkę, że współpracował, co się nie udało. Potem bojkotowano go, cisza zupełna. Zbiór esejów o malarstwie holenderskim *Martwa natura z wędzidłem* miał wielostronicową, entuzjastyczną recenzję w „New Yorker”, natomiast w Polsce został demonstracyjnie przemilczany. I gdyby nie Wydawnictwo Dolnośląskie, które wydawało tomiki Herberta w nakładach pięćdziesięciotysięcznych i gdyby nie to, że ludzie kupowali je, jak ciepłe bułeczki, to Herbert w ogóle by zniknął. Był wewnętrzny zapis na Herberta przez część środowiska.

Po kontaktach z Herbertem nie bardzo ma się ochotę na kontakt z kimkolwiek innym. Coraz trudniej znaleźć kogoś, z kim mam ochotę pogadać... I oczywiście jest tu mnóstwo pychy, ale jest również trochę bardzo wysokiego standardu, do którego przyzwyczał mnie Herbert. Cechą, której najbardziej mu zazdroszczę, jest niezależność myślenia. Czy się mylił, czy robił błędy, czy kogoś krzywdził, czy nie, to zawsze było na własny rachunek. Istniało dokoła tyśiące wpływów obcych, filtrował je i wytwarzał własne. Taka zdolność myślenia jest bardzo niezwykła, ale i bardzo męcząca.

Z Herbertem robiliśmy różne podróże, to znaczy z książkami Herberta. To jest mój i żony pomysł na zwiedzanie, który fantastycznie się sprawdza i każ-

demu go polecamy. Do Toskanii wzięliśmy *Barbarzyńcę w ogrodzie* i czytaliśmy o Sienie, Florencji, Orvieto. Po czym jeszcze pojechaliśmy szlakiem Piero della Francesca, ukochanego malarza Zbyszka. Byliśmy oczywiście w pensjonacie „Pod Trzema Dziewuszkami”, w którym Herbert mieszkał w Sienie, gdzie jest od niedawna tablica pamiątkowa. Jego opisy to nauka tego, co się dzieje z człowiekiem pod wpływem oglądanego obrazu. Nie jest tak, że Herbert ogląda obraz i przechodzi dalej, nagle okazuje się, że w tym jednym obrazie mieści się pół świata. Herbert twierdził, że na oglądanie dzieła sztuki powinno się poświęcić tyle samo czasu, ile artyście zajęło jego tworzenie.

Sam szkicował obrazy. Nie miał zbyt wysokiego mniemania o swoich rysunkach, traktował je nie jako wyraz ekspresji twórczej, tylko raczej próbował zapamiętać, uchwycić, zrozumieć. Całe życie męczył się z Rembrandtem. I nie wydrukował w końcu szkicu na ten temat, mimo że go napisał. Może jest to sto kilkadziesiąt stron gotowego tekstu. Ale nie czuł, żeby Rembrandta rozgryzł. Rysował fragmenty jego różnych obrazów, jeździł i oglądał, bardzo interesująco opowiadał.

Teraz wydawane jest wszystko, co zostało w archiwum Herberta. Natomiast za jego życia na pewno większość tych rzeczy nie ukazałaby się. Miał wyśrubowane standardy, publikował jedno zdanie na sto, które napisał. Miałem okazję widzieć, jak miesiącami opracowywał jeden wiersz. Widziałem *Epilog burzy* przerabiany dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści razy, co zajęło mu rok. Robił tak za życia, nie widzę powodu, by sądzić, że zmienił zdanie po śmierci. Natomiast sądzę, że utwory, które zdyskwalifikował lub które uważał za nieskończone, dla każdego innego byłyby szczytowym osiągnięciem. Herbert powiedział kiedyś, że ludzie piszący dzielą się na dwa gatunki: pisarzy i literatów, pisarz, gdy coś napisze, jest tak zadowolony, że napisał, iż nic więcej go nie obchodzi i najchętniej by to już zostawił. A literat chodzi, żeby mu wydali, żeby ktoś przeczytał, napisał recenzję, żeby to miało ciąg dalszy. To bardzo trafne rozróżnienie. Literaci oczywiście też są potrzebni. Na stu piszących jest dziewięćdziesięciu dziewięciu literatów i jeden pisarz. Herbert był pisarzem. Z całą pewnością.

Podziwiałem go, kochałem nawet. Rozśmieszał mnie niezwykle, miał ogromne poczucie humoru, takie, które jest mi bardzo bliskie, ja też potrafiłem go czasami rozśmieszyć. Zawsze o nim myślę czule. Jako o człowieku, o artyście, poecie, przyjacielu.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Do kukułki na granicy polsko-rosyjskiej

Za Asunami. Za rzeką Omęt. W Brzeźnicy jaśnieje dwór. Kiedyś pruski.
Potem pegeerowski. W remoncie. Jest prywatny właściciel. Zaskoczenie.
Wielkie płachty pól. Uprawiane. Chybcze się na gruntowej drodze auto. Miedze.
Zagajniki. Chmury wężące po spryskanym niebie. Wiosenne popołudnie.
W kwaterze Hitlera rosły Anglik stanął w progach schronu i po hitlerowsku
zasalutował ze śmiechem do aparatu kolegi. W Mamerkach bunkry sztabu wer-
machtu.
Nad Kanałem Mazurskim sztolnia ubotów z utraconą gapą. Teraz jazda na linii
między betonowymi wysokościami. Twój matecznik światologiczny, mieszanina
Atlantydy z bazarem New Age'u. Gdzieś pod sitowiem, piachami, błotem
mityczne gęby Galindów, Sudowów, teraz przebrane w folklorystyczne dziwy.
Spragniona płodów ziemia dyszy, jak zapłodniony kapitalistycznie traktor.
Chybczemy się i wpadamy w doły, zamyślenia, widoki, narzekania metalu.
Z synem i wnukiem japońskim autem, żeby pokazać ekstremum Europy.
Biało-czerwony szlaban. Pozbawiony powagi i ciężkości. Wryty w glebę znak
drogowy stopu. Droga się kończy. Koleiny schodzą w pole i idą wzdłuż granicy.
Słupki polskie i rosyjskie. Jakieś niemrawe i niejasne. Szara, uprawna ziemia.
Po tamtej stronie zagajnik, zdrewniałe ostańce ciszy. Wtem odzywa się kukułka.
Z rosyjskiej strony Prus. Nie chcę liczyć, ile zostało mi życia. Nie policzę, ile jest
chmur, ile liści na klonie, ile pamięci rozpitej w butelkach, ile benzyny w deszczu.
Każda granica wprowadza niebezpieczny nastrój, a tym bardziej granica sztuczna,
tnąca jedną krainę na groteskowe połowy. Kukułka ciemno kuka, wnuk się pyta,
co to za ptak tak dziwnie głośuje. To ptak, który innym ptakom podrzuca
pisklęta do wychowania, tak jak nam tę krainę podrzucił Wielki Kukuł.
Ale przeliczył się Kukuł Czerwony. Oswoiliśmy to obce gniazdo, chmury, schrony.
Docieram tutaj, aby odczarować ekscytację i mitologie. Ale szkoda zachodu
dla wschodu. To nie Atlantyda Północy ani Kraina Nod, ale żyłasta prowincja.
Czy ta kukułka jest podłączona do lunety i karabinu? Czy lubisz Rosjan?
Wnuk jest znużony i zaczyna grać w gwiazdne wojny w komputerze.
Syn naciska na pedał gazu, czeka go wieczorem internetowa narada bankowa.

Do cmentarza żydowskiego w Szczytnie

Obrzezany w poezji, całe dorosłe życie udawałem Żyda.
Są tacy, co uwierzyli. Mają do tego polskiego nosa i szukają nosa
u innych. Obcy, inny albo genetyczna ambicja dzieci dworaków,
chłopów, sprymitywniałej szlachty, gajowych, chłoporobotników
pchała nas w młodości, mnie i siostrę, do kreacji tożsamości, zaprzeczania
rodzinnej genealogii, więc skoro ojciec antysemita, to my filosemici,
i tak obrzezany w poezji stałem się inny, przetrącony, wyrzucony,
wyzywający polskie kompleksy, sam będąc stuprocentowym kompleksem
potrzaskanych Polaków, bojących się niewolnictwa i niewolnictwo innym
narzucających. Przyptywy i odpływy miłości i nienawiści. Wiek XX,
który krwawym ściegiem nas połączył i rozdzielił, poróżnionych braci w ucieczce,
tęskniących za normalnym życiem, sukcesem, dobrym i własnym państwem.
Nie mogę rozpoznać tego miejsca. Dziesięć lat temu inaczej tu dotarłem.
Za linią kolejową. Na łuku ulicy, teraz wielkie szczekanie. Schronisko
dla zwierząt. Nowe i jednorodzinne domki z wypielęgowanymi ogrodami.
Bramka żelazna otwarta. Stoją, chwieją, giną macewy. Cmentarz żydowski.
Całkiem jeszcze w dobrym stanie. Na skrótę przechodzi dwoje punków.
Unser Gatte u. geliebter Vater Isidor Flatow. Aron Cohn. Po niemiecku
i hebrajsku. Dwa języki, które się splotły i z tego węża wynika zagłada.
Judentum i Germania. Hiob, Kohelet, Mendelshon, Heimat, Koch, Himmler.
To nie potrzeba łzawej egzotyki mnie tu zawiodła ani nawet serca.
Żaden kult wybranego narodu, religii, terytorium, wartości.
Ale pamięć oczu. Pamięć myśli. Pamięć o łatwym skreślanu ludzi
i świata z rejestru. Bez fascynacji plemienną, mistyczną, chtoniczną.
Wydarty z innej przestrzeni trawiasty plac z blokami kolumn i macew.
Obcy, zwarty i nieporuszony pośrodku kompletnie innej cywilizacji.
Jak rzeźby z Wyspy Wielkanocnej. Jak menhiry z księżycowej planety.
Które powinno się uszanować, pojąć i pozostawić w tym strumieniu
czasu, który i nas wchłania, niszczy, odejmuje od pamięci i jak kamienie
rozzuca po nieoswojonej nigdy i przez nikogo cmentarnej Ziemi.
Obrzezany w poezji, całe Życie pozostanę Żydem.

STANISŁAW DŁUSKI

W zadymce snów słów głogi
Śniegi gile wydziobują oczy
Lata ja brudna szmata od boga
Wariata dziś nie ma wczoraj
Przegania Syberię naszych
Bólów reumatyzmów Dzięki
Zielonooki panie zastępów
Ładnie ci w płonącej sukni
Zagraj dla kanarka na lutni
Oni zaraz przyjdą po nas
Zabiorą serca w rozterkach
Już nie będzie lat i zim
Oni przyjdą zaraz czuwaj
Na wzgórzu nizinie dolinie
Ten blues nie minie

Eden i pokrzywy

Zawiniłem na samym początku,
Kiedy kwiliłem wśród liści i ptaków,
Pokrzywy parzyły mi usta,
Którymi wyznawałem ci wolność,
Nasturcjo o obliczu kurtyzany,
Myliłaś ją z miłością,
Z lotem jaskółki, wyznaniem gwiazd,
Kiedy nas wygnano z domu,
Usiadłaś na progu lasu, dotknęłaś bólu
Samotności, nie było gdzie uciekać

Przed przeznaczeniem, więc
Pozostały obce spotkania, rozmowy
Na granicy milczenia, gorący
Oddech wojny i wciąż niespokojny
Los wnuków Adama, Ewy, Norwida

Morwy i popioły

Jeszcze krwawią morwy w tamtej
Wieczności o twarzy babki Katarzyny
Ona nie przychodzi
Spowiada się
Przed komputerem ze słodkich
Nocy i gorzkich dni

On przytulony do pająków
W obskurnym baraku
Który przypomina ojczyznę
Pełną kości i popiołów
Ze spalonych modlitw

Droga pełna słów i kamieni
Nie dla wygnanych z ogrodu
Starców i dzieci Abrahama
Padają liście na twarz
Płonie pusty ołtarz kościoła

M O I M I S T R Z O W I E

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 1 (77)), Stefana Chwina i Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)), Janusza Szubera, Leszka A. Moczulskiego i Renaty Gorczyńskiej (2013 nr 3 (79)), Kazimierza Brakonieckiego, Jacka Gutorowa, Leszka Szarugi (2013 nr 4 (80)), Bogusława Kierca, Urszuli Kozioł, Anny Nasiłowskiej (2014 nr 1 (81)), Jacka Bocheńskiego, Piotra Matywieckiego, Andrzeja Szuby (2014 nr 2 (82)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

KRZYSZTOF LISOWSKI

W ciągu ponad czterech dekad świadomego obcowania z literaturą natrafiłem na wielu mistrzów, starszych i młodszych (!) ode mnie. Najpierw był chyba Eliot, od niego droga wiodła do Herberta i Różewicza, do Szyborskiej i Świrszczyńskiej, wreszcie do Miłosza. Potem długi czas Miłosz i Różewicz, dwie rzezi ogromne.

Zmieniało i zmienia się to w czasie, bo z mistrzami jest jak z osobami bliskimi, które kocha się i szanuje, ale niekiedy nie do końca się je lubi.

Gdy odkryłem Kawafisa i wspaniałego Czecha, Mirosława Holuba, przestałem „bardzo lubić” Herberta. Wolałem bardziej prawdziwie samodzielną dykcję, niepokojącą wyobraźnię, niekiedy namiastkę szaleństwa, niż gładką frazę i styl wysoki, który Miłosz nazywał złośliwie „tokowaniem głuszcza”.

Mistrzem teraz jest dla mnie może ten, do którego wierszy, prozy, esejów sięgam często, bo wiem, że znajdę w nich zawsze coś nowego, bo te utwory gotowe są wciąż otworzyć się dla mnie w inny sposób. Kawafis w nowych tłumaczeniach Kani i Hajduka, Różewicz z wieloma wierszami „programowymi”. „Wczesna” Lipska i „późny” Kornhauser, a także Jerzy Kronhold z generacji Nowej Fali. Uczą-

cy dobra i pokory Leszek Aleksander Moczulski i „zenistyczna” Beata Szymańska, której liryce wiele zawdzięcza m.in. mój *Traktat o niekonieczności*, z rozluźnioną frazą i spostrzeżeniami nie wolnymi od paradoksu, dowcipu, lekkości.

Uczyłem się i uczę także od Janusza Szubera, Piotra Szewca, Jana Kaspra i Piotra Sommera, bo zawsze warto podpatrywać zdumiewającą uważność, prostotę, drogę refleksji, wymiar zadumy czy żalu, swobodę operowania różnymi rejestrami języka.

Z innych poetów obcojęzycznych nauczyłem się od wielu Amerykanów, Celana, Transtrómera.

W innych od liryki rodzajach mistrzowskie lekcje pobierałem od filozofów greckich, Atenajosa, Flawiusza Filostratosa (dzięki przekładom prof. Andrzeja Szarmacha), Diogenesa Laertiosa i Pauzanasza, Bertranda Russella, Karla Kerényi, Pawła Muratowa, Claudio Magrisa, Herberta eseisty, z prozaików od Kafki i Cannettiego, Gravesa, Pessoa, Lempedusy, Máraiego i Tabucchiego oraz wielu pisarzy czeskich, z autorów dzienników od Jarosława Iwaszkiewicza i Jana Józefa Szczepańskiego.

Jako redaktor o długim stażu wiele nauczyłem się m.in. od Mariana Pilota, Kazimierza Orłosa, Julii Hartwig, Jerzego Harasymowicza i Adama Zagajewskiego.

Mam nadzieję, że czeka mnie jeszcze wiele niespodzianek i odkryć, jak choćby ostatnio znakomita eseistyka podróżna Patricka Fermora (*Mani. Wędrówki po Peloponezie*), nietłumaczone dotąd na język polski „greckie” podróżnicze książki Lawrence Durrella.

KRYSTYNA RODOWSKA

Liczba mnoga jest uzasadniona: „mistrzów” było kilku, kilkoro, więcej. I choć każda z tych postaci zasługuje na tytuł mistrza, wolę myśleć o nich jako o ważnych dla mnie twórcach wielkiego formatu, którzy stanęli na mojej drodze, życiowej i artystycznej. Liczą się ci, których poznałam osobiście, mogłam słuchać ich rad, spełniać lub nie ich nadzieje, wadzić się z nimi, a także ci, w których się tylko wczytywałam, a te lektury niepostrzeżenie mnie odmieniały. To były Spotkania, czasem iluminacje, czasem dłuższe procesy przyswajania tego wszystkiego, co we mnie wnosili. Niektóre z tych spotkań wzbogacają mnie do dzisiaj, inne jakby się wygasily, straciły na pierwotnej ważności, na korzyść innych.

Słowo „mistrz” powołuje do życia uzupełniające je pojęcie „ucznia”, ja zaś jestem uczennicą nieskorą do oddania duszy i niewierną, odchodzącą – w pewnym momencie – w inne, wzywające mnie rejony, kotem, który chadza własnymi drogami, potrafi jednak wracać, gdy dochodzi do wniosku, że z oddalenia widać lepiej wartości, których się na tamtym, początkowym etapie relacji nie dostrzegało, lub zwyczajnie, do nich się tymczasem dorastało. Spotkanie wtedy nabiera innego wymiaru, staje się odnalezieniem, zawsze jednak znajduje się w drodze, w której liczy się ruch, przewartościowania – niezbędna i konieczna ewolucja własnego warsztatu, zmiany zachodzące w myśleniu o sensie coraz bardziej dziwacznych w oczach „normalnych” ludzi zajęć, jakim jest pisywanie wierszy, a także – uprawianie innych form literatury.

Na samym początku jednak są spotkania, które odciskają się w wyobraźni i podświadomości dziecka. Takim jedynowładcą świata alternatywnego do codzienności świata, który mnie podbijał, urzekał, niekiedy także przerażał, był Słowacki. Jedenasto, dwunastolatka zaczytywałam się w jego wczesnych powieściach poetyckich, które jakimś cudem znalazły się w domowej bibliotece rodziców – repatriantów ze wschodniej Galicji, w *Godzinie myśli*, w poemacie *W Szwajcarii*. Przypadek także zrzędził, że pierwszym dramatem, jaki w tym czasie zobaczyłam na scenie rzeszowskiego teatru, była *Balladyna* (w tytułowej roli matka Wojciecha Kilara). Nic jednak nie mogło przebić porażającej moją wyobraźnię i pamięć siły oddziaływania poematu *Ojciec zadżumionych*. Leżałam w łóżku chora, zaczytując się w egzemplarzu opatrzonym sugestywnymi ilustracjami Andriollego; czytałam i wpatrywałam się w upiorne obrazy kolejnych śmierci na pustyni, wydana halucynacjom („i we śnie w lekkie owinięte chmury, ujrzałam moje dwie umarłe córki”) i tak cały tekst *Ojca zadżumionych* wszedł we mnie na zawsze, bo nie ucząc się go nigdy na pamięć, do tej pory potrafię, z niewielkimi tylko lukami, zacytować go w całości. Nic dziwnego więc, że pierwszy w życiu wierszyk (który, z kolei, wyleciał mi doszczętnie z pamięci) skleiłam na cześć uwielbianego Poety.

Znacznie później, po maturze, zdanej w szesnastym roku życia, już w czasie kontynuowania studiów pianistycznych i rozpoczęcia nauki śpiewu u Ady Sari w Warszawie, natknęłam się, dzięki rozczytanej koleżance-śpiewaczce, na poezję Gałczyńskiego. Oczarowały mnie, współlistniejące w tym poecie rejestry czystej liryki i absurdałnego humoru, groteski, choć w tym czasie nie potrafiłam odczytywać całej politycznej aluzyjności „Zielonej Gęsi” i innych satyrycznych wierszy mistrza Ildelfonsa. Słynne *Skumbrie w tomacie*, to był greps ówczesnych wtajemniczonych. Kołysały mnie rytmy *Zaczarowanej dorożki*, wchodząca

w ucho, łatwa muzyczność *Wielkanocy Jana Sebastiana Bacha*, pogodne obrazy i urodziwe antropomorfizacje *Kroniki Olsztyńskiej*, te wszystkie „lata złote nogi” i „księżycy co mruczą i świecą”. Recytowałam też chętnie na konkursach recytatorskich *Bajki* Gałczyńskiego. Młodociana amatorka, której nie śniło się jeszcze wtedy o zostaniu poetką.

Przełom nastąpił dość późno: dopiero po ukończeniu studiów romanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim, w trakcie których zajmowałam się zresztą i pasjonowałam chyba bardziej prozą niż poezją francuską. Ważną lekcją dla mojej kształtującej się refleksji filozoficznej i artystycznej okazało się pisanie pracy magisterskiej na temat powieści Francois Mauriaca *Therèse Desqueyroux*, w zasadzie jedynej ważnej dla mnie książki tego autora. Nie cierpiałam bowiem wszystkich zakłamanych, drapieźnych „kłębowisk żmij”, które przedstawiał i analizował w swych narracjach ze znanstwem ten potomek wielkiej burżuazji francuskiej, skądinąd przypominające mi do żywego rodziną, również drapieźną i toksyczną dulszczyznę. Postać Teresy – rozstawiona później przez film pod tym samym tytułem i kreację wielkiej Emmanuelle Riva – była niezwykła: ofiara i kacica w jednej osobie, trucicielka własnego męża, w zasadzie pocziwca. Dlaczego to zrobiła? Cała powieść jest próbą odpowiedzi na to fundamentalne pytanie. Mauriac szczegółowo opisuje wszystkie j a k do tego dochodziło, mnoży i unieważnia kolejne sugestie, ale odpowiedzi na pytanie „dlaczego” czytelnik się nie doczeka. Na tym – w moim ujęciu – polegała wielkość tej powieści, unaoczniającej wyczerpanie się tradycyjnej formuły powieści analizy psychologicznej. Ostatnie słowo ma tajemnica osobowości bohaterki, wymykająca się wszelkim racjonalnym podchodom, dyskredytacja dotychczas znanych narzędzi interpretacyjnych wobec prawdy, która do końca pozostaje niezbadana. Do Mauriaca nigdy więcej nie wróciłam, ale praca nad *Therèse Desqueyroux* sprawiła, że dowiedziałam się w trakcie pisania sporo o moich predylekcjach poznawczych i estetycznych, ważnych dla późniejszej praktyki literackiej.

Z perspektywy wielu lat, przeżywanym ruchliwie i burzliwie, wypełnionych pracą dziennikarską, pisaniem wierszy własnych i przekładaniem cudzych, tłumaczeniem ambitnej prozy, głównie francuskiej, także uprawianiem krytyki (choć za „zawodowego” krytyka się nie uważam), podróżowaniem, prawie zawsze związanym z poezją, doszłam do przekonania, że przypadek – zaakceptowany! – krystalizuje się stopniowo w Los. Przypadek sprawił, że zaraz po ukończeniu studiów przyjąłam propozycję pracy w charakterze tłumaczki w malutkiej, czteroosobowej (wraz ze mną) ambasadzie Meksyku, mieszczącej

się wówczas przy Placu Konstytucji w Warszawie. I choć pracowałam tam za-
ledwie dwa lata (przezuwając, że na urzędniczkę słabo się nadaję), pozwoliło
mi to codziennie doskonalić powierzchowną znajomość języka hiszpańskiego,
wyniesioną z lektoratu drugiego – po francuskim – języka na wydziale filolo-
gii UW, co utorowało mi drogę do późniejszych, długich pobytów stypendial-
nych w Meksyku i tłumaczenia literatury języka hiszpańskiego, głównie poezji.
W tamtym czasie terminowania, dokonałam kilku niezwykłych znalezisk w nie-
wielkiej, ale dobrze zaopatrzonej w hiszpańskojęzyczne książki i pisma biblio-
tece ambasady. Wspomnę tylko o dwóch znaleziskach, z których jedno uświa-
domiło mi potęgę, ale i frustrujące ograniczenia przekładu literackiego, drugie
zaś – ukazało nieznane do tej pory możliwości wyrażania doznań zmysłowych
w ścisłej więzi z przeżyciem duchowym, a nawet mistycznym. Pierwsze, doty-
czyło publikacji w jednym z meksykańskich miesięczników literackich poematu
pt. *Hymny do Jedynego Boga* anonimowych – jak wówczas sądzono – mędrców
prekortezańskich. Tekst był poruszającym lamentem wobec kruchości ludz-
kiego żywota, adresowanym do tajemniczego „Dawcy życia”. Czytane przeze
mnie i jakby nasłuchiwane z wielkiego oddalenia poetyckie inwokacje, zapisa-
no w języku hiszpańskim. Tymczasem były one tłumaczeniem z języka *nahu-*
atl, którym, w obfitości jego narzeczy, posługiwali się rdzenni mieszkańcy Do-
liny Meksykańskiej na wiele lat przed przybyciem i podbojem Meksyku przez
Hiszpanów! Tak więc sugestywne w swym poetyckim wyrazie symbole „kwia-
tów i pieśni” docierały do mnie przez szybko przekładu! Nie miałam dostępu do
oryginału, do pierwotnych znaczeń i niuansów słów, do tamtych brzmień, wy-
wołujących u Tolteków i Azteków z pewnością odmienne, uwarunkowane ich
kulturą skojarzenia. Otrzymałam lekcję pokory, wynikającą z pewnego dys-
komfortu: musiałam zawierzyć tłumaczeniu, nad którym nadbudowałam do-
datkowe piętro własnego tłumaczenia na język polski – pierwszego chyba mo-
jego przekładu poezji. Czy nie dopuszczałam się świętokradztwa? Czy udało
mi się przemycić coś z tamtego, filtrowanego po dwakroć światła obcej sym-
boliki? („kwiaty” i „pieśni”, to przyjaźń i sztuka, jedyne pocieszenia w ulotnym,
ludzkim życiu, dowiedziałam się z komentarzy tłumacza – profesora, wykładow-
cy języka *nahuatl* i znawcy tej kultury). Napisałam własny, poetycki komentarz,
proponując mój przekład *Hymnów* młodo-literackiemu pismu lat sześćdziesią-
tych „Orientacja”. Rzecz stała się sensacją wśród ówczesnych młodych poetów
i krytyków. – Drugie znalezisko, to poezja hiszpańskiego poety Emilio Prado-
sa, który, jak wielu artystów – przeciwników dyktatury Franco, wyemigrował za
ocean; do Meksyku właśnie. U nas zupełnie nieznany (choć w latach osiemdzie-

siątych opublikowałam dwa czy trzy przekłady jego wierszy w jednym z „moich hiszpańskich” numerów miesięcznika „Literatura na świecie”, gdzie pracowałam jako redaktorka), należy do sławnego w Hiszpanii „pokolenia 27”, z którego bogatej twórczości w Polsce przetłumaczono i opublikowano w edycjach książkowych tylko Lorkę i Albertiego. Zacytuję „mojego” Pradosa, którym się wówczas – w połowie lat sześćdziesiątych – zachwyciłam:

Zatrasnąłem drzwi światu;
Zgubiło się ciało we śnie...
Zostałem wewnętrzny, niewidzialny
I nagi jak ślepiec.
Napelniony aż po brzegi oczu,
Rozświeciłem się cały od wewnątrz.

Wyimek z innego wiersza, *Ciało o świecie*: „I patrzę teraz na was / na niebo, ziemię, słońce, kamień / jakbym oglądał swoje własne ciało”.

Emilio Prados – poeta doświadczenia wewnętrznego, wyrażanego przez bardzo zmysłowe, czasem kosmiczne obrazy. Ekstatyczny, a zarazem niezwykle skupiony, ascetyczny w słowie poeta jedności cielesno-duchowej. Autor mistycznych erotyków, które ośmieliły mnie do podobnych poszukiwań w polszczyźnie. To jemu zawdzięczam poetyckie drażnienie aktu seksualnego jako metafory dramatycznego w swej istocie dążenia dwóch duszo-ciał do niemożliwego zjednoczenia. Poprzez zapis maksymalnie skondensowany, wyzuty z sentymentalizmu, próbowałam – na wzór hiszpańskiego poety – chwycić na gorącym uczynku prawdziwą naturę Erosa.

Być może dzięki tym lekturom, „zapodziana po oczy”, otworzyłam się na poezję Leśmiana: prawdziwe objawienie niezmierzonej potencji języka w służbie metafizyki. Przedzieranie się przez Leśmianowskie światy stawało się ekstatycznym doświadczeniem pełni bytu i drażnieniem intuicji niebytu, nicości w słowie („nie widać nic – a widać”). Odnajduję Leśmianowskie echa w niektórych wierszach z mojego debiutanckiego tomiku *Gesty na śniegu* (1968). I wciąż zdarza mi się penetrować na nowo obszar „Napoju cienistego” i odnajdywać tam różnobarwny obrazów, iskrzenie pojęć, od którego inaczej pracuje umysł i wyobraźnia.

Zaistniałam jako poetka dzięki Stanisławowi Grochowiakowi. Jesienią 1965 roku, po przeczytaniu paru przesłanych do redakcji tygodnika społeczno-kulturalnego „Kultura” moich pierwocin poetyckich, wyznaczył mi spotkanie w kawiarni na Wiejskiej. Po raz pierwszy żywy, głośny poeta, redaktor działu poetyckiego, zechciał poświęcić zjeżonej z onieśmienia debiutance tyle uwagi. Omawiając ze mną nadesłane wiersze, potrafił zachwycić się głośno jakimś sfor-

mułowaniem, które wydało mu się celne, nie wahając się przed wytknięciem mi w innym miejscu „niezamierzonej groteski”. Czułam, że zostałam potraktowana poważnie. Że będzie mnie poddawał próbom, bo wciąż czegoś więcej się po mnie spodziewał. Próba czasu trwała niespełna pół roku: moje trzy duże wiersze ukazały się na łamach „Kultury” z początkiem 1966 roku, książka zaś w maju czy w czerwcu 1968, nakładem Czytelnika. Wcześniej, autor *Menueta z pogrzebaczem*, *Rozbierania do snu* i *Agrestów* poprowadził moje pierwsze spotkanie autorskie w Hybrydach. Dopiero znacznie później, skazana na samotne radzenie sobie z nie zawsze życzliwymi krytykami i wydawcami („a teraz pływaj już sama!”), doceniłam jego empatyczne czuwanie nad moimi pierwszymi krokami na arenie poetyckiej. Czy wywarł wpływ na mój sposób pisania? Grochowiak był poetą zbyt oryginalnym i rozpoznawalnym, samoswoim, by można było go naśladować. Podziwiałam kulturowość jego wierszy, charakterystyczną dialektykę brzydoty i piękna, malarskość obrazowania, byłam pod wrażeniem specyficznie upozowanej dykcji i estetycznych prowokacji, dopóki nie zaczął fabrykować przeładowanych retoryką poemacisk w rodzaju np. *Mozołu*. Nasze drogi zaczęły się rozchodzić. On z kolei, po latach rozluźnienia, a nawet utraty kontaktu, po przeczytaniu wydanego w roku 1981 wyboru wierszy z dwunastu lat (*Stan posiadania*) skwitował ironicznie ewolucję języka mojej poezji „Zaczęłaś za bardzo myśleć”. W jakimś sensie był moim mistrzem, od którego musiałam jednak odejść.

Poetą, który bez wątpienia wywarł na mnie największy, wręcz uwodzicielski wpływ, był Julian Przyboś. Osobiście nigdy go nie poznałam, choć teoretycznie było to możliwe: umarł w roku 1970, kiedy ja opublikowałam już mój pierwszy tomik wierszy, a wcześniej jeszcze sporo recenzji w „Kierunkach” i pierwsze przekłady z poezji francuskiej i latynoamerykańskiej. Był podobno autorytarny i apodyktyczny w obejściu, wolałam więc obcować tylko z jego poezją. Pamiętne zdanie „Kto tę przepaść pomyślał i odrzucił w górę?” (*Notre Dame*) przyprawiło mnie o zawrót głowy i ciarki po plecach: to było niesamowite, genialne, podytowane przez dajmoniona, choć on sam tak by tego zapewne nie skomentował. Olśniewały mnie jego dynamiczne „katedry”, wznoszone w wierszach, jego dar widzenia i stwarzania na nowo świata w słowie, obejmującym wielość i ruchliwość struktur rzeczywistości, ukazywane w jednym rzucie metafory: „Brzoza – każdym listkiem odszeptuje ciemność”, „Tramwaj najechał zieleń i czerwienią zniknął” (*Wiosna 1960*) – przykłady pierwsze z brzegu. Chciał, aby „zaczęła się mowa nieznaną, której pierwsze słowo jest zawsze ostatnim” (*Nowa róża*). Realizował to zadanie niestrudzenie, traktując uprawianie poezji jako przedłużenie

wysiłku fizycznego podczas pracy na roli swoich chłopskich przodków. Od siebie jako poety wymagał „dobrowolnie koniecznej pracy nad rytmem i energią zdań”. I najczęściej, choć nie zawsze, odbierałam jego słowne kreacje jako niewymuszone, organicznie zrosnięte z pierwotnym wrażeniem zmysłowym. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych przekładałam wielkiego chilijskiego „krecjonistę” Vicente Huidobra, który w pierwszych dekadach XX wieku głosił „Po coż poeci, opiewacie różę / sprawcie, by zakwitła w waszym wierszu” – czytałam te słowa poprzez Przybosia, który podpisałby się niewątpliwie pod tym hasłem. Moja własna poezja – począwszy od lat siedemdziesiątych – zaciągnęła wielki dług w stosunku do Przybosia, żywiła się jego stosunkiem do języka i do tej pory nie zrywa zadzierzgniętej więzi, choć inna, ogromna Postać, obecna i wcześniej, lecz na dalszym planie, intryguje mnie teraz i w coraz większym stopniu odpowiada na potrzebę dykcji, idącej w kierunku prostoty i bezpośredniości.

Potem pojawił się Tymoteusz Karpowicz, a wraz z nim wielkie kuszenie poezji lingwistycznej. Przez pewien czas, na początku lat siedemdziesiątych, Karpowicz był mistrzem żywym i dostępnym. Przesyłałam mu wiersze, do redakcji miesięcznika „Poezja”, a potem do „Odry”, a on mi odpowiadał, udzielając rad, dokonując wyboru tekstów, wyjaśniając swoje zastrzeżenia, dyskretnie ukierunkowując. Karpowicz, jak mało kto, nadawał się na guru młodych poetów, był niezwykle sugestywny, angażował się w krytyczny patronat. Przynajmniej raz pielgrzymowałam do niego, do Wrocławia. Pamiętam, że rozmawialiśmy wtedy długo o poezji, między innymi o zakończonej tragicznie grze – jak utrzymywał Karpowicz – ze śmiercią Wojaczka. Napisałam i opublikowałam w kilku pismach literackich garść „lingwistycznych” wierszy, których nie włączyłam później do żadnego tomu, doszedłszy do wniosku, że zabrnęłam w ślepią uliczkę hermetyzmu. Nigdy jednak nie zrezygnowałam z aktywnego stosunku do języka, z nadawania nowych, świeżych znaczeń wytartym zwrotom i związkom frazeologicznym. Karpowicz, po *Trudnym lesie*, opublikował w 1972 roku *Odwrócone światło*, którego interpretacja mnie, i nie tylko mnie, przerosła. Ostatni raz widziałam mistrza Tymoteusza po latach pobytu w Stanach i rozmawiałam z nim w czasie przyjęcia na jego cześć w Warszawie, z udziałem różnych poetów; już po śmierci jego żony, na jakieś dwa lata przed jego odejściem. Na to przyjęcie nie zostałam zaproszona, ale on, dojrawszy mnie w grupie czekających na bodaj strzęp rozmowy, szerokim gestem zaprosił do wspólnego stołu.

Miałam także Mistrzynie, do której nie przestaję wracać (albo ona do mnie). To krakowska Pani: poetka staroświeckiej elegancji stylu i na wskroś współczesnej ironii, autoironii i morderczej przenikliwości w spojrzeniu na człowieka. Wiel-

bię ją za czułe pochylenie nad wszystkim co żyje, za stosunek do roślin i zwierząt, za humor, wpisany w język, który sobie znanymi sposobami wydobywa z danego nam wszystkim języka, za ostrość pytań i diagnoz, za wyobraźnię, która niczego nie wymyśla, lecz wszystko potrafi przewidzieć, za uczciwe stawianie na niepewność („A ja nie wiem i nie wiem”). Niektóre jej wiersze są jak trzęsienie ziemi: burzą nasze poczucie bezpieczeństwa, („nic darowane, wszystko pożyczone”), wywracają na nice stereotypy myślenia, nawyki, wyczulają na codzienną grozę, wpisaną w zachowania grup i jednostek (*Terrorysta, on patrzy, Fotografia z 11 września*). A z drugiej strony – jakże ona potrafi dostrzegać niezwykłość, cudowność świata! I ukazała ją przy pomocy najskromniejszych – na pierwszy rzut oka – środków, choćby w takim zdaniu „A mnie tak się złożyło, że jestem przy tobie i doprawdy, nie widzę w tym nic zwyczajnego”. Echo jej rozpoznawalnych paradoksów wślizgnęło się nawet bez udziału mojej świadomości do wiersza, napisanego po hiszpańsku! Stwierdziłam to ze zdumieniem kilka lat później.

Nie doceniono jej poezji we Francji. Znany poeta i krytyk literacki, Alain Bosquet pisał o „damskich robótkach” Szymborskiej, nie dostrzegając zupełnie filozoficznej wagi i powagi tej poezji. To także „wina” jej tłumaczy, którzy – z małymi wyjątkami – nie utrafili we właściwy ton, kolokwializując, na przykład, we francuszczyźnie na siłę jej zawsze elegancki język. Analizowałam to szczegółowo w esejach o przekładach Szymborskiej na francuski i hiszpański, (opublikowanych w numerze 12/1997 „Literatury na świecie”), oddając przy tym honory dwóm znakomitym poetom-tłumaczom na hiszpański (Gerardo Beltran i Abel Murcia); dzięki ich pracy i talentowi poezja Szymborskiej cieszy się w Hiszpanii i całej Ameryce Łacińskiej niebywałą estymą.

Tu dochodzę do myśli, niezbyt zresztą oryginalnej, że najlepszym, najbardziej wnikliwym sposobem odczytania poezji jest próba przekładu (bo nie ma przekładu doskonałego)... Danym mi było tego doświadczyć, tłumacząc, również na język hiszpański, wiele wierszy, w tym m.in. wymienionych tutaj (i innych, niewymienionych): Przybosa, Szymborskiej, Różewicza, Grochowiaka i Białoszewskiego. Przedsięwzięcie było karkołomne i początkowo nie chciałam się zgodzić na propozycję przygotowania – dla „Revista de la Universidad” i wydawnictwa Uniwersytetu Meksykańskiego – niewielkiej antologii poezji polskiej. Przebywając na pierwszym stypendium literackim w Meksyku (1974–75) pisałam już wówczas po hiszpańsku eseje i nawet wiersze, lecz tłumaczenie poezji polskiej na język, w którym się nie urodziłam? – wydawało mi się to nieprawdopodobnym zuchwalstwem. A jednak, antologia *Poesia polaca contemporànea* w serii „Lektury” („Material de lectura”), ukazała się, w oszałamiającym nakładzie 100.000 egzemplarzy,

rozpowszechnianym na całym kontynencie! Dwóch wybitnych poetów meksykańskich, zainteresowanych żywo współczesną poezją polską, znaną im na ogół wyłącznie z tłumaczeń na angielski, stało się, z własnej inicjatywy, moimi konsultantami językowymi i tej nieoczekiwanej pomocy zawdzięczałam decyzję podjęcia się niezwyklej pracy. Wszystkim przekładom towarzyszyły moje noty, pisane od razu po hiszpańsku. Odczytując je teraz, po niemal czterdziestu latach, mogę przypomnieć sobie, co i jak myślałam w tamtym czasie o ważnych dla mnie poetach polskich i w jakich słowach (hiszpańskich) przekazywałam moje komentarze czytelnikowi tamtej strefy kulturowej. Na przykład, taki wyimek z noty o Grochowiaku: „Odpowiedzią na z góry narzucony optymizm, dominujący w poprzednim okresie, była poezja tragiczna, ciemna i estetyzująca, ujawniająca ignorowane czy lekceważone wcześniej strony człowieka: jego biologiczną i erotyczną naturę, więź z rzeczami brzydkimi, a nawet odstręczającymi, trywialnymi, wyrażaną w języku wielce wyrafinowanym (*sofisticado*). W tym sensie Grochowiak, atakowany po wielokroć przez Juliana Przybosa – poetę świetlistej wizji świata – jest kontynuatorem linii Baudelaire’a”. Albo, *à propos* Herberta, porównując jego postawę moralną i estetyczną wobec doświadczeń wojny i zagłady wartości z postawą i praktyką poetycką Różewicza, zauważałam: „Herbert zaczął uprawiać poezję pod znakiem tych samych doświadczeń, co Tadeusz Różewicz, wyciągając z nich jednak odmienne wnioski. On uznał za możliwe »ofiarować zdradzonemu światu różę«, czyniąc to »ze śmiertelną powagą«. Skądinąd to kuriozalne, że ja, która do tej pory nie miałam śmiałości porywać się na własne komentarze do twórczości tych i innych poetów po polsku i w Polsce, pod naporem „zamówienia” i okoliczności, zamieniłam się w krytyka i popularyzatora poezji polskiej w Meksyku, jeżdżąc do różnych miejscowości, by prowadzić warsztaty z młodymi pisarzami, zmuszona wręcz do czytania im do białego rana przekładów polskich wierszy i do dyskusowania na ich temat.

Na koniec wracam do ważnych Spotkań, bo było ich jeszcze – i mam nadzieję, że będzie! – trochę. Miron Białoszewski – poznany osobiście przy stoliku w jadalni Domu Pracy Twórczej w Oborach. Przypadek (?) zrządził, że posadzono go właśnie przy mnie. Moja trema prysła natychmiast, gdy tylko zaczęliśmy rozmawiać. A rozmawialiśmy dużo, odwiedzając się w naszych pokojach, wyruszając na spacer, podczas których uprawialiśmy namiętnie „szkołę obmowy” – jak to nazwał Miron. Mieszkając wówczas w Poznaniu, nie mogłam zaliczać się do jego „dworu”. Wymieniliśmy kilka listów, a ja stałam się „Meksykanką” z jego *Poematu Oborskiego*, do tej pory – o ile wiem – nieopublikowanego. Kiedy spotkaliśmy się ponownie w Oborach, po moim powrocie z drugiego poby-

tu stypendialnego w Meksyku, pamiętam, że tłumaczyłam mu z hiszpańskiego to, co napisałam o nim w nocy, towarzyszącej przekładowi kilku jego dających się jako tako ujarzmić w tym języku wierszy, on zaś, wiedząc, że składałam książkę w wydawnictwie „Czytelnik”, poprosił, a właściwie zażądał, bym przeczytała mu na głos wszystkie wiersze. Przywiązywał fundamentalną wagę do próby głosu i tego się od niego nauczyłam.

I jeszcze Rilke Jastruna i Octavio Paz, tym razem „mój”, chociaż także – m.in. – Carlosa Marrodana. Do Rilkego chcę wrócić, ale tym razem będzie użył mu swojego głosu Adam Pomorski. A Octavio Paz – wielki i ważny Meksykanin, światowego formatu, którego poezję przedstawiałam w wielu numerach „Literatury na świecie”, pisałam o nim, rozmawiałam z nim – w mieście Meksyk i w Barcelonie – czy uda się kiedyś wydać reprezentatywną antologię jego poezji w Polsce?

Teraz czas na ponowne – po raz który? – spotkanie z poezją w ruchu Tadeusza Różewicza. Ona jest w nieustannym ruchu, wychodząc poza ramy wiersza, kpiąc ze wszystkiego, także z samej siebie i z cmentarnej łopaty. W Ameryce Łacińskiej nazwano by go anty-poetą. Bez Boga i z Bogiem, także tym z małej litery. Buntowałam się przez całe lata przeciwko Różewiczowi, chcę teraz wiedzieć, czy tak będzie dalej, to znaczy także – ile się we mnie po drodze zmieniło.

I jeszcze – Krystyna Miłobędzka. Jej werbalny minimalizm, podyktowany imperatywem maksymalnej autentyczności. Postać nie do pominięcia w moim panteonie Inspirujących i Ważnych.

EWA SONNENBERG

Wyznanie tancerki słowa

Mój mistrz kaligrafii mówił mi: pisanie jest jak taniec. Ojin Tsutomu Yoshida, samuraj, który przesyłał mi listy-skarby, listy-klejnoty. Zrozumiałam, patrząc jak pisał swoje znaki kaligraficzne, że pisząc trzeba znaleźć w sobie środek ciężkości. Ten punkt centralny: splot słoneczny. Jest to najważniejszy punkt dla artystów pantomimy i baletu. By zacząć ruch zaczyna się od splotu słonecznego. Jest to punkt wyjścia i punkt dojścia. Pisząc wiersz podobny punkt trzeba odnaleźć w swoim ciele. Ten punkt odniesienia gdy zaczynamy niebezpieczną i ryzykowną podróż wewnętrzną. Pisz tak jakbyś tańczyła – mówię do sie-

bie. Bo taniec jest czymś co pozwala mi pozbyć się ciężaru swojego ciała, gdy tańczę czuje się przezroczysta: jakbym przenikała słowa, znaczenia, metafory na wskroś i do rdzenia odczuwania języka. Taniec. To fascynacja, która towarzyszy mi od dzieciństwa. Najpierw balety rosyjskie: Pawłowa, Niżyński, Karsawina. Ileż razy jako dziecko wpatrywałam się w fotografie, na których przybierali różne pozy baletowe. Teraz balet europejski kojarzy mi się tylko z jednym choreografem: Bejartem. Widziałam kilka jego przedstawień w Paryżu za każdym razem wychodziłam ze spektaklu oszołomiona. Nawet nie chodzi o wyraz artystyczny, ale jakąś nadludzką perfekcją. Coś co wydaje się czymś nierealnym i niemożliwym a jednak wykonalnym było nauką jak przełamywać opór materii słowa. Jak pisać o tym co wydaje się nieosiągalne.

Moi mistrzowie to również tancerz Kabuki: Tamasaburo Bando i tancerze Butoh: Kazuo Ohno i Daisuke Yoshimoto. Tamasaburo Bando, wciela się w role kobiece by jako mężczyzna tańcem opowiedzieć miłość kobiety do mężczyzny. Jego „Sagi Musume” to taniec nie tylko ciałem, ale każdym detalem: ruch kimona, trzepot wachlarzem, wołanie parasolką, jednak najważniejszym rekwizytem jest każdy nerw jego ciała, każdy milimetr jego mięśni, każdy centymetr jego skóry. Ten taniec o miłości w pewnym momencie przeobraża się w taniec żywiołów, taniec nieba, taniec wszechświata, taniec księżycowej wróżki, taniec taoistycznych nieśmiertelnych. Może dlatego ten taniec należy do mężczyzny, który podaje się za kobietę. Ta gra swoją tożsamością jest jakby grą podmiotu lirycznego wcielającego się w różne role. Tamasaburo i jego interpretacja suity wiolonczelowej Bacha no. 5 w wykonaniu wiolonczelisty Yo-Yo Ma. Aerodynamiczna metafora, która płynie wolno, jakby chciała wybrzmieć wszystkimi niuansami:

Ani jeden gest nie jest przypadkowy – synchronizacja treści z całością.

Synchronizacja przestrzeni z ruchem – ani jedno słowo nie jest zbędne.

I taniec Butoh, Kazuo Ohno, jeden z największych, tancerz wszechczasów. Gdy tańczy chciałoby się napisać:

TANIEC MOŻE WZRUSZYĆ NAWET ŚMIERĆ

WIERSZ MOŻE WSKRZESIĆ NAWET ZMARŁEGO

Jego kreacje, taniec, inscenizacje, spektakle to dotarcie do źródła wszystkiego. Jego bezgraniczny stosunek do sztuki uczył mnie jak jest się do końca w tworzeniu i w obcowaniu ze sztuką. To on ukazał czym jest niepoetyckie w poetyckim wymiarze. Jego taniec to nie tylko rytm ale odcienie. Odcienie uczuć, emocji, rzeczy ostatecznych jakby nie tańczył ale rysował jakiś obraz.

Taniec Butoh, którego przez krótki czas pobierałam lekcje. Butoh jest jak płynące chmury. Tańcem wnętrza, czegoś głęboko ukrytego w każdym człowieku.

Lekcje? Był to rodzaj jakiegoś misterium. A mistrz Daisuke Yoshimoto był kimś o kim nie można zapomnieć. Można zapomnieć świat, ale nie jego. Stał się dla mnie kimś, kogo na pewno spotkam, gdy skończy się czas. To o nim napisałam wiersz, to o nim myślę każdego dnia, to poprzez niego próbuję zrozumieć siebie. Był kimś kto uczył mnie rzeczy niemożliwych. Mój niezapomniany nauczyciel rzeczy niemożliwych. Mój mistrz, który kazał mi tańczyć do ciszy. Widziałam uśmiech na jego twarzy gdy z delikatnej i słabej dziewczyny stawałam się wojownikiem. „Odwrócony taniec. Bicz wojenny” (Rene Char). Uczył mnie nieoswojenia, dzikości, nieokiełznania. Gdy skończyłam swój taniec do ciszy rzucił się na scenę i tarzaliśmy się po podłodze. Nie było w tym nic erotycznego, raczej jakaś dzika radość, aprobata, aplauz, jakby swoje „tak” chciał wypowiedzieć ciałem jak tancerz, który zna taniec narodzin i śmierci. Od tamtej chwili stałam się chmurą burzową, za którą ukrywa się smok. Właściwie o tym spotkaniu powinna powstać książka. Być może. Ale jest inne „być może” – nasza relacja to sprawa nie świata, ale kosmosu. Po co więc pisać o czymś co nie jest na sprzedaż. O czymś co nie pasuje do półek księgarń wypełnionych jakąś niezliczoną ilością książek, zwykle o niczym. Może większą wartość ma to co niezapisane? Możliwe, że nigdy go już nie spotkam, ale wyrobiłam w sobie pewne przeświadczenie: gdy piszę to tak jakbym go spotykała.

P O C O L I T E R A T U R A ?

Kontynuując ankietę, po wypowiedziach Julii Hartwig („Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 4 (76)), Stefana Chwina i Renaty Gorczyńskiej (2013 nr 1 (77)), Piotra Matywieckiego, Leszka A. Moczulskiego, Marka Skwarnickiego (2013 nr 2 (78)), Kazimierza Brakonieckiego, Krzysztofa Lisowskiego, Krystyny Rodowskiej (2013 nr 3 (79)), Krystyny Dąbrowskiej, Jakuba Momro, Anny Nasiłowskiej (2013 nr 4 (80)), Jacka Gutorowa, Jacka Napiórkowskiego, Leszka Szarugi (2014 nr 1 (81)), Anny Frajlich, Ireneusza Kani, Bogusława Kierca (2014 nr 2(82)) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

JACEK BOCHEŃSKI

Jest to pytanie z gatunku takich, na które najlepiej odpowiedzieć „niewiadomo”, jak na pytania „po co świat”, „po co ja”, „po co baobab”, „po co mucha”, i tak dalej. Chcielibyśmy jednak, żeby to wszystko było, chociaż mamy prawo wątpić, czy istnieje jakiś cel tych bytów. Któż go wyznacza? Bóg? Oczywiście, ale żeby to przyjąć, trzeba wierzyć w Boga. Wtedy nie ma problemu. Pod względem celu literatura jest czymś pokrewnym religii. Trudno powiedzieć, po co jest, ale trzeba w nią wierzyć.

Można uznać, że jest po to, żeby jacyś ludzie ją czytali, i brzmi to nawet przekonująco. Zwłaszcza dla kogoś, kto ją pisze, jak na przykład ja. Ale może nie ci ludzie potrzebują literatury, tylko ja takiego człowieka, przynajmniej jednego. Czasem, pisząc, wyobrażam go sobie i to mi wystarczy. Ale bardzo często, już po napisaniu, czytam, co napisałem, i niepostrzeżenie identyfikuję się w wyobraźni z jakąś konkretną, znaną mi osobą, jakby to ona czytała, a ja tę rzecz napisaną jakbym nadal pisał. Prawdę mówiąc, taki kontakt z wyimaginowanym czytelnikiem zaspokaja dostatecznie moje autorskie potrzeby.

Powstaje w związku z tym podejrzenie, czy literatura nie jest po to, żeby autorzy mogli pisać, i tyle. Zajęcie to jest ciężką robotą, ale daje tak potężną satysfakcję, że autoteliczna istota literatury wydaje się hipotezą poważną i może to być właściwa odpowiedź na pytanie ankiety.

W praktyce życia publicznego panuje bezapelacyjnie prosty pewnik: literatura jest po to, żeby ją sprzedawać. Jednak z różnych powodów coraz trudniej to robić, chociaż pewnymi gatunkami towarów paraliterackich wciąż można niezłe handlować.

Jeśli tak, to być może to, co przywykliśmy uważać za literaturę, wkrótce zginie, przetrwa jedynie w postaci oderwanych pytań i skłonności, o jakich sobie tu mówimy.

STANISŁAW DŁUSKI

Uwielbiałem w dzieciństwie baśnie, legendy, klechdy, ten zupełnie inny świat niż szara, peerelowska codzienność, nie miałem zabawek, bo rodzice nie mieli pieniędzy, ale była wspaniała, gminna (wtedy gromadzka) biblioteka, aż trudno uwierzyć, że odnalazłem w niej *Narkotyki* – *niemyte dusze* Witkacego, czy *Historię filozofii* Tatarkiewicza. Toczyliśmy w wiejskiej chałupie do nocy spory o Sokratesa czy Heraklita, interpretowaliśmy po swojemu, po chłopsku. Dla niektórych pytanie „po co literatura?” wydaje się bezsensowne, ale parnasizm już dawno mamy za sobą, książka pozwoliła mi przetrwać w życiu najgorsze chwile, czego nie da się sprowadzić do taniego dydaktyzmu czy moralizatorstwa, obcy mi są jednak hermetyczni poeci, którzy z pogardą odnoszą się do zwykłych czytelników, miłośników literatury, nie boją się wzniosłego określenia... drodzy esteci.

Lubiłem czasami wymykać się z domu do przyklasztornego parku i szukałem krasnoludków, Calineczki, „kwiatu paproci”, szukałem krainy „za siedmioma górami, za siedmioma rzekami”, w kościele jako lektor czytałem Pismo, wiele nie rozumiałem, ale uwielbiałem Psalmę (teraz mam zawsze pod ręką w przekładzie Czesława Miłosza) i Listy św. Pawła, wielka poezja i krystaliczna proza,

piękno duchowego świata. Zrozumiałem po latach, że ten „człowiek wewnętrzny” jest najważniejszy, że buduje go Księga Objawiona i Księga Natury. Z miłością do książki łączyła się we mnie miłość do przyrody; ale dopiero na studiach Miłosz i Herbert zmienili moje myślenie o naturze; to nie jest arkadia, wszędzie bezmiar cierpienia, choć człowiek okrucieństwem przerasta świat natury, genialne *Biesy* Dostojewskiego. Pozostała we mnie czułość dla biednych kotków i bezdomnych, wiejskich kundli, dla ptaków i nawet pajęczków, które teraz ze mną mieszkają na Pułaskiego w Rzeszowie.

Literatura jest ważna nie tylko w sensie poznawczym, bo uczy rozumienia minionych epok, ukazuje powikłane i złożone związki życia z historią, filozofią, sztuką, nauką etc. Jakże nauka przecież wpłynęła na rozumienie czasu i przestrzeni w prozie, kubizm czy film na obrazowanie w poezji, ale nie można zapominać o estetyce twórczości słownej, estetyka słowa, piękno, tak dzisiaj sponiewierane przez kulturę masową, w której zagościł kicz, który – jak chciał Hermann Broch – jest obrazem Antychrysta. Tak, kochani, Josif Brodski miał rację, „estetyka jest matką etyki”. Pan Cogito przed laty przypominał, że nie należy zaniedbywać nauki o pięknie. Antyestetyka też wiele mówi o naszym chorym nieraz świecie.

„Brulionowcy” wprowadzili do kultury wulgarność i amoralność, nie wolno już mówić poważnie o prawdzie (Rzeczywistość istnieje, nie ukradli jej złodzieje, idealisci subiektywni) i tradycyjnych wartościach, bo wszystko jest „płynne”, nie ma już przestrzeni wertykalnej, typowej dla poezji metafizycznej, jest tylko płaski horyzont, zapiski z życia miasta, podziw dla chaosu. Nawet Grochowiak, turpista, bronił prawa człowieka do elementarnego ładu i prawa do marzeń; literatura daje wytchnienie, jest terapią w konsumpcyjnym świecie, bo przypomina, że nie samym chlebem żyje człowiek, dlatego tak mnie boli bylejakość, spychanie kultury na margines, miał rację dawno Husserl, kiedy przestrzegał, że relatywizm i sceptycyzm są największym zagrożeniem dla kultury europejskiej. Dzieci bez książki wyrastają na młodych troglodytów, ostatnio nauczycielka z gimnazjum mi wyznała, że uczniowie wprost jej mówią, że poezja do niczego nie przydaje się w życiu. Tak mszczą się eksperymenty na delikatnej materii oświaty i edukacji. Nie widzę innej recepty, jak tylko rodzice muszą się temu barbarzyństwu przeciwstawić, tylko w domu musi na co dzień gościć książka; baśnie uczą mądrości, są pierwszą ważną lekcją, rozwijają wyobraźnię, uczą wrażliwości i dają nadzieję, że na końcu zwycięży dobroć i poezja. Tak właśnie, literatura umacnia nadzieję, że świat wewnętrzny przetrwa wszystkie wojny.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Równie dobrze, sędzę, można by zadać pytanie: po co słowo? – i połączyć je z refleksją nad tym: skąd ono? jaki jest jego status? co w nas otwiera i ku czemu kieruje? Tym samym wróciłibyśmy do spraw pierwszych i fundamentalnych, i od nich też warto – oczywiście pamiętając o skali zagadnienia i własnych w tej mierze intuicjach zaledwie – mimo wszystko rozpocząć. Wszak to od niego (słowa), jak głoszą najważniejsze teksty naszej cywilizacji, wszystko się zaczęło, i na nim się skończy. Powiadają one, iż od Stwórczego „tak” wzięło się wszelkie istnienie, a więc i człowiek także, od ludzkiego „nie” dla Bożego „zaufaj” rozpoczęły się dramatyczne zmagania człowieka nie tylko z samym sobą, lecz i z ofiarowanym mu światem, na Boskim zaś „tak” albo „nie” zakończy się nasze z życiem i z wiecznością zmaganie. Jakże więc wiele zależy od słowa! A dzieje się tak między innymi również z tego powodu, jak powiadał w jednym ze swych traktatów Cyprian Kamil Norwid, że „słowa nasze są także i na to, że nas sądzą, nie tylko że nas wyrażają”. Nie bez przyczyny w Biblii raz po raz z całą mocą zostaje podkreślane, iż najgorsze ze wszystkich grzechów są grzechy ust, bo od tego i tam się wszystko, co złe w człowieku i dla człowieka, zaczyna. „Nie miej ust pochopnych, ani niech twoje serce nie śpieszy się z wymawianiem słów przed obliczem Boga” – nawołuje Eklezjastes.

A czymże literatura jak nie słowem do godności piękna podnoszonym?! I jakż w związku z tym odpowiedzialność! Gdyby zatem głęboko i uczciwie rzecz rozważyć, to chyba nie do udźwignięcia... (Jakże wiele na ten temat wiedział Franz Kafka, gdy w *Procesie* stawiał Józefa K. przed problemem całkowitego przed sądem usprawiedliwienia egzystencji, a także kiedy sam przed śmiercią sugerował, że trzeba spalić wszystko, co napisał. Na szczęście jest w owej genialnej, acz przecież niedokończonych (!) książce, również przypowieść o człowieku stojącym przed bramą łaski, za którą Ktoś czeka, by usprawiedliwić nie tylko jego wahania, ale i całe życie).

Dla mnie literatura to powierzenie się istnieniu takiemu, jakie jest: w całej jego konkretności, tajemnicy i żywołości zarazem, i... szukanie dystansu, czyli miary dla tego, co w nim staje się za naszym udziałem. Dlatego też tak bardzo cenię w niej każde zmierzanie się z całą dostępną oraz niedostępną nam prawdą świata, i to, że niesie ona ze sobą pamięć i doświadczenie tych, którzy nas w trudzie mocowania się z życiem poprzedzali. Dobrze zatem wrócić do Homera, Sofoklesa, Szekspira, do pierwszego polskiego zdania z „Księgi

henrykowskiej" („day ut ia pobrusa a ti poziwai”), które jest darem niezwykłym i zobowiązaniem na miarę tysiącletniej historii Polaków, albo do *Bogurodzicy*, gdzie samo serce polskiego losu i cała zarazem prawda tego, gdzie się jest i po co – również jako osoba we wspólnocie osób. Potem... już tylko komentarze (udane, mniej udane, arcydziełne jak *Pan Tadeusz* Mickiewicza czy *Wesele* Wyspiańskiego) do owych założycielskich tekstów polskości. Przesadzam? Chyba nie. Sam na swój sposób, wedle miary daru, coś tam dopisuję do tego, mozołę się szukając światła albo choćby światełka w ojczystej mowie, dzięki któremu staje się możliwe jakieś wzrastanie człowieka; wzrastanie na glebie prawdy o nim samym, prawdy o naturze ludzkiego rodzaju. Czytam, odnoszę do życia, konfrontuję z tym, co mi dane, a więc także z pewnym zdaniem, które kiedyś napotkałem w antologii starej wietnamskiej literatury. Dotyczy ono pewnego „mędrca”, który: „Przeczytał parę tysięcy ksiąg, lecz siwizną swoją nie zasłużył na miłość ludu”. Bo tak czy inaczej z miłości będziemy rozliczani.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Słuchaj

Jestem zmęczony i czasami
już nie chce mi się gadać
nawet ze sobą samym
„Zawracanie głowy Świata
nie zmienisz” – mówi mi syn
najmłodszy – i zasiada
do gier komputerowych „Polski
też nie” – dopowiada sąsiad
na klatce schodowej
chowając do kieszeni
butelkę po piwie Może i tak –
ale co zostało – –
Trochę ziemi gdzie krew i pot
tych co przed nami –
kilka wersetów z Homera z Biblii
list od Norwida na Jeruzalem
którego już nie ma
scena z *Wesela* kiedy Panna Młoda
kładzie dłoń tuż przy piersi
opiętej „cokolwiek przyciąśnie”
mojej matki „Jakoś to będzie
Przetrwamy” Słuchaj – powtarzam
– mimo wszystko słuchaj
co mówi krzyż nagrobny
co trawa – –
Gdyby nie miłość w tych trudach
któż by ośmielił się być

„Indifference to events” (Newman)

„Obojętność wobec wydarzeń”

Patrzę za okno: zima się sroży

Kołuje zamieć Wrona

próbuję się ogrzać

siadając na skraju komina

To szczyt jej marzeń

KRZYSZTOF LISOWSKI

Majowy powrót do haiku*

jedzie autobusem
w zimny ranek
oddać klucze

w kieszeni szlafroka
żółta karteczka
dwie przekreślone linijki

na środku świętej wyspy
na falach wzgórz
unoszą się cmentarze

dużo wie
Homer tej wyspy
cykada

sto osiem pokłonów
recytuj wiersze
i okrążaj okrążaj

wznosi się zakręt
nad wodę i światło
tam serce odpocznie

* W 1993 roku opublikowałem w Oficynie Literackiej w Krakowie zbiór pt. *99 haiku. Inne wiersze* – K.L.

Mistrz klasnął
spadła kropla
zaraz pomyśli się myśl

figo porwana z wyspy
cudzoziemko
zielenisz się tu na balkonie

mijamy odpływamy
tak samo jak tamci
z Urartu i Tarsu

KRZYSZTOF LISOWSKI

Dionizos (dociekania)

Podczas swych wędrówek po Grecji chętniej wybieram miejsca związane z Dionizosem, niż z Apollinem. Zresztą gdziekolwiek się obrócić, nie można się od bożka winnej latorośli opędzić i nie popaść, zwłaszcza po kilku lampkach, w orgiastyczną ekstazę. O, wtedy już by się chciało wraz z Tobą wędrować śladami Dionizosa.

(z korespondencji z M.)

Dionizos postrzegany jest jako bóg uczuć gwałtownych, ekstazy, patron i sprawca obłądki, mistycznego szału, władca wina, menad, przewodnik szalonych orszaków biegnących w płaszcach przez góry Tracji i Grecji, jako bóstwo wegetacji, opiekujące się winną latoroślą, bluszczem, sosnami i platanami. Patron form scenicznych.

Na monetach z V–III wieku p.n.e. uwidacznia się kult tego boga. W Beocji na awersie tarcza bojowa, ale na rewersie *kantaros*, z którego pijał ulubiony napój; na innej tetradrachmie Dionizos dosiada osła, jakby leżał na szezlongu w pozie biesiadnej, w prawej dłoni puchar – widać jego zadowolenie, gdy patrzy, zapewne, na swój orszak. Na dużej, srebrnej monecie z trackiej Thassos (wyspa słynąca z kopalni złota, srebra i marmurów) w zaiste królewskim ujęciu: na awersie prawy profil boga w wieńcu z bluszczu, kunsztownie trefiona fryzura, z tyłu Herakles, nagi, wsparty na sękatej lasce; pod stopami napis *Tasion*.

Bóg „życia niezniszczalnego” przedstawiany był najpierw jako dojrzały, brodaty mężczyzna, potem jako piękny młodzieniec z winoroślą, z wieńcem z owoców i kwiatów na głowie, którą zdobią niewielkie rogi. Zastanawia jednak to, co mówią niektóre przekazy – bóg po letnich szaleństwach odpoczywał w miesiącach zimy w sanktuarium Apollina w Delfach. Szukał wtedy spokoju i równowagi? Odosobnienia? Jak można było oswobodzić się z procesji, obrzędów, korowodów? Rozpamiętywał wtedy swoje zmartwychwstanie, zanim wniebowstał?

Ale myliłby się ten, kto by sądził, że odbywał wtedy długie kolokwia czy biesiady z Apollinem, bo, jak mówią Grecy, ten akurat udawał się w zimową podróż. Zostawiał w Delfach tylko nimfy i bożka Pana z Jaskini Korycyjskiej. To oni przejmowali obowiązki wyrokowania i prognozy.

Czy zatem mijali się w drzwiach świątyni, przystawali na chwilę rozmowy, wymieniali zaledwie powitalne gesty i ukłony? Dionizos zasiedlał to święte mieszkanie z bukłakiem młodego zimowego wina. Pragnął odpocząć. Czy nie interesowały go tyrady nieco wyniosłego, stonowanego ulubieńca Muz, choć obaj byli braćmi przyrodnymi, synami Zeusa?

W *Bachantkach* Eurypidesa wieszczek Tejrezjasz dowodzi, że Dionizos jest prawdziwym bogiem. To od niego Ziemianie otrzymali wino, jak darem i błogosławieństwem Demeter jest chleb. Nasze pokarmy ziemskie, dające sytość i radość, przestaniające cierpienie i myśl o obrotach czasu.

Europejskie myślenie o Dionizosie zaczyna się od *Narodzin tragedii*, rozprawy Friedricha Nietzschego z 1872 roku, pierwszego, który w tak dobitny sposób odżegnał się od sceptycznego, racjonalistycznego myślenia o bogu, narodzonym na wschodnich równinach w beockich Tebach, miejscu narodzin także herosa Heraklesa. Apollińskie maksymy wykute w świątyni w Delfach – *Znaj siebie samego* i *Nic w nadmiarze* – jął przyjmować z pewnego rodzaju krytycyzmem, podejrzliwością. Jak przestrożę, obietnicę kary, a nie nagrody. Poczucia winy, które kładzie się cieniem na całym życiu człowieka?

Od niemieckiego filozofa wzięło się, pokutujące do dziś, schematyczne rozróżnienie na „jasnego” Apollina i „ciemnego” sprawcę obłędu, Dionizosa. Słusznie jednak odrzuca je Bertrand Russell, dostrzegający błąd w tej prostackiej opozycji: myślimy o Dionizosie jako o niezbyt godnym szacunku bogu wina i pijaństwa, gdy „sposób, w jaki z jego kultu wyłonił się subtelny mistycyzm, który silnie wpłynął na wielu filozofów, a nawet miał swój udział w kształtowaniu się teologii chrześcijańskiej, jest niezwykle godny uwagi i jego zrozumienie jest konieczne, jeśli mamy mówić o rozwoju myśli greckiej”.

Czczenie Dionizosa jest „reakcją przeciw roztropności”, pozwala odzyskać intensywność uczucia, wyzwala z przyziemnych codziennych, ograniczających horyzont myślowy, zajęć. Towarzyszy mu entuzjazm, czyli uzyskiwanie jedności z bogiem, stawanie się bogu podobnym. Namiętne upojenie podnosi wysoko duszę, pozwala jej oglądać większe połacie gwałtownie toczącego się życia.

Dionizos zaraz po urodzeniu (mówi się, że był synem Zeusa i śmiertelniczki Semele, ale inne wersje mitu powiadają, że zrodziła go Persefona) został rozerwany na strzępy przez Tytanów, którzy zjedli całe jego ciało oprócz serca. Za-

tem nie umarł całkiem, a wskutek cudownych okoliczności zmartwychwstał, by żyć intensywnie długo. Śpiewano podczas misterii hymn ku jego czci:

Ze swą czarką wina w uniesionej dłoni,
W dzikiej zabawy pogrążony szale,
Do tonącej w kwiatach doliny Eleuzis
Zstępujesz, o Bachusie, Pajanie – Tobie chwała!

Ale to było później. Między mitem a rzeczywistością, początkiem kultu i jego umocnieniem rozciągają się niezmierzone obszary czasoprzestrzeni.

Poszukajmy Dionizosa w miejscach i tekstach, bywa wszędzie. Sam powiada w *Bachantkach* do Penteusa w Tebach: „Lidia mą ojczyzną”, a więc odległa kraina w Azji Mniejszej, tam gdzie Troja, Smyrna, Efez i Milet. Ale też słyszy się, że przyszedł na świat właśnie w Beocji, w Tebach, i tam kiedyś powraca. Niedaleko jest góra Nysa, gdzie Zeus oddał swe dziecko pod opiekę nimfom deszczu. Tam, na niej, dokonuje wielu cudów.

Wiemy, że schodził do Hadesu po zmarłych poetów, Ajschylosa i Eurypidesa, i swą matkę Semele. Czy przechodził tam jedną z bram do podziemnego świata na przylądku Tajnaron, zwanym dziś Tamapan, gdzie krajobraz posępny, spalony słońcem kraniec półwyspu Mani, i jaskinia ogromna?

Kroczył czy raczej posuwał się w barwnym korowodzie, w pojeździe zaprzężonym w lamparty, ozdobionym bluszczem i winoroślą, otoczony tłumem bachantek, satyrów i sylenów, przy wtórze fletu, z innego kontynentu ku Grecji. Wiedział dobrze, co to mistyczny szal i chutliwość kobiet, gdy menady raczyły się winem i żuły listki greckiego bluszczu. Oszołomione, były zdolne do wszystkiego, nie powściągał ich czasem...

Widzimy go w licznych miejscach na Thassos, w stolicy tej wyspy Limenas zachowały się dawne bramy miejskie z IV wieku p.n.e – jedna z nich zwana jest Bramą Sylena, bo zachował się na niej wyraźny relief, przedstawiający tę jedną z głównych postaci orszaku Dionizosa, bożka z końskim ogonem i uszami niosącego *kantaros*.

Spotykamy w Amfiklei, gdzie bóg miał świątynię i leczył snami. Gdzieś między Ramnus i Oropos – dwadzieścia stadiów od Maratonu – znajdujemy jego teatr i świątynię. W Eleuteraj, w pobliżu Beocji, także natrafiamy na pozostałości jego sanktuarium z IV wieku p.n.e. W centrum starożytnego Koryntu znów świątynia Dionizosa (albo jego brata Hermesa). W Olimpii w herajonie rzeźbiarz Praksyteles ustawia posąg *Hermes z młodym Dionizosem na ręku*, teraz rzeźba ozdabia muzeum tego miejsca, a marmury rozjaśnia snop złotego światła. Na Krecie

to on staje u stóp góry, na której w towarzystwie lwów króluje Wielka Bogini. A Sycylia i dalsze krainy Wielkiej Grecji? W Posejdonii kupujemy czarkę, na której znów spoczywa przez chwilę z swobodnej pozie z *kantarosem* w ręce, otulony purpurowym płaszczem. Nawet w dalekich Pompejach w Villi dei Misteri odczytujemy z malowideł ściennych jego tajemnice – uroczystość dionizyjskiej inicjacji. W Willi Hadriana w podrzymskim Tivoli znajdziemy popiersie Antinosa, ulubieńca cesarza, przedstawiające go wyraźnie jako Dionizosa, w wieńcu z bluszczu, bowiem niezbadane są nasze wyobrażenia o nim i jego inkarnacje.

Z witką winnej latorośli bóg wybrał się aż do Indii, co potwierdza Apolloniusz z Tiany w *Żywocie*, spisany przez Flawiusza Filostrata:

„Mówią, że dotarłszy do świątyni Dionizosa ujrzeni otaczający ją krąg zasadzonych przez samego boga drzew laurowych, które obmierzały taki właśnie obszar ziemi, aby mógł na nim stanąć przybytek. Wokół drzew obwijały się bluszcze i pędy winorośli, pośrodku zaś widniał ustawiony własnoręcznie przez Dionizosa jego posąg. Bóg wiedział, że z czasem drzewa tak się rozrosną, iż sklepią jakoby dach nad świątynią. Co też i nastąpiło, jak obecnie widać, tak że ani deszcze, ani wiatry przybytkowi nie szkodzą. Wokoło posągu leżą na ziemi sierpy i tłocznie do wina, obok nich zaś inne złote i srebrne przybory, jakby z przeznaczeniem do winobrania. Posąg ma podobiznę indyjskiego młodzieńca, a zrobiony jest z białego kamienia”.

A gdzie Ateny? Bo dopłynął przecież wreszcie i tam bóg, statkiem do Pireusu.

Spytajmy wcześniej o naturę Dionizosa, bo był przecież okrutny i współczujący, przemieniał się, stosował fortele. Jak wygląda dzień i noc boga, gdy dla ludzi maleje i wypełnia się księżyc? Święto i codzienność, czas przecież się go nie ima. Był już stary, teraz jest młody, jakby ktoś przeznaczył dla niego tylko piękne wiosny, najwyżej chwałę dojrzałego lata. I czas bez wojen, wędrowanie przez kraje z poczuciem świętej misji, kiedy morze przenosi go na swym grzbiecie w różne strony.

Jest moment w jego biografii, w którym widzimy boga wybawcę, *sotera*. Z Krety zapewne, ale inną drogą morską, przybywa na wyspę Naksos. Spotyka tam porzuconą i zasmuconą księżniczkę Ariadnę, być może brzemiennej (wkrótce urodzi się Keramos, syn, którego biologicznym ojcem jest z dużym prawdopodobieństwem zabójca Minotaura) za sprawą Tezeusza. Iluż mężczyzn zdobyłoby się na taki gest? Współczujący Dionizos poślubia Ariadnę i kieruje się w stronę Aten. Tam spodziewa się najlepszego miejsca na sanktuarium i spory teatr, pochodów i świętowania. Wtedy też Hestia ustąpi mu swego miejsca wśród dwunastu bogów na Olimpie.

Może to nie tylko współczucie, ale i polityczna rachuba? Lepiej w towarzystwie księżniczki, córki Minosa, przekonuje się opornych, łatwiej prowadzi kampanię propagandową wśród bogów i ludzi od wyspy do wyspy, gdy ma się za plecze w postaci żony z wysokiego rodu i amfor pełnych wina, odradzającego się bujnie co roku jak on sam.

Wędrówka do Aten trwała tysiąc lat i więcej, tak długo, że przeszłość zasypała niektóre wspaniałe miasta miałem wieczności, ale w tym czasie zdołano pobudować inne. Brzęczały nad nimi te same pszczoły, a w kadziach znów dojrzewało wino, dar od tego, „co niesie winorośl, w bluszcz spowitego”, nieśmiertelnego *dajmona*.

I teraz, 24 sierpnia, w katedrze stolicy Zakynthos pokazywane są doczesne szczątki dalekiego krewnego tamtego boga, dzisiejszego patrona wyspy, świętego Dionizosa. Nabożne niewiasty szykują jak co roku dla tych relikwii nowe ozdobne obuwie.

Festyn trwa.

„Jestem, jak powiada Borges, Grekiem na wygnaniu”

– z Krzysztofem Lisowskim rozmawia Janusz Szuber

Moja znajomość z Krzysztofem Lisowskim, co prawda jednostronna, datuje się na lata, jak się teraz mówi, głębokiego PRL-u, kiedy nie było wprawdzie Internetu, za to w każdym kiosku RUCH-u można było kupić tygodniki literackie, a w co drugim kieszonkowe tanie tomy *Złotej gałęzi* Frazera czy *Jesieni Średniowiecza* Huizingi. Młodszy ode mnie o siedem lat Krzysztof publikował wiersze, które zwracały na siebie uwagę; ja swoje starannie upychałem w szafie.

Osobiście poznaliśmy się w latach dziewięćdziesiątych. Znajomość szybko przekształciła się w przyjaźń, utwierdzaną licznymi kontaktami. Kolejnym etapem naszej znajomości stało się publikowanie w Wydawnictwie Literackim moich czterech ostatnich tomów, których redaktorem jest Krzysztof Lisowski. Potwierdziło się zdanie wielu moich znajomych, którzy z Krzysztofem w tej roli zetknęli się i współpracowali. Redaktor idealny. Inteligentny, ze znakomitym słuchem, współpracujący z autorem na wszystkich możliwych poziomach przygotowawanej książki. Od sugestii Krzysztofa, dotyczących okładki, i jego pośrednictwa rozpoczęła się moja znajomość, a potem cotygodniowe długie rozmowy z profesorem Leszkiem Różgą i kolekcjonowanie jego grafik. To Krzysztofowi, jako redaktorowi, zawdzięczam tę niezwykłą znajomość i późną przyjaźń.

Z Krzysztofem czytamy się przede wszystkim bezinteresownie i tak należy traktować postawione mu na sześćdziesięciolecie pytania, a właściwie siedem bloków tematycznych, które, jak mi się wydaje, pomogą wyjaśnić, utrzymywaną w dyskretnym cieniu, sylwetkę wybitnego pisarza.

1. Ojciec; rozpoczęta opowieść.
Kuzynowie z pampy i stepów akernańskich.

Wiesz, nie wiadomo, kiedy minęło tych kilkadziesiąt lat, ale ciągle przypomina mi się Ojciec, jego pogoda ducha, stoicyzm czy może słoneczny opty-

mizm, prawość. Dewiza: „inni mają gorzej”, którą wygłaszał często w rozmowach z mamą – gwałtowną pesymistką, widzącą zbyt wiele w zbyt czarnych barwach.

Parę lat temu postanowiłem zebrać moją wiedzę (i domysły) o Ojcu, przejrzałem dokumenty rodzinne, zdjęcia, wystąpiłem o dokumenty o Nim do IPN-u (okazuje się, że w ramach jakiejś akcji przeciw oficerom RAF-u był do końca życia, do 1972 roku, pod stałą obserwacją służb) i zacząłem pisać coś w rodzaju luźnych epizodów, które miały złożyć się w powieść. Ale na razie nie złożyły się, choć mam z kilkadziesiąt stron. Epizod z wojny 1920 roku, poszedł do wojska jako siedemnastoletni ochotnik, sprawy wojenne (wędrówka przez Europę, aż do Anglii, służba w dywizjonie 304, powrót do kraju w połowie 1946 roku), ale i cała moja niewiedza, bo przecież zmarł, gdy byłem przed maturą, nie miałem jeszcze osiemnastu lat.

I całe jego dziwne, zastanawiające, w dużej mierze samotnicze życie: śmierć matki przy porodzie kolejnego dziecka, emigracja jego ojca ze starszymi dziećmi do Brazylii, i pozostawienie go u ciotki, z młodszą siostrą. Dorastanie, samodzielność, matura wojenna w Mińsku Litewskim. I potem prawie cały czas w wojsku albo przy wojsku, jako pracownik cywilny.

Tak, mam więc pewnie kilkuset krewnych w Brazylii, w okolicach Kurytyby. A z kolei brat ojca mamy zawędrował w czasie I wojny do Rosji, ożenił się z Rosjanką, został. W 1936 roku jako szpieg został rozstrzelany w ramach stalinowskich czystek. Mam po dziadku Karolu „bumagę” z 1956 roku z ZSRR, że brat został pośmiertnie rehabilitowany. Dziadek odkrył w latach sześćdziesiątych wdowę po swym bracie i jej córkę, która wyszła za Rosjanina, więc mam i „kuzyna” Sieriożę... Dzięki dziadkowi, który widział jeszcze ostatniego cara, służył jako żołnierz z cenzusem w Twierdzy Dęblińskiej i przeżył rewolucję październikową w Rosji, w Moskwie, znałem dobrze i lubiłem w wieku lat kilkunastu język rosyjski.

A wracając do powieści – opisałem też epizod śmierci Ojca na ulicy w Gdańsku, gdy spieszył do przyjaciela, Floriana, ze służby w dywizjonie; i sen przyśnioony na greckiej wyspie Zakynthos, że tam się pojawia starutki, jakby na granicy dwóch światów, i jest w tym śnie dużo miłości, czulej delikatności, wzruszenia w tym spotkaniu, z którego się budzę. I widzę już tylko podobieństwo do Ojca... w lustrze.

Mam nadzieję do tej prozy jeszcze kiedyś powrócić, jeśli zdążę, i jeśli poczuję znów ten sam stan – intensywną potrzebę porozumienia, zrozumienia Ojca. Bo jeszcze przy okazji przychodzą takie myśli, że przecież mógłbym być całkiem kim innym – Brazylijczykiem (jest spory blok listów starszego brata Ojca,

Pedro Lisowskiego, który opisuje na przykład, jak wybrał się do własnego ojca na Wielkanoc, konno, trzy dni przez pampę), Anglikiem... może Rosjaninem. To wszystko pobudza imaginację!

2. Tematy rodzinne. Wiersze o dzieciństwie. Dom. Żona. Córki.

Cóż, śmierć ojca uzmysłowiła mi, jak niewiele zostaje po człowieku, świadectw, przedmiotów, jak to wszystko szybko nicestwieje. Może dlatego od początku świadomego pisarstwa jednym z tematów uczyniłem dom, bliskie osoby, wzajemne relacje (bo były i są zazwyczaj dobre), uczucia, radość przebywania z bliskimi, wspólne odkrywanie świata, lektur, miejsc i ludzi. Córki zdobyły wartościowe, różnorodne wykształcenie, są dorosłe, dobrze sobie radzą w życiu. Starsza, bohemistka, pomogła mi pogłębiać wiedzę (radosną) na temat czeskiej literatury, młodsza, zwana w domu Młodą, spowodowała, że zakochałem się w Portugalii, w jej muzyce i literaturze. Zmotywowała mnie do różnych działań i wypraw, które kiedyś wydawałyby mi się „niemożliwe”, ryzykowne... Żona jest moją najbliższą przyjaciółką i partnerką w podróży, w odkrywaniu wysp i lądów. Od blisko czterdziestu lat nie nudzimy się ze sobą ani chwili. Właśnie znów planujemy poznanie nowej wyspy, chwilowe spokojne życie w pięknym Gdzie Indziej, słuchanie cykad i picie wieczorem wina pod gwiazdami.

Cząstki tych wspólnych chwil, rozłąki i powroty, opisałem w niektórych wierszach.

3. Podróże. Północ–południe. Wątki czeskie i portugalskie.

Moje podróże zagraniczne zaczęły się od jazu z dziadkiem Karolem w głąb Rosji, do Krasnodarskiego Kraju, do Tuapse nad Morzem Czarnym, w bliskości gór Kaukazu. Potem była Europa środkowa – kraje dawnej Jugosławii, a dalej głównie Czechy za sprawą stypendium w 1980 roku do Pragi, czasy ciekawe, coś próbowałem tłumaczyć z poezji. Tam, w Pradze właśnie, poznałem osobiście m.in. Hrabala, za sprawą Jana Stachowskiego, znakomitego tłumacza prozy czeskiej, który od tamtej jesieni jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. Potem Anglia i parę miesięcy w Kanadzie. Co przyniosło kilka rozmów z pisarzami emigracyjnymi, przywiezienie do kraju wyboru wierszy Waława Iwaniuka *Zanim znikniemy w opactwie kolorów*, wydanie tej książki w Wydawnictwie Literackim. I długoletnie znajomości korespon-

dencyjne, właśnie z lwaniukiem z Toronto, czy Stefanią Kossowską, redaktorką pism polskich w Londynie, piękną i mądrą panią. Potem miesiąc w królestwie Szwecji, na Gotlandii. Kiedyś Toskania, z odkrywaniem na przełomie zimy i wiosny cudownego San Miniato. Jazdy, jak przystało na mieszkańca regionu dawnych Austro-Węgier, do Wiednia, z chodzeniem na wystawy, do ulubionych muzeów.

W 2007 roku zaczęła się przygoda portugalska, która trwa do dziś, zaowocowała podróżami po całym tym pięknym kraju i niezwykłymi świętami Bożego Narodzenia w 2010 roku w Lizbonie, w hoteliku przy placu Rossio, gdzie spotkaliśmy się z córką Justyną, która studiowała rok na uniwersytecie w Coimbrze.

No i cała dekada penetracji Grecji, Wielkiej Grecji, bo nie tylko dzisiejsza Grecja, ale i Jonia, Sycylia, Paestum w Italii, odkąd uznałem, że jestem, jak powiada Borges, Grekiem na wygnaniu...

4. Kraków. Stróża.

Im dłużej żyję, tym bardziej doceniam codzienność tutaj, mieszkanie w Krakowie. Nie bardzo wyobrażam sobie dłuższego przebywania gdzie indziej, choć przecież przychodzą pomysły, żeby „rzucić to wszystko” i wyjechać gdzieś między archipelagi, choćby tam, na Wyspy Elafickie, które odkryłem rok temu. Na Lopud choćby, Insula Media, jak mawiali Rzymianie, której przewodniki poświęcają jedno, dwa zdania. I chwala Bogu, bo nie spotyka się tam zbyt wielu ludzi, a rodaków jak na lekarstwo, co bardzo mi odpowiada.

Stróża, miejscowość za Myślenicami przy drodze do Zakopanego, to dłuższy epizod, głównie wakacyjny, w życiu moim i naszej rodziny. Tam znajdował się modrzewiowy domek moich wujostwa. Spędzaliśmy tam kanikułę, od końca lat osiemdziesiątych, gdzieś do 2000. Sielanka w malowniczej okolicy, rodzaj zaczarowanego ogrodu, w którym dobrze się żyło, czytało, pisało, myślało, biesiadowało. Poświęciłem temu okresowi trochę wierszy, głównie zgromadzonych w tomie-wyborze *Stróża. Wiersze ze światła*.

To się skończyło. Po śmierci wuja ciotka sprzedała tę chatkę, żeby „nie mieć kłopotu”. Wtedy zaczęły się nasze intensywne, ekstatyczne wędrówki po Helladzie. I bardzo dobrze, nie lubiłbym być chyba „przywiązany do ziemi”, rozwijam i praktykuję zresztą od osiągnięcia wieku średniego, jak wiesz, „doktrynę niekonieczności”...

5. Wiersze i między wierszami. Hybrydy. W kręgu *Czarnego notesu*.

W podróży od wielu lat towarzyszy mi czarny moleskine, notes, w którym zapisuję zdarzenia, obserwacje, pomysły, zaczątki wierszy. Mam ich już kilka, i jeśli coś sensownego po mnie zostanie, to właśnie te pięknie chaotyczne kroniki wędrówek. Zresztą już teraz służą jako wsparcie pamięci, kiedy chcemy sprawdzić gdzie byliśmy w danym roku, co robiliśmy w danym dniu. Te zapiski są podstawą moich później spisywanych w formie szkiców czy niewielkich próz relacji z kolejnych wypraw. Jednym z efektów tego zaczerniania papieru jest tomik *Czarne notesy*, zawierający sporo takich lirycznych prozatorskich miniatur.

Kiedys, nie wiem kiedy, przestało mi się podobać bycie „tylko” poetą, stąd (i może to także wynikało z podpatrywania naszego Mistrza Miłosza) różne formy mieszane, hybrydyczne – miniatury, poematy, szkice rozmaite, zapiski, gnomy, wtykane między „klasyczne” wiersze w paru tomach, choćby w *Niewiedzy* czy właśnie zbiorze *Wiersze i między wierszami*.

6. *Budzik Platona. Greckie lustro*. Opowieści rzeczywiste i mityczne.

Budzik Platona, zbiór próz i esejów, jest pierwszą próbą zmierzenia się prozą z „tematem greckim”, potem kontynuowałem to w wydany w Pograniczu w serii *Meridian Greckim lustrze*.

Moim zamierzeniem na przyszłość jest wznowienie znacznie poszerzonego *Greckiego lustra*, bo przybyło mi szkiców o postaciach mitycznych, relacji z wędrówek po wyspach, studiów o poezji Konstantinosa Kawafisa. Ale do domknięcia tego tematu, choć obaj wiemy, że jakiegokolwiek „zakończenie” jest niemożliwe, bo temat jest „wieczny”, ciągle inspirujący, potrzeba mi jeszcze sporo wiedzy, paru wędrówek (pielgrzymki do Myken i Delf), łażenia ścieżkami Greków po kilku wyspach, odwiedzenia, czasem powtórnego, paru muzeów.

Skąd w ogóle to zainteresowanie, późna miłość – do Grecji? Sam nie wiem, ale bawi i zajmuje mnie to niezmiennie: to wielomiesięczne planowanie wypraw, badanie tekstów źródłowych, polowanie na trudno dostępne publikacje, znajomość z paroma znakomitościami ze świata filologów klasycznych, porównywanie świadectw z własnym – naocznym – doświadczeniem. I ta satysfakcja, że poruszam się zdecydowanie pod prąd mód, „światowych trendów”, oczekiwań, wbrew różnym mieliznom i pokusom łatwości płynięcia w głównym nur-

cie. Rodzaj ekskluzywnej prywatności? A może to, że nie lubię być znieważany, jak pisał mój ulubiony Sándor Márai, przez głupotę powierzchowności? Ale po drodze, przyznając, niekiedy niełatwej, dostrzegam, że nie jestem sam, że parę interesujących osób to także bawi, wciąga, inspiruje. I jeszcze inne satysfakcje z tego „szaleństwa” płynące – przyjaźń ze znacznie młodszymi od nas osobami, na przykład z Jackiem Hajdukiem, tłumaczem „kanonu” Kawafisa, i wzbogacająca mnie wymiana doświadczeń, zachęt, wrażeń z lektury. Ale to nie są nigdy rzeczy z listy bestsellerów empiku, i chwała Bogu za to.

7. Redaktor. Krytyk. Kolekcjoner.

Całe dorosłe życie poświęciłem pracy redakcyjnej, niedługo po zakończeniu studiów podjąłem w 1977 roku pracę w Wydawnictwie Literackim. Nie muszę Ci mówić o tym za wiele, bo znasz styl mojej pracy z autorem (kilka Twoich tomów doprowadziliśmy do wydania). Oczywiście czasem wydaje mi się to żmudne, praco- i czasochłonne, odrywające od innych, w danej chwili ciekawszych zajęć, ale z satysfakcją się myśli z perspektywy czasu o redagowaniu książek Miłosza, Harasymowicza, Urszuli Koziół, Julii Hartwig, Zagajewskiego, współpracy z Wisławą Szymborską i Ewą Lipską, z Janem Józefem Szczepańskim (teraz, w ostatnich latach, jestem edytorem jego wielotomowego *Dziennika*), z Kazimierzem Orłosiem, Marianem Pilotem, Tobą czy Piotrem Szewcem, a przy okazji przecież i inne przygody. Jak odkrycie dla nas (chyba przez Piotra Szewca) fascynująco bogatej twórczości graficznej Leszka Rózggi czy twórczości rysunkowej i malarskiej Henryka Wańka.

Zarabiam na chleb od czasu do czasu, dość regularnie, jako „krytyk”, może bardziej jako recenzent, współpracujący z kilkoma pismami, ale najdłużej chyba, bo od lat studenckich, z miesięcznikiem „Nowe Książki”. Staram się pisać o książkach mnie interesujących, czyli, ogólnie rzecz biorąc, dobrych. Na kilkaset tekstów, które wyszły spod mojego pióra, może na palcach jednej ręki mógłbym wyliczyć omówienia negatywne, niechętne dziełu danego autora.

Moje kolekcjonerstwo – książek „od zawsze”, obrazów i grafik, podróży, monet antycznych?

Wszystko to wzięło się z przyjaźni z malarzami, pisarzami, z potrzeby dzielenia się, twórczej wymiany. A pewnego dnia okazało się, że mamy, Ty i ja, cał-

kiem przyzwoite kolekcje grafik Różgi, ja jeszcze obrazy Wańka, Zbigniewa Kowalewskiego, mistrzowskie zdjęcia Grażyny Niezgody.

Z trwającej już ponad dekadę podróżą greckiej przywożłem także zainteresowanie dla starożytnych numizmatów. Ostatnio cieszy mnie zdobycie ślicznej trackiej tetradrachmy z Dionizosem, z wyspy Thassos, od której w ogóle zacząłem greckie peregrynacje. A od monety sprzed ponad dwóch tysięcy lat już niedaleka droga do niewielkiego studium o Dionizosie. Zresztą jedno odkrycie prowadzi do drugiego – myśl o starożytnych, a potem odwiedzenie Sparty i Mistry, kulturalnej stolicy Bizancjum, a stamtąd nie całkiem prosta droga do dzisiejszego Stambułu, i jeszcze kwestie związane z pisaniem ikon i myślą Kościoła wschodniego. Na moim biurku stoi ikona z wniebobranym prorokiem Iliją, a obok leżą niedawno odkryte *Filokalia*...

Parokrotnie pytałeś, jak sobie z tym wszystkim radzę, z pracą etatową, żywotem recenzenta i felietonisty, własnym pisarstwem... Powstało przecież do dziś prawie trzydzieści książek, w tym, co mnie szczególnie cieszy, książka o moim przyjacielu i sąsiedzie z domu pisarzy przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie – *Stanisław Czycz Mistrz Cierpienia*.

Jakoś sobie radzę, czasem z dużym trudem, ale chyba po to, żeby się nie nudzić. Wierzę, że nuda jest jednym z grzechów najcięższych i nie do wybaczenia. A że zdarzają się przesyty, kryzysy, ciemne strony tej aktywności, fatalne depresje jesienno-zimowe, smutki, wątplenia? Nikt od tego nie jest wolny.

Ciągle wierzę, że znów wpadnę na nowy trop, zobaczę obraz, który będę chciał zatrzymać, przyśni mi się ścieżka. I znów ruszę, tak samo młody, tak samo ciekawy, zobaczyć, co może mi się jeszcze wydarzyć...

Nie zauważyłem, w którym momencie życia stałem się także podróżnikiem.

ANNA NASIŁOWSKA

Kot

To ja.
Zajmuję się uwielbieniem siebie
W wersji udomowionej,
Wydzielam pochwałę
ciepła i sytości.

Mam też pazur.
Na wypadek gdyby tak
oznaczało nie
Pomiędzy nimi
tylko błysk.

Jaszczurka

Urodziłyśmy się w ciemności
Z matki zwinki. Wiosną.
Jakaś siła wypchnęła nas.
Biegłam, biegłam, biegłam.
Aż wyrosły mi nogi.
Kluczyłam aby zgubić ślad
aż moje ciało wydłużyło się
i uformował się ogon.
Poczułam zimno
i moja skóra pokryła się łuską
Bałam się bo mój rozum powiedział
Nie ufaj światłu

Bój się też cienia
Kochaj ciepło
bądź odporna na mróz
biegnij pomiędzy
bądź zwinna

EWA SONNENBERG

azra. pl

każdy azra kocha tylko raz
każdy wojownik tylko raz ma nadzieję
zna jednego Boga i tysiące aniołów
nie potrzebuje „wiedzieć” by znać prawdę
nie musi „rozumieć” by współodczuwać

kim jest ta miłość żadna historia tego nie opowie
czym jest ta wojna nikt nie znajdzie odpowiedzi
poza tym światem odpowiem ci na każdy ślad twojej stopy
kto uwierzy w spotkanie wszechświata z ziarnkiem piasku
tylko wiara jak świetlista zbroja i kolejna bitwa

Refren

Kim jest poeta w kraju z którego pochodzi
Kim jest obraz w którym sen przybiera postać ramy
Widzi swój ból stoi naprzeciw niego
Omdlewające ciało przyprowadzone na brzeg snu

Ciało jest jak budynek z pokojami różnych czasów
Wokół tego bólu widziałam tysiące obojętnych ludzi
I zrozumienie na jaką nazwę zasługuje ta obojętność
I przyjaciół w liczbie pojedynczej rozproszonych na całym świecie

Stoję obok cerkwi iskra nieba dotyka mojego serca
Idziemy jak trzy skrzaty śpiewając piosenki dzieciństwa
Jeden z nas mówi: to jest prawdziwy zen
Gwiazda księżyc i księżycowy rycerz

Wiersze odnalezione na ścieżce słońca

gdy moje oczy płaczą ogniem mówię w języku Ziemi
gdy moje oczy płaczą krwią mówię w języku Księgi
gdy moje oczy płaczą morzami mówię w języku gwiazd
gdy moje oczy płaczą wiatrami mówię w języku wieczności
gdy moje oczy płaczą ludźmi mówię w języku śmierci
gdy moje oczy płaczą ciebie mówię językiem szaty
gdy moje oczy płaczą sercem mówię nie ma żadnego tu
gdy moje oczy płaczą kamieniami mówię językiem Ognia
gdy moje oczy płaczą milczeniem mówię językiem pustyni
gdy moje oczy płaczą piaskami mówię językiem Jestem

NUMERY MONOGRAFICZNE I TEMATYCZNE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- JERZY ANDRZEJEWSKI: 4/1997 (16), 4/2009 (64)
FRANCIS BACON: 4/2005 (48)
SAMUEL BECKETT: 4/1996 (12), 4/1999 (24), 3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2008 (60), 4/2010 (68)
THOMAS BERNHARD: 2/2009 (62), 3/2009 (63)
JAN BŁOŃSKI: 1/2010 (65)
LOUIS BOURGEOIS: 4/2011 (72)
LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE: 1/1998 (17)
STEFAN CHWIN: 3/2010 (67)
EDITIONS DE MINUIT: 2/2000 (26), 3/2001 (31)
ALBERTO GIACOMETTI: 2–3/2003 (38–39); 4/2013(80)
ALLEN GINSBERG: 3/1997 (15)
MICHAŁ GŁOWIŃSKI: 2/2010 (66)
JULIA HARTWIG: 3/2011 (71)
ZBIGNIEW HERBERT: 2/1999 (22), 2/2008 (58)
KAZIMIERZ HOFFMAN: 1/1999 (21), 4/2008 (60)
KONSTANDINOS KAWAFIS: 2/2013 (78)
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI: 1/2006 (49)
RYSZARD KRYNICKI: 2/2013 (78)
MICHAŁ ANIOŁ: 1/2008 (57)
ARTUR MIĘDZYRZECKI: 3/2007 (55)
CZESŁAW MIŁOSZ: 2/2001 (30), 3/2004 (43), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52), 4/2007 (56), 3/2008 (59),
2/2011 (70), 2/2014 (22)
ROBERT PINGET: 2/1998 (18)
HAROLD PINTER: 1/2005 (45)
EZRA POUND: 3/1998 (19)
TADEUSZ RÓŻEWICZ: 3/2002 (35), 2/2006 (50), 4/2011 (72)
WISŁAWA SZYMBORSKA: 1/2012 (73), 1/2013 (77), 1/2014 (81)
SUHRKAMP VERLAG: 4/1998 (20)
KS. JAN TWARDOWSKI: 3/1998 (19)
LITERATURA CZESKA: 2/1997 (14)
LITERATURA IZRAELSKA: 1/2000 (25), 4/2004 (44)
LITERATURA ROSYJSKA: 2/1996 (10)
POECI AMERYKAŃSCY: 1/1999 (21)
POECI CHORWACCY: 1/2008 (57)
POECI MACEDOŃSCY: 1/2009 (61)
POECI Z SARAJEWA I ZE SŁOWENII: 3/1995 (7)

GŁOSY I GŁOSY W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”

1996 nr 4 (12)

– Samuel Beckett

Samuel Beckett, Václav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gottfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Julliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski

1997 nr 4 (16)

– Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matu-szewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fiett

1998 nr 3 (19)

– 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Gryn-berg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22)

– Zbigniewowi Herbertowi *in memoriam*

Alain Besançon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30)

– Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Krzysztof Myszkowski, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Sławińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarębianka

2002 nr 1 (33)

– o *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosza

Jacek Bolewski SJ, Mirosław Dzień, Krzysztof Myszkowski

2002 nr 4 (36)

– o *Orfeuszu i Eurydyce* Czesława Miłosza

Krzysztof Myszkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Żakiewicz

2003 nr 2–3 (38–39)

– Alberto Giacometti

Jacques Dupin, Jean Genet, Magnus Hedlund, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Jean-Paul Sartre, Ernst Scheidegger, David Sylvester

2003 nr 4 (40)

– 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Czesław Miłosz, Krzysztof Mysz-kowski

2004 nr 3 (43)

– Czesławowi Miłoszowi *in memoriam*

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Ju-lian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczko-dan, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnen-berg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szym-borska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47)

– w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksan-der Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysz-tof Myszkowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50)

– na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Le-szek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 3–4 (51–52)

– o *Wierszach ostatnich* Czesława Miłosza

Mirosław Dzień, Julia Hartwig, Aleksander Ju-rewicz, Julian Kornhauser, Agnieszka Kosińska, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2007 nr 3 (55)

– o Arturze Międzyrzeckim

Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligeża, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58)

– w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta

Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Henryk Gryn-berg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligeża, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz No-wosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2008 nr 4 (60)

– o *Znakach* Kazimierza Hoffmana

Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Leszek Szaruga

2009 nr 1 (61)

– o *Tutaj* Wisławy Szymborskiej

Edward Balcerzan, Aleksander Jurewicz, Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Zofia Król, Krzysztof Myszkowski, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 2 (62)

– o *Jasne niejasne* Julii Hartwig

Krystyna Dąbrowska, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64)

– w 100. rocznicę urodzin

Jerzego Andrzejewskiego

Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65)

– w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego

Krzysztof Myszkowski, Aleksander Fiut, Marek Kędzierski, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga

2010 nr 2 (66)

– o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego

Julia Hartwig, Wojciech Gutowski, Wojciech Ligęza, Jacek Łukasiewicz, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Skrendo, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Wojciech Tomasiak

2011 nr 2 (70)

– najważniejsze książki i wiersze Czesława Miłosza
Jacek Bolewski SJ, Kazimierz Brakoniecki, Václav Burian, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Olga Glondys, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Henryk Grynberg, Jacek Gutorow, Wojciech Gutowski, Julia Hartwig, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, ks. Janusz A. Kobierski, Antoni Libera, Krzysztof Lisowski, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Leszek Aleksander Moczulski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Mieczysław Orski, Jerzy Plutowicz, Jan Polkowski, Marek Skwarnicki, ks. Jan Sochoń, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Andrzej Szuba, Janusz Szuber, Marta Wyka, Joanna Zach, Andrzej Zawada

2011 nr 3 (71)

– na 90. urodziny Julii Hartwig

Krzysztof Myszkowski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brakoniecki, Renata Gorczyńska, Anna Janko, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Wisława Szymborska

2012 nr 1 (73)

– *Wisławie Szymborskiej in memoriam*

Julia Hartwig, Krzysztof Myszkowski, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Re-

nata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 2 (74)

– o *Wystarczy* Wisławy Szymborskiej

Julia Hartwig, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 4 (76)

– 20 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Marek Kędzierski, Bogusław Kierc, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Piotr Matywiecki, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2013 nr 1 (77)

– w 1. rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej

Julia Hartwig, Stefan Chwin, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Marta Wyka

2013 nr 2 (78)

– na 70. urodziny Ryszarda Krynickiego

Julia Hartwig, Katarzyna Herbert, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Adam Michnik, Krzysztof Myszkowski, Michał Rusinek, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2013 nr 4(80)

– o *Zapiskach* Julii Hartwig

Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2014 nr 1 (81)

– o wierszach Wisławy Szymborskiej

Julia Hartwig, Stefan Chwin, Michał Głowiński, Bogusław Kierc, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2014 nr 2 (82)

– w 10. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Marek Tomaszewski

ROZMOWY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- z AGNIESZKĄ HOLLAND: 0/1993
z JÓZEFEM TISCHNEREM: 1/1994
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 2/1994, 4/2011 (72)
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM: 3/1994, 3/2000 (27), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52)
z MICHAŁEM GŁOWIŃSKIM: 3/1994, 2/2010 (66)
z TADEUSZEM KANTOREM: 4/2010 (68)
z JOHNEM BANVILLEM: 1/1995 (5)
z JANUSZEM STYCZNIEM: 2/1995 (6)
z MARIANEM CZUCHNOWSKIM: 3/1995 (7)
z JANEM BŁOŃSKIM: 4/1995 (8), 2/2010 (66)
z EUGÉNEM IONESCO: 1/1996 (9)
z JACKIEM BACZAKIEM: 1/1996 (9)
z KRYSZYŃKĄ I CZESŁAWEM BEDNARCZYKAMI: 3/1996 (11)
z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM: 2/1997 (14), 1/2006 (49)
z ALLENEM GINSBERGIEM: 3/1997 (15)
z ZYGMUNTEM KUBIAKIEM: 4/1997 (16)
z ROBERTEM PINGETEM: 2/1998 (18)
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/1998 (18), 2/2013 (78)
z KS. JANEM TWARDOWSKIM: 3/1998 (19)
z THORSTEM AHRENDEM (SHURKAMP VERLAG): 4/1998 (20)
z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM: 4/1998 (20)
z PAWŁEM HERTZEM: 4/1998 (20)
ze STANISŁAWEM LEMEM: 4/1998 (20)
z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM: 1/1999 (21), 1/2000 (25)
z KAZIMIERZEM HOFFMANEM: 1/1999 (21), 4/2008 (60)
z JULIANEM KORNHAUSEREM: 3/1999 (23)
z JÉRÔME LINDONEM (EDITIONS DE MINUIT): 2/2000 (26)
z IRÈNE LINDON (EDITIONS DE MINUIT): 3/2001 (31)
z ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JAMESEM LORDEM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z ERNSTEM SCHEIDEGGEREM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JULIĄ HARTWIG: 2/2004 (42), 2 i 3 /2012 (74 i 75)
z FRANCISEM BACONEM: 4/2005 (48)
z BARBARĄ BRAY o SAMUELU BECKETCIE: 3–4/2006 (51–52), 4/2008 (60)
MAREK KĘDZIEŃSKI i KRZYSZTOF MYSZKOWSKI o SAMUELU BECKETCIE:
3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2010 (68)
z ROSWITHĄ QUADFLIEG o SAMUELU BECKETCIE: 1/2007 (53)
z WALTEREM D. ASMUSEM: 1/2007 (53)
z ALEKSANDREM FIUTEM: 2/2008 (58)
z MARKIEM SKWARNICKIM: 1/2009 (61)
z EWA LIPSKĄ: 1/2009 (61)
z THOMASEM BERNHARDEM: 2/2009 (62)
z PETEREM FABJANEM o THOMASIE BERNHARDZIE: 2/2009 (62)
ze STEFANEM CHWINEM: 3/2010 (67)
z ANDRZEJEM BUSZĄ o CZESŁAWIE MIŁOSZU: 2/2011 (70)
z MARIE-LAURE BERNADAC: 4/2011 (72)
z ULF KÜSTER: 4/2011 (72)
z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ: 1/2012 (73)
z JANUSZEM SZUBEREM: 3/2012 (75)
ANTONI LIBERA i o. JANUSZ PYDA OP o SAMUELU BECKETCIE: 4/2013 (80), 1/2014 (81), 2/2014 (82)

ANKIETY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Po co piszę?

Czesław Miłosz – nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser – nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk – nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki – nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Koziół – nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski – nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styczeń – nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek – nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec – nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg – nr 1/1998 (17), Marek Kędziński, Leszek Szaruga – nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura – nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M. Benka – nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń – nr 1/1999 (21), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Olędzka-Frybesowa – nr 2/1999 (22), Maciej Cisko, Mirosław Dzień, Piotr Szewc – nr 3/1999 (23), Krzysztof Cwikliński, Krzysztof Lisowski – nr 4/1999 (24), Stanisław Lem – nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki – nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz-Zielińska, Jerzy Gizella – nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc – nr 4/2000 (28), Jacek Boleski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szlosarek – nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski – nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel – nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Miltzner – nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Łatawiec, ks. Janusz A. Kobierski, Henryk Waniek – nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszkowski – nr 2/2002 (34)

Trzy wiersze

Czesław Miłosz – nr 3/1997 (15), Stanisław Lem – nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański – nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki – nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski – nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz – nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman – nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser – nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga – nr 3/1999 (23), Piotr Sommer – nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński – nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz-Zielińska – nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński – nr 3/2000 (27), Michał Głowiński – nr 4/2000

(28), Zbigniew Żakiewicz – nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc – nr 3/2001 (31), Julia Hartwig – nr 2/2004 (42)

Jaki jest terażniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz – nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski – nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki – nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2002 (35), Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski – nr 4/2002 (36)

Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada – nr 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo – nr 4/2009 (64)

Po co literatura?

Julia Hartwig – nr 4/2012 (76), Stefan Chwin, Renata Gorczyńska – nr 1/2013 (77), Piotr Matywiecki, Leszek A. Moczulski, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Kazimierz Brakoniecki, Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska – nr 3/2013 (79), Krystyna Dąbrowska, Jakub Momro, Anna Nasiłowska – nr 4/2013 (80), Jacek Gutorow, Jacek Napiórkowski, Leszek Szaruga – nr 1/2014 (81), Anna Frajllich, Ireneusz Kania, Bogusław Kierc – nr 2/2014 (82)

Moi mistrzowie

Julia Hartwig – nr 1/2013 (77), Stefan Chwin, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Janusz Szuber, Leszek A. Moczulski, Renata Gorczyńska – nr 3/2013 (79), Kazimierz Brakoniecki, Jacek Gutorow, Leszek Szaruga – nr 4/2013 (80), Bogusław Kierc, Urszula Koziół, Anna Nasiłowska – nr 1/2014 (81), Jacek Bocheński, Piotr Matywiecki, Andrzej Szuba – nr 2/2014 (82)

STEFAN CHWIN

Prawo do życia bezbolesnego

W pokoju było ciemno, jaśniejszy prostokąt okna zapowiadał rychłe nadejście świtu, drzwi na korytarz były otwarte. Światło lamp, rozproszone i mgliste, rozlewało się po zielonym linoleum, podobne do mylącego blasku porannej zorzy.

W ciemności słyszałem oddech pana Józefa. Leżał obok mnie. Dwa pomalowane białym lakierem łóżka, dwie blaszane szafki nocne, na nich porcelitowe kubki z chłodnym kompotem. Pan Józef miał dziewięćdziesiąt jeden lat. Co jakiś czas starczą ręką szarpał za rączkę dzwonka, przytwierdzoną nad łóżkiem, bo nie mógł wytrzymać z bólu. Miał raka trzustki, nowotwór – jak się później dowiedziałem – jeden z najbardziej bolesnych. Nie mogłem zasnąć. Fale bólu, dobiegające z sąsiedniego łóżka, przechodziły w świszczące westchnienia, potem w jęki, potem w ciche, urywany skowyt. Bo pan Józef wstydził się, że musi jęczeć.

Ale pielęgniarka nie zjawiała się. Z głębi korytarza, gdzie była dyżurka, dobiegało spokojne brzęczenie łyżeczki mieszającej herbatę, czyjeś stłumione głosy, jakaś rozmowa. Siostra P. zjawiała się dopiero po parunastu minutach. Właśnie kończyła nocny dyżur. Była spokojna, rubaszna, chodziła szybko w podbitych gumą szpitalnych drewniakach.

– No i co, panie Józefie? Boli? – pochyliła się nad sąsiednim łóżkiem z rękami wciśniętymi w kieszenie białego fartucha. Na głowie biały, sztywny czepek z czarnym paskiem. – Ciągłe boli i boli... – odmruknął pan Józef, podciągając kołdrę pod brodę. – Niech pan nie narzeka. Poboli, poboli i przestanie. A jakby bolało pana naprawdę, niech pan na mnie zadzwoni – poprawiła poszwę kołdry, potem owinęła kocem jego stopy w ciepłych skarpetach, wyszła z pokoju.

Jej długi cień przez chwilę kołysał się na zielonym linoleum, potem zgasł w otwartych drzwiach.

Pan Józef zamilkł. Skulony na boku oddychał teraz ostrożniej, przygryzając dolną wargę, ale jęk wzbierał pod przeponą, co jakiś czas przebijając się na powierzchnię krótkim, szarpiącym nerwy, stłumionym skowytym. Zaczęło mnie ogarniać niedobre drżenie. Poczułem, jak krew szybciej uderza w skroniach. Pan Józef jęczał cichutko, przysłaniając usta pięścią, jakby nie chciał urazić nikogo swoim niewłaściwym zachowaniem, a ja przeklinałem w duchu pielęgniarkę, której oddalające się kroki cichły w głębi korytarza. Poprawiając kołdrę, pewnie uspokajała swoje sumienie. W końcu nie była beczynna. Coś przecież zrobiła.

Zachowywała się tak, jakby cierpienie pacjentów w szpitalu było dla niej rzeczą najzwyczajszą w świecie. Bo cóż to byłby za szpital, w którym pacjenci nie cierpią? Sama taka myśl pewnie by ją tylko rozśmieszyła. Ból w szpitalu był dla niej nie tylko rzeczą zwyczajną, ale nawet w pewnym sensie konieczną. Że pacjent cierpi? No, cóż, gdyby nie cierpiał, to by nie był tutaj. A poza tym pacjenci są tacy niecierpliwi. Chcą, żeby pielęgniarka była zawsze na zawołanie. Ledwie ich coś tam zaboli, a już dzwonią na nią jak na psa. Kiedy boli, pacjent musi trochę pocierpieć. Pan Jezus też cierpiał, ale przecież nie szarpał ciągle za rączkę przytwierdzoną nad łóżkiem. Bóg zsyła cierpienie. Uczy człowieka cierpliwości. Prawdziwy mężczyzna umie znosić cierpienie po męsku. Jak on dzwoni co chwilę, to on nie jest prawdziwym mężczyzną. Co innego dzieci. Dzieci mogą płakać. Ale ludzie dorośli? Człowiek dorosły powinien zacisnąć zęby i cierpliwie czekać, aż pomoc nadejdzie. Pielęgniarka nie jest w końcu jakąś tam dziewczyną na posyłki. Przyjdzie do pacjenta, kiedy sytuacja będzie naprawdę poważna. Ale tak na zawołanie? Jakby ktoś na nią zagwizdał? Ledwie coś tam chorego zaboli, od razu ma do niego lecieć? Gdyby się na to zgodzić, pacjenci by się zupełnie rozpuścili. No, bo wyobraźmy sobie taki szpital, w którym pielęgniarka leci do każdego pacjenta na każde zawołanie. Przecież to nie byłby żaden szpital.

Tak pewnie siostra P. myślała, gdy pochylona nad łóżkiem pana Józefa poprawiała mu kołdrę. A we mnie, gdy na to patrzyłem, rosła gorąca fala wściekłości i oburzenia. Potem znowu usłyszałem dobiegające z głębi korytarza spokojne dzwonienie łyżeczki mieszającej w szklance kawę czy herbatę. Siedziały tam pewnie w dyżurce we dwie albo we trzy, miały przed sobą na stole mały telewizorek i patrzyły na jakiś serial.

– Boli pana? – zapytałem szeptem. W odpowiedzi usłyszałem tylko świst powietrza przez zacisnięte zęby. Uniosłem się na łokciu. Pan Józef leżał na boku, skulony, pięść przycisnął do policzka. Za oknem powoli rozjaśniało się. Na nie-

bie blask od strony morza złościł wysoką chmurę, widoczną nad dachem sąsiedniego pawilonu. Czubki sosen kołysały się na wietrze.

Zwlokłem się z łóżka i w rozpiętym szlafroku pożeglowałem korytarzem w stronę dyżurki. Kiedy stanąłem w drzwiach, obie pielęgniarki odwróciły głowy. W palcach trzymały kawałki babki piaskowej. Nadkrojone ciasto leżało na szpitalnym talerzu obok noża z drewnianą rączką. W szklankach dymiła świeża herbata. Na ekranie telewizorka przepływały kolorowe obrazy. Nad szafką z lekarstwami wisiał drewniany krzyżyk z aluminiowym Chrystusem.

– O co chodzi? – zapytała siostra P. – Potrzebuje pan czegoś? – Poprawiłem na sobie szlafrok. – Proszę panią, proszę, żeby pani przyszła do pana Józefa pod piątkę i coś zrobiła. – Siostra P. odłożyła ciasto na spodek. – Przeszkadza? – Nie o to chodzi – hamowałem wewnętrzne wzburzenie. – On ma atak. Widziałem, że czuje się fatalnie. Niech mu pani coś poda. – Starzy ludzie zwykle marudzą – powiedziała druga pielęgniarka, strzepując z palców okruchy ciasta na spodek. Miała czerwoną, spoconą twarz, wąskie usta i podkrążone oczy. – Nerwobóle zaraz mu przejdą. Zaśnie, to się będzie pan mógł wyspać. – Patrzyłem na obie pielęgniarki i ręce mi drżały, ale starałem się mówić spokojnie. – Niech pani do niego pójdzie i zrobi mu zastrzyk albo coś innego. On się męczy. – Siostra P. popatrzyła na mnie z niechęcią, ale potem uśmiechnęła się wyrozumiale. – Dobrze. Zaraz przyjdę. Niech pan wraca do pokoju. – Sięgnęła po niedopitą herbatę. – No, niech pan tutaj nie stoi. To jest dyżurka. – Obrzuciła mnie karcącym spojrzeniem. – Tu pacjentom wchodzić nie wolno. W głębi szafki z lekarstwami zobaczyłem naklejoną kartkę z komputerowym napisem: „Kiedy podajesz pacjentowi tabletki, pięć razy sprawdź, czy podajesz właściwą”.

Wróciłem do pokoju. Usiadłem na łóżku. Za szybą okienną niebo przecinały bezgłośnie mgnienia pierwszych przelatujących wróbli. Dzień budził się powoli. Smugi czerwonej zorzy zaświeciły nad drzewami mokrymi od nocnego deszczu. Na czole pana Józefa błyszczały krople potu. – Podać panu coś do picia? – zapytałem, sięgając po kubek z kompotem. – Nie – odpowiedział szeptem. Miał oczy zamknięte. Wyglądało, że się modli, bezgłośnie poruszając spierzchniętymi ustami.

Dopiero po dłuższej chwili rozległy się na korytarzu kroki i siostra P. weszła do pokoju. Podeszła do łóżka, odgarnęła kołdrę. Spokojnie, pewnymi ruchami okręciła panu Józefowi przedramię gumową rurką, pstryknęła parę razy w strzykawkę, sprawdziła igłę, zrobiła zastrzyk. Potem mówiła do niego jak do dziecka. – Boli pana Józefa? Musi trochę boleć. Niech pan Józef głęboko oddycha. O, tak. Już lepiej? Poboli, poboli i przestanie. – Pan Józef znowu zamknął

oczy. Na jego przedramieniu ciemniał wydłużony siniec z różową kropką, śladem po ukluciu igłą.

Kiedy siostra P. wychodziła, uśmiechnęła się do mnie. Nie wyglądała wcale na obrażoną. Jej drewniaki ładnie postukiwały na zielonym linoleum. Po chwili od strony dyżurki dobiegała znowu cicha gadanina z telewizyjną muzyką w tle.

Byłem przerażony. W myślach raz jeszcze przeliczałem sekundy i minuty, które mijały, gdy oparty na łokciu wsłuchiwałem się, jak pan Józef jęczy przysłaniając usta pięścią. Sporo było tych minut. Myślałem o tym, co się stanie ze mną, kiedy to na mnie spadnie prawdziwy ból i to ja wyciągniętą ręką będę szarpał za rączkę dzwonka. Jak to wszystko będzie przebiegać, kiedy to mnie los zaprosi na małą szpitalną Drogę Krzyżową.

Po śniadaniu był obchód. Nie powiedziałem lekarzowi o niczym. Nie chciałem zadzierać z siostrą P. Gdyby mnie coś mocno zabolalo, mogła mi udzielić pomocy natychmiast, ale mogła także pomoc trochę opóźnić. Udać, że nie słyszy mojego dzwonięcia. Wiele tu było możliwości, jak w dużej talii kart.

Do doktora S-kiego podszedłem koło jedenastej. Szedł korytarzem z plikiem papierów w ręku. – Panie doktorze – zapytałem – czy są jakieś uregulowania prawne, które określają kiedy lekarz powinien podać pacjentowi środki przeciwbólowe? Doktor S-ki był bardzo uprzejmy. Chętnie udzielał odpowiedzi: – Pyta pan o uregulowania w tej kwestii? Myślę, że nie ma takich uregulowań. W każdym razie w formie wyraźnych, zobowiązujących wytycznych. – Znowu się przeraziłem. – Więc to znaczy, że to jest sprawa czysto uznaniowa? – No, właściwie tak. To sam lekarz musi na własną odpowiedzialność uznać, czy już powinien podać pacjentowi środki przeciwbólowe, czy też ich jeszcze nie musi podawać. Wie pan – popatrzył na mnie – To są środki produkowane na bazie opiatów. Bardzo silne narkotyki. – Drogie? – Doktor S-ki od razu się wycofał. – Nie chodzi o to, że drogie. Chodzi o możliwość uzależnienia. Na przykład morfina... – To znaczy, że jeśli ja poproszę, żeby mi podano morfina, lekarz może powiedzieć: nie? – No, tak, może. Żadne przepisy tego nie regulują. To sam lekarz na podstawie rozpoznania stanu pacjenta decyduje, czy ma podawać czy nie podawać. – Zdanie chorego się nie liczy? – No, nie. Oczywiście, że się liczy. Ale ostateczna decyzja należy do lekarza. – Więc lekarz może podać albo nie, nawet jeśli pacjent o to stanowczo prosi? I żaden przepis mu niczego nie nakazuje? – Nie ma takiego przepisu. Ale powinien pan pamiętać, że niektórzy pacjenci zachowują się hipochondrycznie. – To znaczy? – Ból jest niewielki, a oni domagają się natychmiast poważnej interwencji farmakologicznej.

Niewielki? To słowo mnie zmroziło. Patrzyłem na niego z trudno ukrywaną niechęcią. Bo co to znaczy: niewielki? Niby według kogo? To on, lekarz, nosi przy sobie jakąś miarkę do mierzenia bólu? I zupełnie dowolnie określa, jaki to stopień intensywności cierpienia wymaga interwencji medycznej, a jaki nie wymaga? W jakim momencie ból pacjenta należy nazwać bólem niewielkim a w jakim bólem poważnym? I może podać leki dopiero, kiedy pacjent zwija się z bólu?

Przeraziła mnie ta decyzyjna samowola wpisana w system. To od widzi-mi-się lekarza zależało, kiedy dostanę środki przeciwbólowe w szpitalu, nawet jeśli będę tego żądał? Chcieli oszczędzać na pacjentach? Czy raczej nie przejmowali się swoją rutynową obojętnością zawodowców, którzy widzą ból codziennie, więc są znieczuleni na takie widoki do szczytu?

Czy jednak za tym wszystkim nie kryło się coś jeszcze? Stare przekonanie, że człowiek przychodzi na świat po to, żeby cierpieć? Że rodzimy się na padole łez dla próby cierpienia? I dlatego, jeśli nas boli, to „musi trochę poboleć”? Zza fasady medycznego systemu – racjonalnej, ekonomicznej, przenikniętej duchem skąpstwa – wyjrzała twarz religii, obyczaju, etycznych dogmatów, które wielu ludzi w cywilizacji europejskiej nosi pod skórą? Echo prastarej wiary, że cierpienie jest „darem” i niemoralną jest rzeczą „dar” odrzucać, bo życie bez cierpienia to jest życie bez wartości? Wieczna twarz Hioba?

Wracając do pokoju z rozmowy z lekarzem S-kim, nie mogłem o tym wszystkim przestać myśleć. Chciałbym – mówiłem sobie, siadając na łóżku – znaleźć na Ziemi chociaż jeden szpital, w którym na każde moje zawołanie personel poda mi w każdej chwili stosowne środki przeciwbólowe bez żadnej zwłoki i bez żadnych pertraktacji. Cierpienie – mówiłem sobie we wzburzeniu, jakbym się z kimś spierał – nie ma żadnego metafizycznego sensu. Jest czystym złem. Niczym więcej. Ci, którzy mówią, że Bóg chętnie przyjmuje ofiarę z naszych cierpień, znieważają Boga. Bóg – powtarzałem sobie, patrząc na skulonego pana Józefa – nie chce żadnych naszych cierpień. On wcale nie pragnie, by dziewięćdziesięcioletni człowiek cierpiał niewyobrażalne bóle, gdy mu rak zżera trzustkę. Do niczego Mu nie są żadne ludzkie cierpienia potrzebne. Umierając na krzyżu, całe cierpienie świata wziął na siebie po to, byśmy nie musieli cierpieć. Taki jest najgłębszy sens Ukrzyżowania.

Potem o wszystkim opowiedziałem Stanisławowi R., który odwiedził mnie następnego dnia. Tylko się roześmiał: – Cóż ty za katolicki sentymentalizm uprawiasz! Ten twój pan Józef, nad którym tak się rozczulasz, sam sobie winien. Gdyby miał dużo pieniędzy, to leżałby w dobrej, prywatnej klinice, a tam podawali mu leki przeciwbólowe na każde zawołanie, jakby tylko przytknął palcem.

A że przez całe życie nie umiał zarobić tyle, ile trzeba, to teraz ma. Daj spokój z lamentowaniem. Tak już jest na tym świecie. Biedny rodzi się dla cierpienia, a bogaty poradzi sobie nawet w piekle.

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Małe szkice

Bruneci, blondyni

Popularna w okresie międzywojennym piosenka, napisana przez wiedeńskiego kompozytora, Roberta Stolza i należąca do stałego popisowego repertuaru Jana Kiepury, zaczynała się od słów: „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki całować chcę...”. Przywołuję je, choć nie zależy mi na przypomnieniu tego wytworu kultury popularnej sprzed lat kilkadziesiątu, ciekawą sprawą są natomiast stereotypy wiążące się z kolorem włosów. Mam w pamięci piękny, nawiązujący do Bułhakowa film Andrzeja Wajdy *Piłat i inni*. Występują w nim między innymi dwaj wybitni, w tamtych latach młodzi, aktorzy. Promienny blondyn, Daniel Olbrychski, wciela się w postać ewangelisty Mateusza, ognisty brunet, Jerzy Zelnik, gra postać Judasza. Ktoś może słusznie orzec, że kontrast ten, oczywiście założony z góry, nieprzypadkowy, mający znaczenie dla ogólnej wymowy filmu, nie ma żadnego uzasadnienia realnego, obydwaj apostołowie należeli do tej samej nacji, żyli w tym samym świecie, reprezentowali tę samą kulturę ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego. Jest to zatem przeciwstawienie symboliczne, zakotwiczone w utrwalonych wyobrażeniach, można nawet powiedzieć, że ma uzasadnienia doktrynalne. Blondyn, będący świętym, jest nasz, brunet oczywiście nasz nie jest, skoro okazał się zdrajcą. Po prostu trudno sobie wyobrazić, by te dwie role obsadzone były odwrotnie. Żyjemy w świecie stereotypów, one w dużej mierze rządzą naszym postrzeganiem dookolnej rzeczywistości i historii, a także mają wpływ na kształtowanie obrazów i wątków religijnych. Nawet wybitne dzieła sztuki nie kwestionują na ogół tej reguły.

Humaniści są pisarzami

Pewien wybitny przedstawiciel nauk ścisłych powiedział mi, że by napisać w jego dyscyplinie artykuł po angielsku, będący cennym i kompetentnym sprawozdaniem z badań, wystarczy znajomość około sześciuset słów i opanowanie najbardziej elementarnych reguł gramatycznych. Jak widzimy, wymagania są niewielkie, a także – dodajmy – łatwe do spełnienia. Dzieje się tak dlatego, że dla przyrodnika tekst jest przezroczysty, oczekuje on od niego tylko przekazu informacji. Nieistotna staje się retoryka i siła przekonywania, by nie wspominać o urokach stylu. Wyobraźmy sobie, że ktoś wyposażony w tak ubogie umiejętności postanowił napisać artykuł z jakiegokolwiek dziedziny nauk humanistycznych. Byłoby to z wielu powodów niemożliwe, chyba nawet wówczas, gdyby chodziło o najskromniejszy przyczynek, informujący o fakcie drobnym i niezbyt znaczącym. Gdyby jednak ktoś z minimalną znajomością języka obcego (w tym wypadku angielskiego) porwał się na tego rodzaju zadanie i próbował napisać w nim pracę, zapewne żadne poważniejsze czasopismo nie chciałoby czegoś tak ubogiego i prymitywnego publikować, a jeśliby zdecydował się na ogłoszenie swojego elaboratu nakładem własnym, nikt by nie chciał go czytać. I to nawet wówczas, gdyby z punktu widzenia leksykalnego i gramatycznego był bez zarzutu. Tu jednak elementarna poprawność nie wystarcza! W humanistyce liczą się również teksty, trzeba dysponować odpowiednimi środkami językowymi, by je napisać. Humanisci są także pisarzami. W tej materii nic nie da się zmienić niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie podoba.

Pani pismak

Dorabia się teraz żeńskie odpowiedniki słów oznaczających ważne stanowiska i prestiżowe funkcje, choć rzeczowniki nie muszą w zależności od rodzaju gramatycznego wskazywać na płeć osób, do których zasadnie się stosują. Jest to zresztą nie zawsze możliwe ze względów ściśle językowych, bo słowa zależnie od rodzaju oznaczają co innego, nie możemy przeto powiedzieć, że panie Albright i Clinton były sekretarkami stanu, na zawsze pozostaną sekretarzami. To język zdecydował o tym, że pewne wersje żeńskie się przyjęły, innym zaś nie było to dane. Starania o odpowiedniki dotyczą tego, co zyskuje aprobatę, choć wersje sfeminizowane występują także wówczas, gdy mowa o tym, co naganne. Jeśli pani Iksińska trudni się kradzieżami, nie nazwiemy jej złodziejem, pozostanie złodziejką, mimo że gdyby zajmowała się rozbojem i z bronią w ręku napadała

na przechodniów, nie określilibyśmy jej nie istniejącym w polszczyźnie wyrazem „bandytka”. Przedstawiam te uwagi w związku ze słowem „pismak”. Pismak – najogólniej mówiąc – to ten, którego publikacje służą złej sprawie, opierają się na kłamstwach, pełne są insynuacji i fałszywych oskarżeń, a ponadto znajdują się na ogólnie niskim poziomie wysłowienia. Od pewnego czasu przyglądam się produkcjom niejakiej Doroty K., nie mam wątpliwości, że jej wieloletnią działalność zakwalifikować należy jako pismaczenie. Jak wszakże nazwać tę wirtuożkę zainfekowanego i skorodowanego pióra? Czy należy ukuć neologizm „pismaczka”? Wydaje mi się to zbyt techniczne, wystarczy „pismak” w rodzaju męskim, bo nie musi on wskazywać na płęć osobnika uprawiającego ten proceder, informuje o tym, czym się dana figura zajmuje i jak oceniane są plody jej pióra.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Addenda (34)

Kim jestem i wobec kogo jestem? Stare nowe pytania.

Nie udawać, nie grać, nie robić min, nie maskować się i nie przebierać – taka jest lekcja.

Czy nie jestem tylko robotnikiem w winnicy?

Czekałem, długo czekałem i wiem, że to nie może być pisanie prowizoryczne, że to musi być jego przeciwieństwo.

Być jasnym na tyle, na ile potrafię, a przynajmniej starać się nie być niejasnym, niezrozumiałym, zawiłym, zagmatwanym, mętnym, nie wiadomo jakim.

Ruch w ruinach. Cele zakonników w północno-zachodnim skrzydle.

Komnata komtura. Skrawek starego zniszczonego muru, chmury nad głową, w rogu kamień, na którym można siedzieć.

Kamień, który mógłby być głowicą węgła.

Wieża ostatniej obrony, szczątki.

Czy nie wystarczy dziesięć strun i pudło ze skorupy żółwia?

Tego, co ważne nie mówi się tylko od siebie i nie samemu dokonuje się ważnych odkryć.

Jak pojedyncze zdarzenie czy słowo może odmienić bieg wypadków.

Co robić, kiedy jedno przeszkadza drugiemu?

Mówią i zachowują się tak, jakby wstydu nie mieli. Marne, pożałowania godne towarzystwo.

Pysznią się, kłamią i sieją zamęt w duszach.

Jak do Gehziego przyłgnął do nich trąd, ale oni tego nie widzą i nie wiedzą o tym. Są biali jak śnieg, tak są naznaczeni.

Czy ich ołtarze służą jedynie do grzechu?

Dobrze zrobicie, jeśli tego nie zrobicie, myślę, gdy patrzę na nich.

Nieszczęśni, trwają w swoich owocach.

Rozległe pola, piękne ogrody i urodzajne plony.

Pani Wiesława, żona Poety mówi: Pan Tadeusz to był bardzo porządny i dobry człowiek. Wierzył w Jezusa. Na stoliku zawsze miał cztery ewangelie, a jak gdzieś wyjeżdżał, to jedną zabierał ze sobą. Mówił, że Chrystus mówił prosto i zrozumiale, a teologowie to komplikują i wykrzywiają.

Tak jak w dziecięcych snach wzlecieć do nieba, do chmur i wyżej, ponad niebiosą.

Mury, wieże, krzyże i szpice w ruchu, widziane z mostu.

Na początku maja opuścił mnie K. On już wcześniej mnie opuścił, dwa lub trzy lata temu pożegnał się i odszedł i od tej pory jedynym kontaktem między nami były kartki, które przysyłał na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. Tym razem to było ostatni raz. Poinformowano mnie, że nie żyje. Umarł nagle. Coś w nim pękło. Wstał i przewrócił się, i już go nie odratowano. Modłę się za niego. Żałuję, że tak to się skończyło. Czy jeszcze się spotkamy?

Co jest lepsze – litość czy współczucie?

W prozie potrzebna jest dyscyplina, trzymanie wszystkiego w ryzach. Albo jest rygor i konieczność albo banialuki, koszałki opałki, plecenie bez sensu.

Zachcianki, kaprysy i niestety uleganie im.

Czy lepiej jest gdy ktoś, kogo się kocha i przez kogo jest się kochanym, jest obok, obecny fizycznie, czy jednak lepiej jest, gdy go obok nie ma, gdy fizycznie jest nieobecny?

Z przypisów Cyłkowa do Księgi Genetis: Iran – kolebka rodu ludzkiego; Mezopotamia – ojczyzna Abrahama; Babilon – dwanaście mil na południe od Bagdadu.

Czy światło, które jest we mnie, może stać się ciemnością? Trzeba zdawać z tego sprawę.

Życie na pustkowiu, życie w pustce. Czy to jest dobre życie, czy złe?

W Pieśni dwudziestej *Boskiej Komedii*, w Piekło: „z wykręconą w tył głową muszą cały czas chodzić tyłem (w przeciwna stronę)”.

Z M. K. szybkie wejście na wieżę katedry. Widok na cztery strony świata.

Nacht-Samborski: kolory i konstrukcje. To, co zewnętrzne i to, co wewnętrzne. Gęste, płynne, skupione w jednym punkcie i rozprzestrzenione, jakby nie miało granic. Nastroje i to, co je łączy. Skupienie, uwaga na tego, który patrzy.

Bliskość, obcość, relacje ja i ty. Szafiry, błękity, zielenie, granaty i ugry. Niebieskie i szare świetliste cząstki. To, co zmysłowe i to, co duchowe mocno ze sobą związane. Martwe natury, materia i duch. Plamki, kropki, linie, zarysy, kontury, stałe elementy. Cienie, ciągi i pasma. Jakby rysunki dziecka, ale wykonane ze świadomością dojrzałego artysty. Jedno i drugie, forma.

Ruch, zastój i znowu ruch, tak w kółko.

Proch ziemi i duch życia, razem ze sobą.

Z Księgi Amosa, fragment z czwartej wizji: „Oto nadejdą dni, mówi Pan Bóg, że ześlę głód na ziemię, nie głód chleba ani pragnienie wody, lecz głód słuchania słów Pana. Wtedy błąkać się będą od morza do morza, z północy na wschód będą krążyli, by znaleźć słowo Pana, lecz go nie znajdą.” U Cyłkowa jest dramatyczniej: „Oto dni nadchodzą, rzecze Pan Wiekuisty...”, a zamiast „błąkać się” jest „tułać”.

Radość, gdy z obrębu murów wychodzę na nadbrzeże i idę w stronę rzeki. I radość gdy z nadbrzeża wchodzę z powrotem w obręb murów.

Na ławce, nad rzeką mężczyzna i kobieta. Jaka jest ich historia?

Osty, ciernie i troski. Wygnanie i oddalanie się. Trudy i męka.

Wracając znad rzeki przechodzę nad Doliną Marzeń, a potem przez cmentarz idę do domu.

Mozoły Mohla.

Śmiało idzie naprzód posuwa się do przodu, ale raz po raz staje i cofa się kilka kroków, niewiele, ale jednak i znowu rusza przed siebie prze do przodu i znowu staje, cofa się i rusza naprzód dalej posuwa się do przodu i staje i cofa się, oczywiście tak, żeby za wiele nie stracić i wydaje się, że gdy zatrzymuje się i potem cofa, to jakby tylko po to, żeby potem z nowym impetem ruszyć do przodu i iść do przodu przed siebie dalej i dalej wiedząc, a może nie wiedząc, dokąd idzie i po co.

Nad rzeką różnobarwny łuk na obłokach rozciągnięty od murów i wież do szczytów drzew na drugim brzegu.

Za ciemnymi i czarnymi chmurami błyski światła.

Ruiny, luki i szczeliny, wśród nich.

Gruzy z kamieni i z palonej cegły. Wyszczerbione resztki z pustymi otworami. Ślady dawnej świetności.

Czy można powiedzieć, że Thorn jest tarczą Mohla?

Jeden poszedł na lewo, drugi na prawo. Czy jeszcze zejdą się kiedyś?

Koniec to będzie nagroda za posłuszeństwo.

Nie ma rzeczy niemożliwych.

Na przemian walka z demonami i działanie łaski.

Kto nie doświadczył zła? Kto nie poznał jego mocy? Ale, czy miał świadomość, z kim wszedł w szranki?

Ojcowie Kościoła mówią, że kto nie doświadcza działania diabła, nie ma życia duchowego.

Wrogość wobec sacrum to znak, że mamy do czynienia z demonem. Kierkegaard mówi o demonicznej jaźni.

Walka z dążeniami ducha i ciała rozgrywa się od początku i trwać będzie do końca, bo człowiek jest istotą dwoistą, jednocześnie duchem i ciałem.

Istnienie demonów wynika z Objawienia i jest prawdą wiary. Apokalipsa mówi, że są ich miriady miriad i tysiące tysięcy. Miriada, termin grecki, oznacza dziesięć tysięcy, a także mnóstwo. W Nowym Testamencie mówi się o nich około trzysta razy.

Diabeł jest nieprzyjacielem: tam, gdzie jest zło, które dotyka człowieka, tam on jest. Uwagę zwraca siła tych, którzy z nim współdziałają i słabość tych, którzy nie zdają sobie sprawy z jego działania. Jest to siła pozorna i słabość rzeczywista.

W Polsce w XX wieku najważniejsze teksty o nim napisali – Czesław Miłosz, Jan Paweł II i Leszek Kołakowski.

Jego imiona to: szatan, zły duch, Lucyfer, Abbadon, Asmodeusz, Exterminans, demon, przeciwnik, Oskarżyciel, Oszczerca, Zły, Belzebub, Belial (Bestia), Książę demonów, Książę tego świata, Wąż, Smok, Kusiciel, Kłamca. Święty Paweł nazywa go bogiem tego świata. Ma jeszcze setki i tysiące innych imion.

Święty Piotr mówi o nim: „Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając kogo pożreć”.

W *Moim wieku* Wat przypominając wypowiedź świętego Augustyna o czasie mówi, że jest to cios w sokratyzm, podważenie tej filozofii i zniszczenie całej greckiej myśli u samej jej podstawy. I stwierdza, że słowa Augustyna można zastosować nie tylko w odniesieniu do czasu, ale także do miłości, do Boga i do poezji. „Bardzo ważne. Zmienia całkowicie orientację umysłu.” – dodaje.

W jednej z pierwszych kwestii *Którzy upadają* Pani Rooney mówi do woźnicy Christy'ego, który przy niej zatrzymał swój wóz: „Czemu się pan zatrzymał?” i po chwili zdziwiona: „Czemu ja się zatrzymałam?”. A pod koniec pyta swojego ślepego męża: „Czemu się zatrzymałeś? Chcesz coś powiedzieć?”. Gdy on odpowiada: „Nie.”, powtarza: „Więc czemu się zatrzymałeś?”. „Tak mi lżej” – słyszy w odpowiedzi. I to jej wystarcza.

LESZEK SZARUGA

Jazda (31)

82.

Warto z uwagą przeczytać wydaną właśnie książkę Piotra Mitznera *Warszawski Domek w Kołomnie* (Biblioteka „Więzi”, Wydawnictwo UKSW, Warszawa 2014). Podtytuł: *Rekonstrukcja* – autor z niesłychanie rozproszonych dokumentów (listów, gazetowych sprawozdań, wspomnień) stara się odtworzyć jedno z bardziej interesujących centrów rosyjskiej emigracji okresu międzywojennego, jakie stanowiło „kółko” (czy „salon”) stworzone w Warszawie przez Dymitra Fiłożofowa. Bywał tam m.in. Jerzy Giedroyc, o czym mówi w swej *Biografii na cztery ręce*: „W kołach emigracji rosyjskiej kontakty osobiste miałem głównie z Fiłożofowem, który wydawał pismo »Za swobodu«. Był to człowiek bardzo ciekawy, o szerokich zainteresowaniach literackich i kulturalnych; »Za swobodu« drukowała różnych głośnych pisarzy, którzy dzisiaj są całkiem zapomniani, jak np. Arcybaszew”. W tym kręgu poznał Redaktor m.in. Józefa Czapskiego, z którym po latach połączyła go praca w prasie II Korpusu, później zaś w „Kulturze”.

Postawę Fiłożofowa najlepiej chyba charakteryzują słowa z listu do Czapskiego, w którym autor wyjaśniał adresatowi, dlaczego, mimo polemicznego stosunku do referatu Jerzego Stempowskiego o literaturze w czasie wielkiej przemiany, wyrażał się o nim pozytywnie: „Pisałem Ci, że odczyt Stempowskiego był bardzo ciekawy. Zdziwiony pytasz mnie, jak to się stało, że przyznałem rację Jerzykowi! A przecież s e t k i razy mówiłem Ci, że musisz cenić i to, co Ci obce. Pamiętasz, jak Ci mówiłem, co zakreślałem w książkach? To, co charakteryzuje autora, a Ty tylko to, co odpowiada Twoim przeżyciom”. Te słowa można by uznać za motto *Domku w Kołomnie*: stanowią one bowiem fundament postawy dialogowej, otwartej, nastawionej na rozumienie drugiej osoby – co, oczywiście, nie oznacza, że się jej poglądy podziela i że nie należy z nimi polemizować. Wszakże podstawą polemiki musi być właśnie rozumienie, a to często, wobec emocji, jakim ulegamy, wymaga specyficznego wysiłku i koncentracji, nieustannej czujności i powściągliwości, unikania powierzchowności.

Bez wątplenia był też Fiłożofow reprezentantem „innej Rosji” – tej znanej z działalności Aleksandra Hercena. To Rosja, której najbardziej interesującym wcieleniem zdaje się być z dzisiejszej perspektywy obudzony na przełomie

XIX i XX wieku ruch umysłowy, który z jednej strony wyraził się w zapomnianej już dziś rewolucji 1905 roku, z drugiej zaś w literaturze „srebrnego wieku” – zarówno w pisarstwie akmeistów (Mandelsztama, Achmatowej, Gumilowa), jak w eksplozji awangardy (Kruczonych, Malewicz, Chlebnikow). Nie przypadkiem w 1913 roku pisał Chlebnikow we fragmencie zatytułowanym *O rozszerzeniu granic literatury rosyjskiej* (przekład Adama Pomorskiego): „Literatura rosyjska na ogół cieszy się mianem »bogatej rosyjskiej«. Uważniejsze jednak badanie odsłania bogactwo talentów przy pewnej ciasności jej zarysów i granic. Można więc wymienić obszary, którymi zajmowała się mało lub wcale. W niewielkim stopniu interesowała się Polską. Ani razu nie zajrzała za granice Austrii. (...) Mózg ziemi nie może być wielkoruski. Lepiej, żeby stał się kontynentalny”.

Ten rozmach i zamach na ciasno pojmowaną i promującą „dumę narodową Wielkorusów” można odnaleźć i dziś, u późnych wnuków Chlebnikowa. Niewątpliwie ten rozmach – połączony ze skupieniem i otwarciem na innych – odnaleźć można w działalności „domku w Kołomnie” (nawiasem mówiąc przydałoby się jakieś upamiętnienie w przestrzeni architektonicznej Warszawy śladu po tej inicjatywie tak, jak upamiętniono pamięć Mandelsztama nazywając jego imieniem maleńką uliczkę na terenie Uniwersytetu Warszawskiego). I miał zapewne rację Giedroyc, gdy w liście do Stempowskiego zauważał, że obecnie wśród inteligencji rosyjskiej „jest więcej Filozofowych niż za naszych czasów”. Na tych więc ludzi – i słusznie – kieruje uwagę książka Mitznera. I warto, myślę, ku nim się zwracać.

83.

Interior – przestrzeń w głębi lądu, bez dostępu do morza, słabo zaludniona, nieuprzemysłowiona, *ubi leones*. Wyprawy w głąb interioru są tyleż niebezpieczne, co interesujące, niosące smak przygody, otwierające nowe przestrzenie i nieoczekiwane perspektywy. W taką właśnie przestrzeń wprowadza książka Joanny Roszak *Interior. Szkice* (Wydawnictwo pasaże, Kraków 2013). Rzecz o tyle ważna, że stara się wprowadzić czytelnika w świat sztuki i literatury „egzotycznej”, rozwijającej się z dala od „głównego nurtu”, poza światłami reflektorów krytycznoliterackich, które w centrum uwagi starają się umieścić raczej to, co reprezentuje „styl wysoki” niż to, co określane bywa jako „eksperyment” – ostatnio batalię przeciw temu nurtowi prowadzi w artykułach publikowanych na łamach „Gazety Wyborczej” Andrzej Franaszek, który biada nad dehumanizacją

zacją liryki objawiającą się w zwrotach ku językowym grom i zabawom. Pisać należy nie o języku, lecz – podkreśla autor – o człowieku. Trudno by pewnie było mu wytłumaczyć, że pisanie o języku jest właśnie pisanem o człowieku. Język w końcu jest ludzkim sposobem istnienia. Język tworzy przestrzeń wspólnoty. Język zatem jest niesłychanie ważny, może ważniejszy niż inne elementy krajobrazu, w którym żyjemy. Także o sposobach istnienia języka w literaturze, jak choćby ten, opisany w książce Urszuli Pawlickiej (*(Polska) poezja cybernetyczna*, Kraków 2012) – nie sądzę, by takich smakoszy słowa, jak Franaszek, „coś takiego” jak „poezja cybernetyczna” w ogóle mogło zainteresować. A szkoda.

A właśnie język i sposoby jego użycia są przedmiotem szkiców i rozpoznań składających się na książkę napisaną przez Roszak. Przy czym w trakcie lektury moją uwagę przyciągnęły szczególnie te eseje, które poświęciła autorka poezji konkretnej i okolicom (te okolice zresztą są dość rozległe). Ta poezja w sposób oczywisty wyrasta z filozoficznego namysłu nad istotą języka i granic wypowiedzenia (tu patronuje jej przede wszystkim Wittgenstein, choć nie ma powodów, by nie odnaleźć dalekiego pokrewieństwa z Nietzschem) – aż po rozbudowującą się na naszych oczach filozofię dialogu. Oczywiście – skrót, jakim operuje, może przerażać wieloznacznością (dość wskazać, jak wiele znaczeń wyczytał Barańczak z napisu „ON JEST” w szkicu *Tablica z Maccondo*) i tym samym „zwinieniem” linearnego toku lektury (tu interesującym punktem odniesienia byłyby rozważania o zredukowaniu utworu do jednego słowa w zapisach Chlebnikowa).

Zawsze się zastanawiałem nad fenomenem, jakim jest zanotowany przez Janusza Różewicza w jego partyzanckim notatniku dziki zachwyty nad dadaizmem (dada jest w końcu z tej samej rodziny poszukiwań): w środku wojny, na biwaku, w pełni konspiracyjnego poety, który raczej nie eksperymentował, przeczuwa, że ma do czynienia z ważnym zjawiskiem. I zawsze mnie pociągały wersy młodego Słowackiego:

Bo mnie matka moja miła
Na słowika urodziła,
A ja, wzięwszy taki głos,
Ze słowika jestem kos.
Ale to wszystko nonsensa,
Te moje wierszyki nowe,
W których się język wałęsa
I bawi zęby trzonowe.

I dlatego podoba mi się dedykacja, jaką Janusz Różewicz opatrzył podarowany w 1941 roku Tadeuszowi tom wierszy Staffa, w której to dedykacji można przeczytać: „Staffowi brakło młodzieńczej »nierozwagi« Słowackiego, Schillera, Rimbauda”...

Co to wszystko ma wspólnego z książką Roszak? Bardzo dużo, zwłaszcza w kontekście wypowiedzi tych krytyków, którzy domagają się „stylu wysokiego”, powagi i skupienia na sprawach najważniejszych. Poezja, którą promuje Roszak nie skupia się bowiem tylko na sprawach najważniejszych – w niej chodzi o Wszystko, jest zamachem na Całość. Na tym polega jej „nierozwaga” (koniecznie w cudzysłowie), o którą upomina się starszy brat Tadeusza Różewicza. Taką „nierozwagę” promuje w swych esejach poznańska autorka, co wyraża dobitnie omawiając tom Krystyny Miłobędzkiej *wszystkowiersze*: „Miłobędzka we *wszystkowierszach* usiłuje pozostać na etapie gaworzenia i listka, przejęzicza, potyka (wiersz o gramatykę). Jak dziewczynka poetka wykrzykuje »hop hop / hej hej / to ja« (...). Z bardzo podmiotowego utworu wyłania się głos dorosłej dziewczynki. Także sam wiersz głośno manifestuje swoje jestestwo”. Właśnie, jakby powiedzieć: „A ja wziąłem taki głos / Ze słowika jestem kos”.

84.

Zbiór szkiców i wywiadów Barbary Toruńczyk zatytułowany *Nitka Ariadny* (Zeszyty Literackie, Warszawa 2014) należy do tych książek, które określam mianem narracji tożsamościowej. Obok szkiców, które – jak te poświęcone Herbertowi i Miłoszowi – ukazują dzieła i osobowości fascynujące autorkę i kształtujące jej sposób widzenia i rozumienia świata oraz sztuki, dwa teksty w szczególności zwróciły tu moją uwagę. Pierwszy to *Biografia pokolenia 68* – dość rzetelny opis drogi życiowej nie całej co prawda generacji, lecz pewnej (dość mi bliskiej) formacji pokoleniowej wyrastającej w kręgu oddziaływania marksistowskich „rewizjonistów” tworzących tzw. warszawską szkołę historyków idei (m.in. Leszek Kołakowski) oraz takich osobowości jak Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, formacji, dla której istotnym punktem odniesienia stała się legenda polskiego Października 1956 roku, później zaś doświadczenie Marca 1968 i powstawania zrębów opozycji demokratycznej, z Komitetem Obrony Robotników z jednej strony, z drugiej zaś z ruchem poetyckim Nowej Fali (dwóm poetom tego kręgu, Barańczakowi i Zagajewskiemu poświęca Toruńczyk osobne teksty) oraz niezależnym ruchem wydawniczym (autorka była współtwórczynią pierwszego literackiego pisma „drugiego obiegu”, jakim był „Zapis”, co bez wątpienia było dla

niej, jako przyszłej twórczyni i redaktorki założonych na emigracji w Paryżu „Zeszytów Literackich” doświadczeniem niesłuchanie ważnym). Oczywiście – trudno tu mówić o całym pokoleniu '68, do którego wszak należeli też nawiązujący do tradycji konserwatywnej Marcin Król i Wojciech Karpiński – z tym ostatnim spotkali się w redakcji „Zeszytów Literackich”.

Książkę czytałem z uwagą i nie bez momentów nie tyle może sprzeciwu, ile gotowości do polemiki czy tylko dyskusji, na którą brak tu miejsca. Wynotowuję jedynie fragment dla mnie osobiście niezwykle ważny z wywiadu, jakiego udzieliła Agnieszce Kołodyńskiej po wydaniu książki *Rozmowy w Maisons-Laffitte, 1981* stanowiącej zapis jej rozmów z Jerzym Giedroycem. Wywiad zatytułowany został *Jerzy Giedroyc – nauczyciel wolności*: „Dzisiaj młodzi nie wiedzą, co Giedroyc robił, co myślał, dlaczego uważa się, że »wielkim był«. A był to człowiek wybitny i wyjątkowy, jego dzieło jest jedyne w historii światowego czasopiśmiennictwa i wydawało mi się, że jest odpowiednim wzorem również dla dzisiejszych polityków, redaktorów, intelektualistów i każdego, kto chce uszlachetnić swój »gen wolności«, jak nazywał ten instynkt właściwy ludziom niezależnym, dumnym, niekonformistycznym Josif Brodski. Takich wzorów bardzo dzisiaj brakuje”.

Od śmierci Giedroycia mija obecnie lat czternaście.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (36) Bez tytułu i daty (xxx)

– Takie buty – Babcia tą formułą wieńczyła temat wyczerpany w rozmowie lub jeszcze się tłący. Marysia w roli przerywnika rozmowy wtrąca: – I tak to jest.

Różia. A właściwie Halina. Przekupka na zielonym rynku na Starym Mieście w Zamościu. Handlowała nabiałem. Śmietaną, ser, jajka przywoziły jej gospodynie z podzamojskich wsi. Stała przy zadaszonym straganie od strony ogrodzenia przy ulicy Bazyliańskiej. Różia, jak sprzedawczyni błyskotek Malinowska, była od moich najmłodszych lat. Halinę nazywano Rózią, bo tak zostało po jej matce, również handlarce nabiałem. Babcia nieraz wspominała, że w latach okupa-

cji – a może i w okresie powojennym – prababcia Jaworska woziła z Kornelówki na sprzedaż nabiał do Rózi. Matka i córka, obydwie Rózie. „Moja” Rózia była niska, zażywna, rumiana, czysta i uprzejma. „Lepsze” zamościanki kupowały nabiał u niej. Kilka razy zdarzyło mi się na prośbę Babci zawieźć do Rózi śmietanę. Z kanki lub słoika przelewała ją do wiadra z chochlą. Nie wiem jak się nazywała, gdzie mieszkała i kiedy umarła. Marysia też nie wie.

Drogi na północnej stronie gospodarstwa Technikum Rolniczego, za garażem na maszyny i tzw. ujeżdżalnią, w której, już jako w sali gimnastycznej, odbywały się lekcje wuef-u, zwykle były rozmiękłe i błotniste. Prowadziły na pole, gdzie rosło zboże i buraki cukrowe, i dalej aż na sąsiadujące z Karolówką łąki. Na tych łąkach w czasie którychś wakacyjnych praktyk z kolegami z klasy ręcznie grabiłem i składałem siano.

„Rabbi z Góry Kalwarii powiedział pewnego razu: »Czemu człowiek lęka się śmierci? Idzie przecież do Ojca! Człowiek lęka się owej chwili, gdy już z tamtej strony zobaczy to wszystko, co się tu z nim dzieło«” – Icchak Meir z Góry Kalwarii w *Opowieściach chasydów* Martina Bubera w tłumaczeniu Pawła Hertza.

Strzała Zenona z Elei doleciała, a przecież wciąż leci, a nawet pozostaje w spoczynku. Siłą faktów dokonanych oderwałem się od swojej dawności, od Czołek z krowami Rabą i Czarną, od ulicy Listopadowej, Spadku, od szkoły na Lwowskiej, browaru, Łabuńki, od gołębi i tego wszystkiego, co wypełniało moje ówczesne życie. Nić, która mnie z nim utrzymuje, słabnie, ale nie osłabła do reszty, jest wątła, wymyka mi się, coraz mniej mogę jej ufać. Dopóki jednak strzała leci i nić się nie zerwała...

Okruchy przeszłości – świadkowie i towarzysze mojego życia – studnia z korbą w Czołkach, dzika grusza na miedzy dzielącej pole sióstr i brata Dziadka (Reginy, Mietki, Helki, Adama) i pole Baranów, olejarnia i drewniany trzepak na podwórku na Listopadowej, są bezradne, opuszczone i zasługują na współczucie nie mniejsze niż zdjęta z haczyka i położona na piasku żywa jeszcze ryba.

Sacówka – tak Babcia mówiła na soczewicę. Miałem kilka lat, gdy piekła w dochówce – tak z kolei mówiliśmy na piekarnik – pierogi z sacówką. Soczewica była rośliną trudno wtedy dostępną. Babcia dostawała nieduże jej ilości od znajomych, Marysia mówi, że z Kornelówki.

Monotonię dnia codziennego w Czołkach w latach Gomułki i Gierka urozmaicały niezapowiedziane odwiedziny świadków Jehowy. Odwiedziny sporadyczne. Świadkowie przychodzili we dwie lub trzy osoby, aby „porozmawiać o Bogu”. Mieszkańcy Czołek dobrze wiedzieli, kto przychodzi, aby rozmawiać o Bogu. Rozmowy zatem nie było, tylko mniej lub bardziej stanowcze wypraszanie niechcianych gości.

Drzwi do pokoiku pozostawały zwykle otwarte. Z kuchni można było spoglądać przez okno, które wychodziło na północną stronę domu: ogródek z piwoniami, floksami, narcyzami i łubinami, i drogę. Nasłuchiwalismy i wypatrywalismy, żeby nie przegapić przejazdu pekaesu w stronę Sitna – autobus przez Sitno jechał do Horyszowa, Cześnik, Miączyna... Skoro autobus pojechał, to można było być pewnym, że będzie wracał. Przeważnie była to popołudniowa lub wieczorna pora. Autobusem wracała do Zamościa Mama, czasami Mama z Marysią, rzadziej ja. Teraz należało się zbierać i o odpowiedniej porze wyjść z domu na przystanek naprzeciwko gospodarstwa Janeczki i Stasia Sokołowskich. Odległość do przystanku była nieduża, mogła liczyć około czterysta metrów. Babcia ponaglała („lepiej dziesięć minut poczekać, niż minutę się spóźnić”), ja trochę z przekory, a trochę z poczucia realizmu opóźniałem wyjście. Mama wychodziła „z zapasem”, bo nie zdołałaby dobiegnąć, a wolała nie ryzykować zatrzymywania pekaesu, który już przystanek minął, a kierowca musiałby zadać sobie trud zatrzymania się specjalnie dla niej, spóźnialskiej.

Do większości sąsiadów oraz bliższych i dalszych znajomych Babcia zwracała się per „pan”, „pani”. Swobodniejszy był Dziadek i on częściej zwracał się do nich po imieniu, co mogło sprawiać wrażenie poufałości czy zażyłości. – Pani – mówiła Babcia do Bilowej, Chwiejczakowej czy Harczukowej, i był to odpowiednik „proszę pani”. Wiele lat mieszkały w bliskim sąsiedztwie i przez tak długi czas nie przeszły na „ty”. To mi do tej pory daje do myślenia. Inaczej było z młodszą od Babci Stachą Kardaszową. Babcia zwracała się do niej – Staszka. – A Stacha odpowiadała wymijająco – tak, aby nie zwrócić się do Babci po imieniu ani per „pani”. Ale do dzieci sąsiadów i znajomych, już dorosłych, często rówieśników Mamy, Lutka i Marysi, Babcia zwracała się po imieniu. Osobne miejsce zajmowali ci, z którymi rozmawiała posługując się formą „wy”. Zależności i hierarchie były nieco skomplikowane, nieskodyfikowane i całkowicie naturalne.

W latach mojego dzieciństwa, gdy komunikacja publiczna w Czołkach nie istniała, a najbliższy przystanek jeżdżącego rzadko pekaesu znajdował się w odległości 2,5 km w Sitnie, bardzo utrudnione były spotkania mieszkających w sąsiednich wioskach, a nawet w samych Czołkach, ludzi starszych, coraz mniej sprawnych, a spragnionych kontaktu, zobaczenia się, rozmowy. Zatem chodzili, nawet daleko. Jedynym udogodnieniem pieszego pokonywania drogi bywała przygodna furmanka. Gdy więc ktoś dawno widziany przyszedł, to „siedział” kilka godzin, bo tematom nie było końca, a gość zawłaszczał, takie miał bowiem prawo, sprawy gospodarskie, które musiały poczekać. Jeśli mógł się ktoś na zapas najeść, to mógł się i na zapas narozmawiać. – Niech pani przyjdzie jeszcze – mówiła Babcia na odchodne rzadko widywanej znajomej – to się narozmawiamy. – Narozmawiamy się, nacieszymy się sobą, przeżyjemy to jeszcze raz.

Janusz Drzewucki napisał mi, że w niedzielę 22 czerwca zatrzymał się w Zamościu, a gdy około godziny 20.30 stanął na Rynku Wielkim „miał poczucie, że jest w środku świata”. Mój środek świata ma dwa nieodległe od siebie punkty: właśnie Rynek Wielki i Nowe Miasto, kiedyś wschodnie przedmieście Zamościa. Czołki mają status odrębny, umacniają się jako busola.

Elizjum

Rzecz dzieje się w Elizjum. Napisawszy to zdanie, mógłbym uznać, że wystarczy, by opisać najnowszy tom poezji Janusza Szubera. Mógłbym, gdybym był pewny, że to moje oznajmienie zostanie odczytane w całym blasku sensów. Ale pewności nie mam. Więc gadam dalej.

Elizjum może się wydać snem i sen bywa nierzadko Elizjum. Ponieważ czytanie jest relacją intymną, pozwalam sobie na coś, co tylko w intymności może być tak radykalnie ujęte: mówienie Szubera w tym tomie niemalże znosi różnicę Elizjum i snu. Nie wiem, czy tylko dlatego, że chcę, żeby była zniesiona, czy to Szuberowe mówienie znosi ją niezależnie od mojego chcenia. A moje chcenie nie jest uzurpacją. Jest czytelniczym oddaniem się błogosławieństwu poezji.

Egzaltowany ton niniejszych wyznań może mylić. Nie dopuszczam do ukontentowania wrażeniowym efektem lirycznym. I poezja Janusza Szubera jest od takich efektów jak najdalsza.

Moje emocjonalne rozwibrowanie wynika z doznania żywiołowej zmysłowości mowy poetyckiej będącej zarazem i snem i Elizjum. Miejscem i czasem, w których nieograniczoności dzieją się, stają się rzeczy i sprawy obrzeżone wyraźnymi konturami konkretnego teraz i tu. Po wszedniego i natychmiast świątecznego.

Nie będę udawał, że czytałem (czytam) tę książkę, uwolniony od własnych uzależnień. Znajduję więc w niej i to, co chcę w niej znaleźć i to, co sobie mnie znalazło, żeby było znalezione. Jak te skarby w zaszewkach mówienia: „lamowany amarantem kajet”, „pelikan na tłoczek”, „boratynki”, „żemperek w kostkę”, „warkot kukuruźnika”, „rączka na pompkę”, „szara furazerka”...

W takich swoistościach utajone są prześwity rozległych miejsc i czasów nieśmiertelności zawsze jedynych osób i tego, co ich otaczało, łąsiło się do nich, wabiło, drażniło, zachwycało, zabijało. Sam przemykam się nieraz przez takie prześwity zapamiętanych powiedzonek, biegnąc „na jednej nodze, ankarierem”, czy wybierając się „do Kłaja na borówki”, bądź słysząc ironiczną dezaprobatę: „po cudach nie trzeba chodzić!”.

Jakże istotnie ważną stała się decyzja rabina Sachy Pecarica i Ewy Gordon, żeby – mocno już utrwalony w pamięci – *passus*: „stał się człowiek istotą żywą” (albo: „żyjącą”, czy jeszcze piękniej – jak w Biblii Gdańskiej: „duszą żywiącą”) oddać w nowym tłumaczeniu Bereszit: „I człowiek stał się mówiącą istotą”. Bowiem Bóg „tchnął w jego nozdrza duszę życia”. Nie muszę dodawać, że czytam to, pojmując „duszę życia” jako synonim mowy i nawet to tchnienie w nozdrza łączę z pierwszymi nosowymi głóskami słowa *mama*, czy (na pół żartobliwie ciągnąc ten wywód) hebrajskiego *mem*, które jest jednym z budulców ziemi i wody przyporządkowane brzuchowi. (Jasne, że konotacji jest więcej). Co ta dygresja ma do poezji Janusza Szubera? Jego wiersze są dla mnie uwidocznieniem (słyszeniem) „duszy życia”.

Gdybym miał wybrać jeden z całej książki organicznie skomponowanej, jeden, w którym ta kompozycja odbija się z brawurą wyrazistością, byłby to *Ktoś do kogoś, jakby sam do siebie*, wiersz wielkanocny, w którym wielobarwne pasma i smugi różnych poziomów i warstw rzeczywistości momentalnej nakładają się na siebie i przenikają w jednym toku mówienia. Jak w objawieniu, kiedy widzi się całą wielorakość i złożoność zdarzeń, faktów i znaczeń – od razu. Już w pierwszej zwrotce takie

epifanie nieoczywistej zwyczajności. No tak, chciałem zacytować tylko tę zwrotkę, ale nie potrafię oprzeć się pokusie podania całego wiersza:

Kiepa butem rozdeptuje ochroniarz.
Ty z towarem. Wykrakane kry
styropianu. Tere-fere kuku.
Zamiast baby strzela z łuku Eleata.

Baba na dwa krzesła rozroźnięta:
w baranicy z lukru drożdżowe
kilimandżaro kalorii. I pół tuzina
jeży z rzeżuchy chlorofilem na sztorc.

Ktoś do kogoś jakby sam do siebie:
„Moc nieprzyjaciela jął, a moc
jego odjął. Zwyciężył jest mocny Pan.
Wstał jest Chrystus z martwych, Król”.

Na parkingu przed carrefourem łabędzie
stroszą pióra. Jak krzepnący tłuszcz
jednolite, bez nazw własnych, chmury.
Koło młyńskie. Jaworowi ludzie.

Kończące wiersz odwołania do dziecięcych zabaw jawią się nagłe w tonacji eschatologicznej nie tracąc wigoru i humoru właściwego tym pierwszym misteriom, jakim bezwiednie oddajemy się w dzieciństwie, nieświadomi inicjacji w Ukryte. Także i w to najbliższe, ukryte w szufladzie matki. I choć jest to tylko książka z rysunkami Mai Berezowskiej ukazującymi „wzajemne szczodrości obydwu płci”, ma moc księgi wtajemniczającej w dorosłość, pasującej na dorosłość. Znam smak tego tajemnego doświadczenia, bo – choć starszy od Janusza Szubera – pewnie jakie cztery lata wcześniej odkryłem podobną tajemnicę szuflady. Był to *Dekameron*

przez Maję Berezowską ilustrowany obrazkami stylizowanymi na epokę Boccaccia. Scenki były śmiało i trochę zdumiewające ówczesnego chłopczyka, którym byłem, ale nie oburzały mnie, ani nie „gorszyły”. Przeciwnie – podobały mi się. I podobało mi się, że mi się podobały, bo czułem, że patrzę na nie inaczej niż „powinno” patrzeć dziecko.

Epistemologia dzieciństwa ma w tomiku Szubera znaczenie przekraczające granice przypisywane tej epoce w byciu człowiekiem. Rewelacje tego czasu zwykło się traktować z dystansem właściwym wiedzy „dojrzałej”, gdy epifanie będące udziałem dziecka mają zarówno intensywność jak i siłę sprawczą nie mniejsze niż te, których zdarzyło się doświadczyć mistykom czy filozofom. Dziecko nie ma jeszcze na to języka. Języka dorosłych. Bo swój (lepszy!) ma, choć ta majątność bywa najczęściej poza jego wiedzą.

Z takiego zasobu epifanicznej pamięci biorą się wiersze Janusza Szubera. Niedysiejszy półtoraroczny berbec na podrygującym kolanie dziadka, teraz galopuje na kupletach podśpiewywanych pod tamtą wylicznkę („Jedzie Sobiepan”), albo bajecznie przeraża piosenką „Kat przyjechał w czerwieni, krakowianka w zieleni”. Wysmukły młodzieniec o ciemnych bujnych włosach bytuje we śnie jako tożsamość – mokre-

go ze wstydu i strachu – około pół wieku starszego siebie, wyszydzonego przez pełną jadu i agresji kobietę, która na jawie jest swoim męskim przeciwieństwem. To, co śnione i to, co zjawione (ujrzane „tym razem wyraźniej”) ma w rzeczy samej (w rzeczy poetyckiej) ten sam status. Wiersz *Mów, co ci ślina na język przyniesie* opowiada o czymś, co zdarzyło się na jawie, ale to w swojej konkretności jest tak oniryczne jak śnione szczególnie jawiące się (!) z precyzyjną dokładnością (wyraźnie).

Doznanie takiej senno-jawnej równoczesności (czy – wieloczasu) w wymiernej a zarazem nieograniczonej przestrzeni wynika z intensywności lirycznej gramatyki Janusza Szubera. I nie chodzi tutaj o uzyskanie wrażenia snu na jawie, czy mówienia przez sen. Istota rzeczy jest gdzie indziej. G d z i e indziej? W Elizjum właśnie. Inaczej mówiąc: chodzi o stan e l i z j u m, o uchwycenie bycia zarazem t a m i t u, w t e d y i t e r a z – w tym samym strumieniu zdarzeń, w tej samej – by powiedzieć za Leśmianem – dziejbie.

Bo taki naprawdę jest nasz ziemski „przebyt”. Ujrzany „tym razem wyraźniej”.

Stan e l i z j u m (jak pozwalam go sobie tutaj nazywać – nie metaforycznie) jest właściwy teatrowi. Jest zawsze możliwy w przedstawieniu teatralnym, które odbywając się

w czasie tym tutaj i w przestrzeni tej teraz, ukazuje, co się stało (ale przecież się staje, się dzieje) „onego” czasu w „onej” przestrzeni (ale przecież tutaj).

Znamienne, że książkę otwiera wiersz, w którym widzimy poetę jako kilkuletniego chłopca będącego „jedyną widownią, / natarczywie domagającą się bisów”, oczarowanego przez matkę recytującą wiersze Szymonowica, Słowackiego, Iłakowiczówny, skamandrytów, Baczyńskiego. Ostatni wiersz ukazuje tegoż bohatera „na proscenium tyłem / do widowni”. To, co jest komentarzem tej teatralnej sytuacji, znakomicie oddaje sens owego stanu, który odtąd nazywam stanem e l i z j u m:

Moja całkowicie przypadkowa obecność
w tym tutaj, domagała się natychmiastowych
wyjaśnień,
ale zimne bożonarodzeniowe ognie
na opuszczonej przez ptaka choinie uparcie
iskrzyły

jeszcze po przekroczeniu granicy między
snem i jawą. Nie zważając na ów iluzoryczny
podział,
pracownicy techniczni w roboczych kombinezonach,
tu i tam, wykonywali powierzone im obowiązki.

Powinienem jeszcze dodać informację z ostatniej kartki tomiku: „Na okładce wykorzystano grafikę Leszka Różgi *Elizjum*”.

Bogusław Kierc

Janusz Szuber, *Tym razem wyraźnie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2014

Czytanie *Błysków* Julii Hartwig

Umieszczone na początku *Błysków* Julii Hartwig autorskie wprowadzenie brzmi jak przestroga: „Pisząc *Błyski*, miałam poczucie, że jest to forma zupełnie autonomiczna. Nie mają one nic wspólnego z aforyzmami czy złotymi myślami, których unikam jak ognia”. Tyle, że nie zawsze należy przyjmować autorskie wyjaśnienia czy zastrzeżenia z dobrodziejstwem inwentarza. Po pierwsze bowiem między aforyzmem a złotą myślą – rozumianą jako swego rodzaju popis czy *bon mot* – jest spora różnica: nie sposób do złotych myśli zaliczyć ani utworów Krausa, ani Leca. Po drugie – definicji aforyzmów jest bodaj tyle, ilu aforystów: do aforyzmów zaliczamy wszakże i strzępy pism presokratyków, i zapiski Lichtenberga, i utwory Rzykowskiego, i *Lapidaria* Kapuścińskiego. *Błyski*, w naszym nie naruszając ich formalnej i gatunkowej suwerenności, z pewnością mieszczą się w takiej przestrzeni wypowiedzi aforystycznej, a to przede wszystkim z racji swojej skrótowości, gęstości i spójności. Aforyzm jest albowiem, by wspomnieć termin Miłosza, formą bardziej pojemną niż się o tym

sądzi. Przy czym nie od rzeczy będzie zwrócenie uwagi, że na ogół mówi się o aforyzmach czyichś, że aforyzm zawsze jest nacechowany podmiotowo, przywiązany do imienia autora. Choć, oczywiście, sama nazwa gatunkowa mówi coś także o cechach wspólnych dla wszystkich utworów, które do tej grupy można zakwalifikować.

Ale, oczywiście, nie ma powodu, dla którego nie można by uznać autonomicznego charakteru tych zapisów, wówczas zaś „błyski” zyskałyby odrębny, sobie właściwy status genologiczny. Za błysk założycielski uznałbym następujący zapis:

Obchodzisz urodziny.
Urodziny sierpniowe pod spadającymi gwiazdami.
To „Izy świętego Wawrzyńca”.
Łzy oczyszczone z cierpienia.
Spadają tak szybko, że nie zdążysz nawet wypowiedzieć swego imienia.

Błysk jest mgnieniem, zapisem zdumienia, zaskoczenia, odnotowaniem czegoś niepochwytного, co jest ledwie – właśnie w zapisie – sygnałem obecności czegoś, co domaga się dopowiedzenia. Pojawić się może w zasłyszanej rozmowie, w przeczytanym tekście – stąd błyski-cytaty – w przelotnym postrzeżeniu. Jest jak refleks światła, którego źródło bywa niepochwytne i tajemnicze. Można powiedzieć, że emblematem błysku jest spadająca gwiazda. Ale też –

gdy czyta się błyskowe zapisy Hartwig – nie sposób nie dostrzec, że odzwierciedlają one sytuację kogoś, kto żyje w deszczu smug czy w roju meteorytów znaczących niebo, takich jak listopadowe leonidy czy sierpniowe perseidy. Lecz wówczas należy pamiętać o tym, że takie roje to zjawiska towarzyszące kometom – tu, w przestrzeni zapisów poetyckich, niedostrzegalnych, lecz przecież właśnie w błyskach znaczących swoją obecność. I gdy się zastanawiam nad tym, co by ową kometą być tutaj mogło, myślę, że zapewne można by za nią uznać zmysł moralny, którego realność wskazywał Immanuel Kant mówiący o niebie gwieździstym ponad człowiekiem i prawie moralnym w jego umyśle. To prawo moralne stanowi twarde jądro komety, jaką jawi się skończona i przelotna ludzka egzystencja w nieskończoności kosmosu.

W mojej lekturze *Błysków* ich wymiar moralny wydaje się najbardziej wyrazisty, stanowi punkt odniesienia dla spraw codziennych, przyziemnych nawet, ale też wzniosłych, duchowych. Przy czym jest to wymiar dyskretny, skryty – tym zresztą różni się postawa moralisty od postępowania moralizatora, który „wie lepiej”. Uderza w tych zapiskach skromność wobec bogactwa i różnorodności świata, których nie sposób ogarnąć, ale które tworzą naturalne środowie-

sko naszego bytowania: zapisy Har-
twig do nich odsyłają, uświadamia-
ją ich promieniowanie dostrzegane
właśnie w błyskach:

Skromność, ale nie pokora.
Traktować siebie poważnie, ale nie z b y t
poważnie.

Ta pochwała „niepowagi” warta
jest dostrzeżenia, w niej właśnie bo-
wiem najpełniej objawia się skrom-
ność. Ma to zresztą swe dopełnienie
w wielu innych zapisach, jak choćby
w tym: „Wciąż gubić to, co najwa-
żniejsze, wciąż wracać do najważniej-
szego”.

Nieuniknione w trakcie lektury
Błysków wydają się rozważania do-
tyczące sposobu zapisywania sum-
my egzystencjalnych doświadczeń.
W tym tomie – na swój sposób po-
dobnie do tego, co stworzył w *Lapi-
dariach* Ryszard Kapuściński – moż-
na ujrzyć coś w rodzaju traktatu
we fragmentach. Przypomina się
wiersz Różewicza *zawsze fragment*:
„doprawdy / nie mam czasu / na
skończenie / tego wiersza”... I war-
to w tym kontekście przypomnieć
rozważania o fragmencie w tomie
szkiców Waltera Hilsbechera *Tra-
gizm, absurd i paradoks*: „Po oszala-
niających zwycięstwach wielkich
eposów, pięknym blasku ogrom-
nych konstrukcji myślowych, krysz-
tałowo jasnych poezjach, fragment
uczy nas znowu zrozumienia płyn-

nej struktury naszego świata, przeje-
muje nas czarem tymczasowości,
wstrząsa naszą świadomością bu-
dząc jasne przekonanie, że dosko-
nałość polega dla nas jedynie na
tym, by z całym spokojem upra-
wiać fragment, by w sposób możli-
wie najdoskonalszy być niedosko-
nałym”.

W zbiorze fragmentów – a za
taki uznać wypada *Błyski* – dostrzec
można (i chyba należy) jedną z od-
mian formy otwartej, lecz jedno-
cześnie dbałej o swą artystyczną
kondycję, świadomie komponowa-
nej. Nic też dziwnego, że tak wie-
le miejsca poświęca w nim autorka
problemom sztuki, w szczególno-
ści zaś poezji. W kwestii dotyczą-
cej tej ostatniej warto dłużej zatrzy-
mać się przy refleksji odróżniającej
poetry religijną od wyznaniowej,
nie przypadkiem zapisanej w *plura-
lis majestaticus*:

Religijność wierszy związana jest z samą
naturą poezji.
Nie mówimy o wierszach wyznaniowych.

W zasadzie niemal każdy z tych
błysków jest doskonałym punktem
wyjścia do szerszego, przerastają-
cego w mniej lub bardziej uczony
esej komentarza. Już choćby roz-
prawa poświęcona kwestii podnie-
sionej w przed chwilą cytowanym
fragmencie zmusiłaby autora do
podniesienia problemu religijności

nie pochwyconej w instytucjonalne ramy, nie przymuszającej do działania i życia we wspólnocie, respektującej zatem suwerenność osoby ludzkiej, jej wolność. Co i tak zresztą nie pozwoli rozstrzygnąć dylematu kolejnego z błysków:

Sztuka jako przywiązanie do życia?
A może jako wyzwalenie się z życia?

Cóż: zapewne jedno i drugie jednocześnie.

Leszek Szaruga

Julia Hartwig, *Błyski zebrane*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014

Ogród rzeczywistości

Życie na wyspach to zbiór esejów Czesława Miłosza (1911–2004) z lat 1989–1996 poprzedzony dwoma wcześniejszymi, które wprowadzają *in medias res*: XX wiek i literatura, literatura i rzeczywistość. W pierwszym Miłosz dystansuje się od literatury współczesnej, mówiąc że nie jest ona na miarę czasów, że „t o n i e j e s t t o”. Mówi, że konieczna jest w niej twardość, a więc przeciwieństwo myśli zmiękczającej i grząskiej, a także dystans, czyli wigor oraz lepszy, bardziej świadomy dostęp do rzeczywistości.

Ale, co to znaczy twardość? Czy określa tak Nieludzkość lub poza-ludzkość – cechy, które według Tomasza Manna powinien mieć artysta? Miłosz bada te i inne konieczności na różnych płaszczyznach i poziomach, jest ostrożny i czujny, bo wie z kim i o co toczy się ta walka i co jest jej stawką. Schronienie się w języku odpada, bo jest jałowe i pozorne, a i sama literatura (styl, artyzm, konwencje, tradycja etc.) jest niewystarczająca. Patrząc na to, co stało się w XX wieku, stwierdza, że słowa są coraz mniej rzeczywiste, a rzeczywistość coraz bardziej niewyraźna, niema i jest to zbliżanie się do katastrofy. Dzieła zniszczenia dokonują wszechobecne migające obrazki rozpleniowane na ekranach komputerów, telewizorów i innych coraz bardziej wymyślnych urządzeń.

Pisarz XX wieku musi wiedzieć z kim i o co gra lub walczy i poznać najlepiej jak może metody przeciwnika, żeby mógł przyjąć najkorzystniejszą z możliwych strategię, gdyż przeciwnik, którego nazywa smokiem, jest podstępny i niebezpieczny: „albo jest niewidzialny, albo jeżeli ukazuje się, to za każdym razem w innej postaci”. Zadanie jest tym bardziej trudne: nastąpił upadek powieści i osłabienie literatury pięknej, na placu boju została właściwie tylko poezja. W lawinie przesypują-

cych się i rozbrzmiewających słów coraz bardziej słabych, rozbrojonych i bezbronnych, trzeba wrócić do początku, czyli do wzorów literackich, które znajdują się w Biblii. Miłosz jako przykład przywołuje pisarstwo Franza Kafki, w którym ważną rolę odgrywa przypowieść i metafora i podkreśla, jak zasadniczą sprawą w pisaniu jest tożsamość i podmiotowość, bez których pisarz staje się marionetką języka i tego, co jak z klisz się w nim wyświetla.

Wie, jaka jest sytuacja człowieka na ziemi, poznał piekło i horror XX wieku. Widzi, że literatura znajduje się w odwrocie i pomału stajemy się cywilizacją ruchomych obrazków, co jest groźne i poniżające dla ludzkiego ducha. Wie, że wszystkim rządzi ulokowany w mediach pieniądz, który służy swoim właścicielom i że działanie to jest bardzo profesjonalne i bezbłędnie zorganizowane. Obserwuje, jak oglupia się ludzi, jak epatuje i manipuluje przemocą, kłamstwem, seksem i kolejne pokolenia skazuje się na zatrąę i na przepadłe. Z mediów te wiry, i trendy przenikają do sztuki i oświaty, rozplenią się w życiu publicznym i jest to już, bez silenia się na porównania, rzeczywista zaraza. Trwa walka z religią, artyści, dziennikarze i krytycy zamienili się w politruków, moloch kultury masowej działa jak w transie, siejąc zniszczenie na wielką skalę.

„Jestem staroświecki – mówi Miłosz – nie dotrzymuję kroków artystycznym przewrotom na Zachodzie (tylko w Kalifornii mi to jakoś uchodzi), czytam Orzeszkową i Rodziewiczównę, piszę do »Tygodnika Powszechnego«, religiancki »mistycyzujący«, lichowie jaki, zlepiony ze sprzeczności”. Raz jeszcze wraca do Fiodora Dostojewskiego i przypomina jego stosunek do Zachodu i inteligencji zaczonej ideami ateizmu i socjalizmu, co, tak jak przewidział, doprowadziło do wielkiej katastrofy. Jak można po ludzku żyć w świecie, w którym podział na dobro i zło uznawany jest za sąd radykalny i reakcyjny? W świecie, w którym nagradzani i cenieni są cynicy i kłamcy, ludzie głupi i prymitywni, duchowo martwi i już za życia rozkładający się. Z jednej strony jest jałowa i pusta materialistyczna dekadencja, a z drugiej duch – w naszym kręgu chrześcijaństwo ze swoim mesjanistycznym przesłaniem. Ten wymiar jest u Dostojewskiego, jest i u Miłosza. To oczywiście nie jest takie proste, skracam, kierując zainteresowanych w stronę książki. Tak u Dostojewskiego jak i u Miłosza jest zmaganie się z własną niewiarą i w tych szrankach kształtowanie własnej metafizyki (czy pneumatologii). To główna siła ich pisarstwa: ta wielka teologiczna i wręcz religijna dysputa, która obecna jest w ich dziełach (użycie powieści i poezji jako

instrumentów) i wynikająca z niej wymowa – jeśli nie ma duchowej hierarchii, to wszystko kończy się tak, jak „na Sołowkach, w Workucie i na Kołymie, w Oświęcimiu i Treblince”. Tylko najwięksi pisarze mogą istnieć na tych wysokościach i jednocześnie w tak silnym splocie z rzeczywistością.

Miłosz stwierdza, że literatura rosyjska ma „dwa utwory o sile równej nieomal przypowieściom z Ewangelii, którym podobnych żadna inna literatura nie wydała. Treścią tych dwóch utworów jest człowiek postawiony wobec czystego zła”: to poemat o *Wielkim inkwizytorze* Fiodora Dostojewskiego i *Krótką opowieść o Antychryście* Władimira Sołowiowa. W ich centrum są: Jezus i Księżę Tego Świata. Wybór należy do człowieka, zależy do jego rozoznania i wolnej woli.

W eseju o Lwie Szestowie pojawiają się m.in. Abraham i Hiob, Dostojewski i Czechow, Platon i Hegel, Arystoteles i Tomasz z Akwinu, Tertulian i Luter, Pascal, Kierkegaard i Simone Weil i wszystko jest nad podziw aktualne. W kolejnych tekstach Miłosz mówi o samotności i izolacji człowieka piszącego, o poezji niezrozumiałej, w której umysł zмага się z brakiem sensu, o swoim ideale poezji („Szukam czystości rysunku, prostoty i zwięzłości”), o epifanii, o „treści żywej” i jej ścisłym związku z rzeczy-

wistością („[poezja] musi dążyć do serca rzeczy, z poczuciem nigdy niepokonanego dystansu”) i o tym, że literaturą są też dawne święte księgi ludzkości i dzieła filozofów, co znacznie i znacząco rozszerza jej zakres.

Ważne i umacniające są eseje dotyczące gospodarstwa polskiej literatury, które jest nam najbliższe. Miłosz mówi o demonicznych obrzędach dwudziestowiecznej literatury i sztuki i o tym, że przynależność do literatury polskiej uratowała go na emigracji przed utratą tożsamości, uchroniła od rozpacz i osamotnienia tak przecież w tych warunkach dotkliwego, dawała i daje poczucie obowiązku wobec poprzedników i następców, strzeże od rozpadu osobowości i jest bronią przeciw powszechnemu zniżeniu. W wywodach na temat polskiej prozy nie jest konsekwentny, bo unieważnia w nich to, co pisze o poezji, jakby istniała ona w jakichś innych, oddzielnych warunkach, a tak przecież nie jest, chociaż prawdą jest, że dzisiejsi powieściopisarze polscy nie mają tak solidnych fundamentów, jakie mają poeci. Cenne i formujące są eseje o „Skamandrze” i awangardzie jako dwóch biegunach rozwoju, o Jerzym Giedroyciu i jego „istniejącej wbrew prawdopodobieństwu” „Kulturze”, o drodze Bolesława Miłocińskiego (tu: świetna krótką charakterystyka pism literackich w dwu-

dziestoleciu), o wierszach i drodze Aleksandra Wata, który jawi się jako postać beckettowska (przypomina się *Watt*), o poezji Tadeusza Różewicza i Wisławy Szymborskiej, a także szkice o Albercie Camusie, Tomaszu Mertonie, Philipie Larkinie i Josifie Brodskim, w których w krótkich uwagach i pojedynczych zdaniach widzimy wielkie napięcie.

Z takimi książkami ileż bardziej normalne i możliwe staje się nasze życie na wyspach.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Życie na wyspach*, wybór i opracowanie Joanna Gromek, *Dzieła zebrane*, tom 36, Wydawnictwo Znak, Kraków 2014

Jacek Bocheński, ur. 1926 we Lwowie, pisarz i publicysta; ostatnio opublikował *Zapamiętani* (2013) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2014 nr 2 (82)). Mieszka w Warszawie.

Kazimierz Brakoniecki, ur. 1952 w Barczewie; autor około trzydziestu książek poetyckich, prozatorskich i przekładów; ostatnio opublikował tomik wierszy *Chiazma* (2012); w latach 1991–1997 redaktor naczelny „Borusii”. Mieszka w Olsztynie.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013) i *Tabu Polaków* (2013) – współautor. Mieszka w Gdańsku.

Stanisław Dłuski, ur. 1962 w Jaśle; autor tomików wierszy i krytyk literackich; pracownik Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego; w latach 1995–1998 redaktor naczelny „Frazy”, a w latach 1998–2005 „Nowej Okolicy Poetów”; ostatnio opublikował tomik pt. *Szczęśliwie powieszony* (2009). Mieszka w Rzeszowie.

Aleksander Fiut, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował tom *Z Miłoszem* (2011) i zredagował *Poznawanie Miłosza*, tom 3 (2011). Mieszka w Krakowie.

Anna Frajlich, ur. 1942 w Kirgizji; autorka dwunastu tomów wierszy; wykłada literaturę polską na Uniwersytecie Columbia; ostatnio opublikowała zbiór esejów *Czesław Miłosz. Lekcje* (2011) i tomik wierszy pt. *łodzią jest i jest przystanią* (2013). Mieszka w Nowym Jorku.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN; opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)), ostatnio: *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2012). Mieszka w Warszawie.

Renata Gorczyńska, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy* (2014) oraz *Szkice portugalskie* (2014). Mieszka w Gdyni.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu tomów wierszy; ostatnio ukazały się: *Zapisane* (2013), *Wiersze wybrane* (2014) i *Błyski zebrane* (2014) oraz *Korespondencja Artur Międzyrzecki, Julia Hartwig/Czesław Miłosz* (2012), *Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki/Katarzyna i Zbigniew Herbertowie. Korespondencja* (2013), (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)) rozmowy pt. *Życie to podróż, to ocean* (2014) Mieszka w Warszawie.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował tom wierszy *Manatki* (2013). Mieszka we Wrocławiu.

Piotr Lamprecht OSA, ur. 1983 we Wrocławiu, autor wierszy, doktorant IBL PAN; publikował m.in. w „Więzi”. Mieszka w Łomiankach.

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił tomik wierszy *Nicości, znikaj* (2011) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 2 (74)) oraz zbiór małych próz i poetyckich traktatów pt. *Czarne notesy* (2012). Mieszka w Krakowie.

Piotr Matywiecki, ur. 1943 w Warszawie, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio opublikował tomik pt. *Widownia* (2012) i eseje: *Myśli do słów* (2013) i *Świadomość* (2014). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998). Mieszka w Bydgoszczy.

Anna Nasiłowska, ur. 1958 w Warszawie; autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki; profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała *Wolny agent Umeda i druga Japonia* (2013) i tomik pt. *Żywioły*. Mieszka w Warszawie.

Kazimierz Nowosielski, ur. 1948 w Rybnie na Kujawach; autor tomików wierszy, eseista i krytyk, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował tomik pt. *Okno od północy* (2012). Mieszka w Gdańsku.

Krystyna Rodowska, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Wiersze przesiane 1968–2011* (2012). Mieszka w Warszawie.

Anna Romaniuk, ur. 1980 w Siedlcach, historyk literatury; kierownik Zakładu Rękopisów Biblioteki Narodowej; opracowała m.in.: *Dusza... i Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu* (2012) również książkę „*Dusza czyściowa*”. *Wspomnienia o Stanisławie Grochowiaku* (2010). Mieszka w Warszawie.

Tadeusz Różewicz (1921–2014), poeta, dramaturg i prozaik; autor ponad trzydziestu pięciu tomów poetyckich, m.in. *Niepokój* (1947), *Płaskorzeźba* (1991), *Zawsze fragment* (1996), ostatnio opublikował *Kup kota w worku* (2008), *To i owo* (2012); pięciu tomów opowiadań, m.in. *Śmierć w starych dekoracjach* (1970), *Próba rekonstrukcji* (1979); dwunastu dramatów, m.in. *Kartoteka* (1960), *Grupa Laokoona* (1962), *Pułapka* (1982), *Palacz* (1997); laureat licznych nagród i tytułów *doctora honoris causa* (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2004 nr 2 (42), 2006 nr 2 (50), 2010 nr 4 (68), 2011 nr 4 (72)).

Jerzy Siwiec, ur. 1952 w Warszawie, lekarz, psychiatra. Przyjaciel Zbigniewa Herberta. Mieszka w Warszawie.

Ewa Sonnenberg, ur. 1967 w Żąbkowicach Śląskich; autorka dziesięciu tomików wierszy; ostatnio ukazały się jej *Wiersze zebrane* (2013). Mieszka we Wrocławiu.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie; autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował zbiór esejów *Gra o tożsamość* (2013), *...zmowa Kontrolowana* (2014) i *Dane elementarne* (2014). Mieszka w Warszawie.

Janusz Szuber, ur. 1947 w Sanoku, poeta; autor wielu tomów wierszy; ostatnio opublikował *Powiedzieć. Cokolwiek* (2011) (patrz: „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 3 (75)), *Emeryk u wód* (2012), *Entelechia* (2012). *Tym razem wyraźnie* (2014) – patrz: recenzja w tym numerze. Mieszka w Sanoku.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Moje zdanie* (2009). Mieszka w Warszawie.

Konrad Zych, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki; redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.

Pochodząca z ok. VI wieku p.n.e. Księga Samuela (jest to imię teoforyczne, złożone z dwóch członów – „Bóg wysłuchał”) przedstawia dzieje trzech wielkich postaci: nazirejczyka Samuela, wielkiego proroka, arcykapłana i ostatniego z sędziów oraz pierwszych królów Izraela: Saula, syna Kisz i Dawida, prawnuka Rut i syna Jessego, który jest głównym bohaterem. Po ciężkiej klęsce pod Afek i utracie Arki przymierza Samuel stara się mocą swojej władzy duchowej odbudować i ożywić naród izraelski, kontynuując tradycję teokratycznego państwa, które stworzył Mojżesz. Ten natchniony prorok, obdarzony przez Najwyższego wielką mocą ducha, staje się zbawcą Izraela, ale Izraelici chcą mieć króla i upierają się przy tym. W końcu zostaje wskazany i namaszczony Saul i Samuel oddaje mu władzę świecką napominając, żeby nie odstępowali, tak on jak i cały naród, od wiary i zawsze dochowywali Bożych praw. Saul jednak szybko narusza prawa i przywileje kapłańskie, grzeszy i wiadomo, że musi spotkać go kara. Na następcę tronu zostaje wyznaczony w widzeniu Samuela młodzieńcki pasterz Dawid. Saul go nienawidzi i za wszelką cenę sta-

ra się zabić. Historia Dawida pełna jest niezwykłych przygód, napięć i barw, wzlotów i upadków, słabości i mocy, przejawów pychy i pokory, walk i wierności Wiekuistemu. Najpierw jest zwykłym pasterzem w Betlejem, potem giermkim na dworze króla, przyjacielem królewicza i mężem królewskiej córki, bohaterem wojennym (cudowne zwycięstwo nad Goliatem), wodzem wojsk, tułaczem i uciekinierem, wasalem króla filistyńskiego, wielkiego wroga Izraela i wreszcie, po tragicznej śmierci Saula pod Gilboa (Księga podaje dwie wersje jego śmierci), królem izraelskim. Siedem lat panuje w Hebronie, a potem trzydzieści trzy w Jerozolimie. W zaciętych i strasznych bojach pokonuje wrogów i rozszerza granice państwa aż do Eufratu i Morza Czerwonego. Po długim panowaniu umiera w wielkiej rozterce i zgryzocie, atakowany nawet przez swoich najbliższych (m.in. syna Absaloma), ale z wiarą w Boga i z ufnością w sercu, czego świadectwem są jego nieśmiertelne Psalmi.

Jest to Księga wspaniała, zawierająca wiele znakomitych postaci, bogactwo tematów, wątków, opisów i zdarzeń, będąca spletem różnych gatunków literackich, jak

np. psalmy, poematy-lamentacje, notatki, listy, opowiadania i opowieści, pełna stylizacji i sprzeczności. Zaczyna się od Elkany, jego żony Hanny, jej płaczu i cichej i serdecznej modlitwy w Szilo, rozmowy z arcykapłanem Eli i narodzin Samuela i potem, przechodząc przez kolejne wypadki, z kulminacją, którą zda się być proroctwo Natana, kończy się pełną mocy pieśnią dziękczynną Dawida i jego ostatnimi słowami. Nawet incydentalnie pojawiające się postaci i zdarzenia zapadają w pamięć, robią wrażenie i ściśle łączą się z żywą, pełną znaczących szczegółów i zwrotów narracją, którą kunsztownie rozświetlają, jak to zwykle jest u Cylkowa, zamieszczone na dole strony i pochodzące z najlepszych źródeł komentarze rabinów i egzegetów.

To już dwunasty tom tej świetnej serii Wydawnictwa Austeria, a przed nami następne.

K.M.

Księga Samuela, tłumaczył i podług najlepszych źródeł objaśnił dr Izaak Cylkow, reprint wydania z 1913 roku, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2014

Pochodzące z ok. 550 roku przed Chrystusem dwie Księgi Królów następują po Księdze Samuela jako jedenasta i dwunasta księga Starego Testamentu. Zaczynają się od opisu

ostatnich lat rządów i śmierci króla Dawida, ukazują objęcie władzy królewskiej przez Salomona, przedstawiają jego rządy i dalej historię całej monarchii izraelskiej, która kończy się zburzeniem Jerozolimy i świątyni i wygnaniem babilońskim, co stanowi karę Bożą za bałwochwalstwo królów, z długiego szeregu których tylko dwóch ocenionych jest pozytywnie, i całego ludu. Na końcu jest jednak iskra nadziei – błogosławieństwo udzielone królowi Judy Jojahnowi, ostatniemu panującemu następcy Dawida.

W tym kompilacyjnym wirze kronik, legend i przypowieści, jakim są te księgi, rysują się punkty i linie jasne i czyste i błyszczą świetne fragmenty, które zostają w pamięci, stając się częścią dziedzictwa. Jest to z jednej strony kronika historyczna, która w sposób chronologiczny ukazuje dzieje królestw żydowskich, a z drugiej, i jest to jej główne zadanie, przedstawia losy przymierza ludu izraelskiego z Bogiem i sposób objawiania się Wiekuistego tak w świecie jak i w żydowskiej historii. Bóg wspierałomyślnie i hojnie nagradza za prawość, wierność i posłuszeństwo, a bezwzględnie i okrutnie karze za zdradę, odstępstwo i grzech (tu: bałwochwalstwo królów i ludu, rozpad królestwa, wojny, klęski, królobójstwa, bunty i w końcu katastrofa: zniszczenie miasta i świątyni i wygna-

nie). Jaka jest rozpiętość i skala tych opowieści, niech świadczy fakt, że wszechmocny i wszechpotężny Bóg Izraela objawia się ściganemu Elia-szowi u stóp góry Horeb (tam gdzie było widzenie Mojżesza) w „szmerze tchnienia łagodnego”, przed którym następują: wielki i silny wicher, trzęsienie ziemi i ogień.

Widzimy, jak Salomon jedzie na mulicy swojego ojca Dawida nad strumień Gichon. Słyszemy ostatnie napomnienie, jakiego Dawid udziela synowi – następcy, czy jego rozmowę w Gibeonie z Wiekuistym, którego mądry młodzieniec prosi o dar rozróżniania dobra i zła, a więc o to, co jest najważniejsze – rozumienie i wypełnianie Prawa, i zaraz potem wydaje wyrok w sprawie przyznania dziecka, o które kłócą się dwie kobiety. Czytamy naszpikowany szczegółami opis budowy wielkiej świątyni i jej urządzenia wewnątrz, czy opis wspa-niałego pałacu króla na górze Syjon, a także surowe zapisy o kulcie bałwo-chwalczym odprawianym przy ołtarzach wystawionych na wyżynach.

Wielkiej mocy są proroctwa: Achija, Micheasza i Eliszy, także proro-kini Chuldy, a nade wszystko Eliasza, największego z tych mężów Bożych, o którego cudach i działaniach czyta się z zapartym tchem, np. o wskrze-szeniu syna wdowy – według tradycji żydowskiej matki Jonasza, czy na górze Karmel jego pojedynek z cztery-

stoma prorokami Baala, gdy Wiekui-sty zsyła z nieba oczekiwany ogień.

W tej pełnej zwrotów histo-rii i przedstawionych w niej dziełach Boga i ludzi zadziwia niezwykle uży-cie szczegółów, a także precyzja styli-styczna i kompozycyjna w literaturze współczesnej prawie już niespotyka-na, np. scena oczekiwania przez Elia-sza na deszcz, czy jego ocalenia z rąk kolejnych wysyłanych po niego od-działów wojska lub powtarzanie przez pijanego Benhadada słów w wypo-wiedzi skierowanej do szpiegów.

K.M.

Księga Królów, tłumaczył i podług najlepszych źródeł objaśnił dr Izaak Cylkow, reprint wydania pośmiertnego z 1914 roku, wprowadzenie Piotr Paziński, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Bu-dapeszt 2014

Anna Nasiłowska do poezji po-wróciła z dalekiej podróży: zadebiutowała cyklem poetyckim *Ofelie* w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, by, po szoku podebiutanckim, wskutek którego „schowała się jak ślimak do skorupy”, z poezjowania się wycofać: „Zanim wystawiłam z niej głowę, nastąpiły lata osiemdziesiąte, z bardzo nieprzy-chylną aurą dla wszystkiego, co nie było polityczne” – zatem zaczęła uprawiać gatunki od liryki pozor-nie odległe, eseistykę i prozę, by usłyszeć od Iwony Smolki: „Ty jesteś

poetką, która symuluje bycie prozaikiem”, co nie zmieniło faktu, iż dopiero w roku 2014 pisarka wydała swój pierwszy zbiór poetycki zatytułowany *Żywioły*. Wydobywam te informacje z posłowania do tego zbioru, gdyż zdają mi się w tym wypadku ważne – tym bardziej, że w gruncie rzeczy przecież owa „polityczność”, o czym przecież Nasiłowska jako badaczka literatury współczesnej wie doskonale, nie tylko jej przeszkadzała. W końcu choćby z racji swego wieku jest jej bliżej raczej do „nowej prywatności” niż do „nowej fali”, a przecież jej rówieśni, choć nie polityczni, w czasie złej pogody dla liryki nie połamali piór, myślę zatem, że niekoniecznie ów czas morowy zablokował pisanie wierszy. Sądzę, że – co zdają się potwierdzać kolejne książki – zwróciła się ku prozie za sprawą „prozaicznych” doświadczeń życiowych, które właśnie w tych formach zdołały znaleźć wyraz najpełniejszy. Gdy jednak przyjrzeć się wszystkiemu dokładniej, okaże się, że po prostu proza z poezją w tej twórczości wzajemnie się przenikają, co doskonale w najnowszym zbiorze jest widoczne, a co zwłaszcza dzisiaj, przy zatarciu czy rozmyciu międzygatunkowych granic niczym dziwnym się nie wydaje – w końcu nie wszystkie utwory zamieszczone w tym tomie pisane są „w słupkach”, Nasiłow-

ska nie stroni przecież od frazy rozbudowanej nawet w całe akapity, które wszak można traktować jako wersy, zwłaszcza jeśli się dostrzeże ich silne zrytmizowanie.

Tytuł tego zbioru odsyła do rozpoznania ważnych w każdej poezji – żywioły są w końcu jednym z tych zjawisk, którym od początku poświęca ona swoją uwagę. Tutaj wydaje się, że żywiołem najważniejszym staje się właśnie sama poezja – iskra, która, w tłumaczeniu wierszy, „nie tracąc rozpędu / przeskakuje przepaście / między językami” (*O tłumaczeniu wierszy*). To żywioł totalny, zagarniający wszystko, nawet najbardziej nieporadne zjawiska lingwistyczne, jak te, które wynotowywane są z rozmów i anonsów w cyklu *Modelki*: naiwne, prościutkie anonse kandydatek, zwierzenia snute w nie pozbawionym wulgarnych wtrętów, potoczystym paplaniu o swych zamiłowaniach, wszystko to porywa ze sobą nurt poetyckiej narracji, z którego przecież co chwilę da się wyłowić zdanie, które zatrzymuje uwagę: „Mogą mi mówić, że jestem odjechana, ale nikt mi nie zabroni mojego odbioru”. Żywioł potocznego języka niesie z sobą śmieci (w przeważającej ilości), ale i spostrzeżenia warte namysłu. W końcu ten potok słów stanowi tkanekę czyjejs egzystencji i jej właśnie przygląda się w swych wierszach Nasiłowska.

Nie brak jednak i żywiołów szczególnie groźnych, wyrażanych w niedopowiedzeniach, zawieszonych głosu, jak w wierszu *One*, w którym: „Dwie stare kobiety plotkują przy kolacji”. Rozmawiają o trzeciej kobiecie, by następnego dnia powiedzieć:

Tego nie słyszałaś.
Tej historii nie opowiadamy.
Nigdy.
To przez wino.
Zapomnij.
Zapamiętała, ale wyznaje
Zapomniałam o kogo chodziło.
Czy nie o mnie.

Zdanie zapisane w trybie pytającym domknięte jednak zostaje kropką. I to też żywioł: pewność niepewnego. Pewność pojawia się wraz z żywiołem humoru, jak w wierszu *Rozmowa na wyspie*, w którym poeta piszący całe życie jeden wiersz powiada: „W piątki piję. / I nie jestem poetą”.

L.S.

Anna Nasiłowska, *Żywioły*, Starmiejski Dom Kultury, Warszawa 2014

Lata siedemdziesiąte.
Wędrówki, chodzenia.
Kręcenia się.
Docierania i odchodzenia.
Wejścia i wyjścia. Wloty i wyloty.
Osoby, ja i sytuacje.
Cmentarze, listy.

Cała galeria: Le, Lu, Swen, Misio Holender, Misio, Hela, Tadzio, Ania, Lolalola, Paluska, Hela, Misia, Żenia, Valentino, Dziutka, Jadwiga, Mary i inni.

Zwyczajaje (tzn. zwyczajne sprawy).

Rozprawy i zaprawy. Wibry.

Słup, dupa, zupa.

Miron, syn Zenona.

Sny, śnitki.

Opowiadanie Lalki.

Mizia (kotka).

Z Sandauerem w Paryżu. O Gombrowiczu, że nisko kłaniał się Mostowiczowi. (Czy dziś kłaniałby się Grocholi?)

Fumy i frywole.

W Paryżu, a to siusiak, a to wychodek, a to kupa na Saint-Germain.

Wreszcie Luwr, Gioconda, bałaski, Utrillo. Metro.

Pani Rose. Szwajcarski zegarek.

Odloty w przeszłość bliższą i dalszą. Suwy czasu.

Ulice sklepy, domy. Sprzęty.

Szukanie wczorajszego dnia, szukanie nocy. Szyny, ogród Saski, drzewa.

Takie i im podobne, na ogół, kawałki.

Pan Mozart, pan Bach, pani Reginka, ja.

Z Wielkiego Piątku na Sobotę. Jazdy, gadki, pałowanie. Falenica, samica, piękne listki, redaktorka. Pa-sja Schutza, ptaszek, król Staś, sny,

ściemnienie, przypomnienie, pry-
mas, Gomułka, Otwock.

Nago na ulicy, 1 Maj, hałas, har-
mider, megafony, Gierek, partia,
brak poczucia, chmury, deszcz, o-
ziębienie.

Pożar w IBL-u, car, referat, Ania,
Tadzio, Agnieszka. Przestrzenie, spa-
danie. Cykle, tramwajany, powodze-
nia.

„Jednodniowe baby, etatowe
ogrodniczki, jednodniowe dla placu,
stoją u brzegu skweru. Podparte pod
boki jednymi rękami, w drugich gra-
bie. Gadają, gadają. Do szofera. On
wykręca wychylony. One zostają, sto-
ją i gadają. Gołąbki pracują. Dziobią.
Nakręcone. Łeb w dół, ogon w górę,
ogon w dół, łeb w górę. A że ileś na-
raz, to mechanizm się wzmaga. Chcę
dosłyszeć mowę bab, treść. Ale się nie
da”. Etc., etc.

Procesyjna oktawa. Biel, wian-
ki. Larwy, hydry, ryba dla kotki, tran-
sy, transiki, słowa, słowa, krakersy,
duch, przedziwny mistrz Bach, msza,
kryminały, Conrad, pędy, rytmy, uj-
ścia, misterium, raj, podziemne prze-
jście, ożywienie, rozwidnianie, odbiór,
przybór, ciepłe zorze, róg Święto-
krzyskiej, przestwór Marszałkowskiej,
markiza, poezja, ciąg dalszy nastąpi(ł).

K.M.

Miron Białoszewski, *Szumy, zlepy, ciągi*,
„Utwory zebrane”, tom 5, Państwowy Instytut
Wydawniczy w likwidacji, Warszawa 2014

Na dłuższą metę jednak odpa-
dam. Miron Białoszewski (1922–1983)
i jego późna proza *Zawał* (1977) uka-
zała się w kolejnym tomie *Dzieł z żół-
tą opaską* z napisem, że jest to edy-
cja „odcenzurowana”. Zachęca, ale
wrażenie już od początku jest umiar-
kowane. Ten sam styl i tok, znane
z próz poprzednich, jakby zatrzymał
się i tkwił w miejscu. To jednak, na
dłuższą metę, daje się we znaki i wy-
czerpuje. Rejestr jest za wąski i tok
nazbyt jednostajny, czasami mono-
tonny, jak katarynka.

Zaczyna się tragicznie – od za-
wału, który dopada bohatera-nar-
ratora w środku miasta, na Mar-
szałkowskiej, koło rotundy PKO.
Przypadkowi przechodnie, karet-
ka, ratunek i szpital Dzieciątka Jezus,
który znał już wcześniej. Zapisy i opi-
sy szpitalne, rekonwalescencja, pod-
śluchane i toczzone rozmowy, wizyty,
zabiegi, spostrzeżenia, urządzenia,
sny, myśli, wygląkanie przez okno,
spacerowanie, pisanie i czytanie,
etc. Rój imion, ciąg postaci. Lecą-
cy, a właściwie przesypujący się czas.
Mijają dni, tygodnie, Święta i wyjście
na nowy rok. Coś się skończyło. Wy-
rzuca papierosy przez okno. Zaczy-
na się nowe.

Miesiąc spędza w Inowrocławiu,
w sanatorium. Znowu to samo lub
prawie to samo, ten sam styl i tok,
zapisy i opisy, rozmowy i chodze-
nia, etc.

Życie, leczenie, wypadki do Torunia i do Bydgoszczy. Opisy znanych miejsc, bez rewelacji. To ten sam Białoszewski, co zawsze, chociaż może słabszy. Przewidywalny, niekiedy zaskakuje – jakimś oryginalnym słowem, zdaniem, fragmentem.

I zakończenie, część trzecia pt. *Jeść jarzyny! Spacerować!* Chodzenia po Warszawie i te opisy i zapisy są jednak o niebo lepsze od tych kujawsko-pomorskich. I dialogi jakby przy nich robią się żywsze i język lepiej i ostrzej nawija. „Klimat się zmienił. Wracalem po grudzie. Okulałem. Buchłem się do łóżka rozbrojony. Do własnego łóżka”. Tak się kończy. Od-cenzurowane.

K.M.

Miron Białoszewski, *Zawał*, „Utwory zebrane”, tom 6, Państwowy Instytut Wydawniczy w likwidacji, Warszawa 2014

Szkice, które złożyły się na tom *Barbarzyńca w podróży* stanowią zaczątek nienapisanej książki Zbigniewa Herberta (1924–1998) o sztuce europejskiej. Po raz pierwszy w tej konfiguracji ukazały się po niemiecku w przekładzie Klausa Staemmlera w zbiorze *Ein Barbar in einem Garten* 2. W Niemczech książka doczekała się dwóch wydań – z 1970 i 1995 roku. Pierwsze z nich stanowi wzór dla obecnej edycji, która po publikacji w „Bibliotece »Polityki«” z 2009

roku jest drugim podejściem polskiego czytelnika do tej nieco mniej znanej części eseistycznej spuścizny poety. Przy czym stwierdzenie to nie jest do końca precyzyjne. Połowa pomieszczonych w tomie esejów (*Próba opisanja krajobrazu greckiego, Akropol, O Etruskach*) ujrzała światło dzienne w roku 2000 po wydaniu *Labiryntu nad morzem*, książki złożonej przez poetę do druku ponad ćwierć wieku wcześniej, lecz wstrzymanej wówczas przez cenzurę. Poza wieńczącą eseistyczną część tomu króciutką „kartką z podróży” *Holy Iona* (odnalezioną po śmierci autora w jego prywatnym archiwum) wszystkie teksty ukazały się uprzednio w periodykach literackich. Za życia Herberta w wydaniu książkowym opublikowano tylko jeden szkic – *Lascaux* (otwierający zbiór *Barbarzyńca w ogrodzie*). Całość uzupełniają dwa wiersze: *Podróż* i *Modlitwa Pana Cogito – podróżnika*, również znane każdemu czytelnikowi poety.

Pomimo „archiwalnego” charakteru zebranych w tomie tekstów, *Barbarzyńca w podróży* czyta się jak przemyślaną i zamkniętą całość. Odmiennie od pierwotnego otoczenie tekstowe sprawia, że poszczególne szkice nabierają nowych znaczeń, trudnych do dostrzeżenia bądź zgoła nieobecnych w pierwodruku. Tworzące swoistą ramę konstrukcyjną wiersze wskazują na zasadniczy temat zbioru, zarazem – projektują nie-

jako lekturę esejów. „Jeżeli wybierasz się w podróż niech będzie to podróż długa” – poucza w otwierającym tom utworze poeta. I zaraz dodaje: „Wtedy ojczyzna wyda ci się mała / kołyska łódka przywiązana do gałęzi włosom matki”. Herbert świadomie wybiera więc rolę kulturalnego turysty, który pielgrzymuje do „świętych miejsc kultury”, aby – jak pisze w kartce z Hebrydów – „z długich i dramatycznych dziejów ludzkich wydobyć ślady, znaki utraconej wspólnoty”.

Kolejne teksty łączy motyw powrotu do źródeł. Źródeł kultury europejskiej, ale też źródeł własnego zachwytu. Zwiedzając grotę w Lasciaux, podróżny staje oko w oko z pierwszym arcydziełem ludzkości. Zdumiewająca biegłość prehistorycznego mistrza zmusza go do zadumy nad miejscem człowieka w świecie natury, jego bolesną odrębnością od bogów i zwierząt. Do Grecji jedzie „na spotkanie z krajobrazem”. Wizyta na Akropolu umożliwi konfrontację wrażeń wyniesionych z lektury z zimną fakturą kamienia. „Nie mogłem powtórzyć ani wzruszenia, ani modlitwy humanisty ubiegłego wieku” – pisze, nie bez odcienia goryczy, poeta pielgrzym. Po chwili jednak krzepi się nagłym odkryciem: „»udało mi się jeszcze zdążyć«, zanim on [Akropol – przyp. mój – K.Z.] i ja podzielimy los wszystkich twórców ludzkich

na ciemnym przylądku czasu, przed niewiadomą przyszłością”. Streszczając dzieje Etrusków, upomina się o prawdę pokonanych, pragnie „przywrócić głos wielkim niemowom historii”. Na marginesie szkicu o włoskich peregrynacjach Montaigne’a zarysowuje projekt innego nienapisanego dzieła: „Wstępu do teorii podróży”, które – jak można przypuszczać – byłoby zarazem historią europejskiej wrażliwości. W Szkocji dociera do miejsca, w którym święty Kolumban rozpoczął nawracanie Celtów. „Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności – pisze w otwierającym książkę szkicu – jestem obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności”. Słowa te można by położyć jako motto całego tomu.

Zbiór *Barbarzyńca w podróży* nie sposób uznać za pełnoprawną kontynuację eseistycznej trylogii poety (*Barbarzyńca w ogrodzie*, *Martwa natura z wężidłem*, *Labirynt nad morzem*). W istocie stanowi on tylko suplement do „właściwej” eseistyki pisarza, niemniej – jest to suplement niezwykle wartościowy.

K.Z.

Zbigniew Herbert, *Barbarzyńca w podróży*,
Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014

Eseje Joanny Pollakówny o malarstwie są przede wszystkim esejami o malarzach. Mają coś klasycznego w polskiej tradycji eseju Bolesława Micińskiego *Portret Kanta*: starają się zbudować portret artysty. Nawet jeśli o dawnym twórcy niewiele wiadomo. Życie artysty jest przecież zawsze podwójne, składa się z linii biografii i z linii twórczości. Ta druga nie istnieje bez pierwszej, ale to dzieło decyduje o randze postaci. Na portret artysty składają się czasem nieliczne zdarzenia realnego życia i mocno zarysowana wewnętrzna linia rozwoju własnej wrażliwości, sposobu rozumienia malarskiej materii i rozpoznania własnej tematyki.

W ujęciu Pollakówny malarstwo jest sztuką mistyczną. Jego składnikiem jest przecież światło. „Cóż jest mniej materialne niż światło? Nieuchwytnie dla żadnego ze zmysłów poza wzrokiem. Dla swojej, w oczywisty sposób duchowej natury, od zawsze utożsamiane bywało z boskością albo z emanacją boskości” czytamy w eseju *Alchemia światła*. Nic dziwnego, że tak wielką uwagę przywiązywała autorka do malarzy weneckich. Giorgione, Giovanni Bellini, Francesco Guardi to wybory dość oczywiste. Nie w wyborze sylwetek tkwi największa trudność, ale w tym że pisanie o wielkich zobowiązuje i do prześledzenia dotychczasowych

tropów, nagromadzonych w dorobku historyków sztuki, i do zmierzenia się z tą tradycją, aby dodać coś własnego. Bywają zresztą wybory mniej oczywiste jak Giovanni Girolamo Savoldo, malarz nieco osobny, niedoceniony w pełni. I znów powrót do wielkich: Vermeer. Jakże o nim nie pomyśleć, gdy w grę wchodzi światło. Portret Vermeera wypada zdumiewająco świeżo. Ścieżki Joanny Pollakówny przecinają się często ze ścieżkami wydeptanymi w eseistyce Zbigniewa Herberta. W przeciwieństwie do wielu innych historyków sztuki Pollakówna nie zarzuca Herbertowi niefachowości i braku warsztatu. Czyta go z uwagą, wspomina kilkakrotnie. Oboje byli poetami, więc i u Pollakówny nacisk pada nie na metodę, ale na uważne obcowanie z dziełem. Portret Vermeera zamyka się w jej ujęciu wraz z jego ostatnim dziełem, niezbyt cenionym, ale jedynym, w którym artysta zrezygnował z charakterystycznego silnego dziennego światła, padającego ukośnie z okna. To jedyny obraz, w którym zapada wieczór. W ten sposób linia twórczości Vermeera przebiega od poranku, przez południe i zachód ku nocy.

Czasami chciałoby się dyskutować: mam własną interpretację *Martwej natury z pigwą, kapustą, melonem i ogórkiem* Sáncheza Cotán. Pollakówna zwraca uwagę na umieszczenie warzyw niby tajem-

niczych znaków muzycznych w nieświadomej skali, co łączy z muzycznymi inspiracjami malarza. Pigwa i kapusta wiszą, melon – nadkrojony – leży, a ogórek wysuwa się poza kadr. Wydaje się, że pigwa i kapusta są dopiero przechowywane, rozkrojony melon – już jest jedzony (brak jednej części), a biedny ogórek wyraźnie nie pierwszej świeżości, zdążył już przywędnać i czeka tylko na wyrzucenie do śmieci. Od lewej do prawej przesuwa się czas, jest pora czekania, jedzenia i degradacji jadalnej materii. Interpretacja Pollakówny szybuje nad ziemią, ociera się o ideę syntezy sztuk, ale pomija realistyczny, materialny konkret. Założyłabym się też, że na dwóch obrazach Chardina z kociołkiem leży nie por (bardziej sztywny i większy), ale samotna szalotka, tym bardziej, że w trzeciej z wersji mamy dwie cebule... Takie to uwagi praktycznej kobiety, która sporo natrudziła się w kuchni.

Joannie Pollakównie bliscy byli nie tylko dawni mistrzowie. Pisała o Czapskim, o Jacku Sempolińskim, Jerzym Nowosielskim, a całość zamyka urywek z korespondencji ze Stanisławem Fijałkowskim. „Po raz pierwszy usłyszałem, że maluję powietrze i to kazało mi się zastanowić nad istotnymi treściami moich obrazów” – napisał Fijałkowski po audycji radiowej, w której Pol-

lakówna komentowała jego wystawę. Stefania Zahorska napisała kiedyś, że w zawodzie historyka sztuki najważniejsza była dla niej próba nauczenia innych widzenia i czytania obrazów. Pietyzm, z jakim Pollakówna podchodzi do sztuki patrzenia, jej zapatrzenie mogą być zaraźliwe, gdyż jej książka to bardzo erudycyjny, ale i natchniony przewodnik, napisany przez kogoś, kto z zapatrzenia w obrazy mistrzów czerpał autentyczną radość. Eseje nie epatują, z nich emanuje skupienie.

Ta pięknie wydana i zaopatrzona w cudowne reprodukcje książka zbiera eseje powstające od lat osiemdziesiątych do śmierci autorki. Widać w niej podobne mistyczne nachylenie jak w poezji Pollakówny, ale jednego sekretu nie zdradza czytelnikowi: jak sztuka patrzenia na obrazy łączy się z poezją?

A.N.

Joanna Pollakówna, *Zapatrzenie. Myśląc o obrazach, myśląc o malarzach*, Wydawnictwo słowo/ obraz/ terytoria, Gdańsk 2012

Peter Ackroyd, otwierając książkę *London. The Biography* (Vintage, 2001) uważał za stosowne usprawiedliwić swój pomysł nazwania historii miasta – jego biografią, przez nadanie Londynowi osobowości. Nawiązywał do obrazów

Boskiego Miasta i innych przedstawień Londynu w postaci młodeńca z rękami wzniesionymi w geście uwalniania się, wzorowanych na rzymskich figurach. Ucieleśnianie miasta ma bogate tradycje: widziano Londyn jako organizm, któremu arterie zapewniają życie, jako nienasycone ciało, żądające wciąż nowych dóbr i przyjemności lub jako monstrum, podlegające okresowej gorączce, chorujące na *spleen* i oczyszczające się w ogniu pożarów.

Simon Sebag Montefiore, publikując książkę *Jerusalem. The Biography* wskazywał, że historia Jerozolimy jest poniekąd historią świata i ze względu na wyjątkowość tego miejsca dla wielu religii łączyć się musi ze sprawą boskości i świętości. Szczególna osobowość miejsca rysuje się także w perspektywie przyszłości a nawet – dopełnienia czasu, czyli końca świata. Jest także *Paris. Biography of a City* (Colin Jones, z 2004 roku) oraz *Rome: The biography of a city* (Christopher Hibbert), doczekały się biografii Florencja a nawet Pekin (Beijing), Hanoi i wiele innych miast. Za takim użyciem w tytule słowa „biografia” stoją nie tyle szczególnie wyrafinowane koncepty autorów, co pewien uzus. W całym obszarze anglosaskim, a więc zarówno w Wielkiej Brytanii jak i w Stanach Zjedno-

zonych biografia jest gatunkiem bardzo szanowanym, a więc tytuł brzmi i komercyjnie i odpowiednio szacownie. Wydaje mi się, że „biografizowanie” miejsc rozpowszechniło się jako moda około roku 2000, po sukcesie biografii Londynu, a określenie „biografia” zapowiada chronologię (od narodzin) oraz pewną dbałość o zawartość anegdotyczno-zdarzeniową, niezbędną dla przyciągnięcia uwagi czytelnika i utrzymania jej przez ponad sześćset stron, bo wszystkie tego typu książki są grube, odpowiednio do czasu historycznego, jaki muszą zawrzeć w opowieści.

Z takim użyciem „biografii” nie spotkałam się ani po francusku, ani po polsku, poza tłumaczeniami. Wiadać w obu tych językach sens słowa pozostał bliski greckiemu źródłosłowowi: *bios* + *grapheon*, opisanie życia i z trudnością da się przenieść na byty pozaludzkie. Przyznamy: tak było aż do publikacji książki Renaty Górczyńskiej *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy*. Jest to drugie wydanie, w pierwszym książka zatytułowana była *Skandale minionego życia*, choć od początku autorka zdecydowana była na „biografię”. No cóż, nie tylko *habent sua fata libelli*, ale także tytuły mają pewne przygody, wersja pierwotna została odrzucona przez wydawcę jako mało komercyjna.

Przyznam od razu, że książka Renaty Gorczyńskiej nie jest biografią ulicy Sekwańskiej w Paryżu, gdyż nie respektuje chronologii, nie stara się o obiektywizm i historyczną ciągłość i ma autobiograficzny charakter. Książka ta jest swobodnym esejem na temat ulicy, przy której mieszkał Mickiewicz w okresie, gdy pisał *Pana Tadeusza* i przy której mieszkała Renata Gorczyńska w ważnym dla niej czasie, gdy jej mąż pracował jako architekt przy rozbudowie Luwru. Pomędzy tymi wątkami, z których jednakże istotniejszy dla książki jest ten drugi, pojawiają się różne postacie, które również przy tej ulicy mieszkały. W różnym czasie krzyżowały się tu drogi Chardina, którego malarstwo głosiło pochwałę mieszczańskich cnót z krokami wyzwolicielskiej Isadore Duncan i pohańbionego Oskara Wilde'a w ostatnim okresie jego życia, a w pewnym hotelu mieszkali (choć niejednocześnie i epizodycznie) Charles Baudelaire i Pablo Picasso w początkach swojej kariery. Jeszcze na początku XX wieku ulica była oazą artystów, czynsze były niskie, choć dziś są horrendalne, nie tylko dlatego, że jest to centrum lewobrzeżnego Paryża, ale także dzięki pamiątkowym tablicom, upamiętniającym znanych mieszkańców. I cóż, ja także po niej chodziłam: tablicę Mickiewiczowską Re-

nacie Gorczyńskiej po raz pierwszy pokazał Miłosz, a mnie – przed laty Andrzej Dobosz, stosunkowo niedawno spotkałam się tam z poetą Maciejem Niemcem, na rok przed jego tragiczną śmiercią, której nic nie zapowiadało. Nie jestem jednak pewna, czy wąska i kameralna rue de Seine ma rzeczywiście oddzielną osobowość, czy ta wąska żyłka, nie będąca tętnicą miejskiego organizmu jak Bulwar Saint Germain. Raczej należałoby szukać tożsamości całej Rive Gauche lub okolic kościoła Saint Germain-des-Prés, choć byłaby to trochę inna historia.

Książka Renaty Gorczyńskiej wydana powtórnie, nasycona różnymi historiami, wydaje się przede wszystkim przymiarką do autobiografii. Wątki autobiograficzne związane są z pracą męża w zespole Peia, projektującym szklaną piramidę Luwru i zasługują na własne miejsce wśród historii, które się opowiada. Niewielu polskich architektów miało szansę udziału w przedsięwzięciach podobnie nowatorskich, wpisujących się w historyczną przestrzeń Paryża. Pod piórem Renaty Gorczyńskiej opowieść o przeciążeniu pracą i wreszcie niespodziewanej śmierci męża brzmi dramatyczniej niż wszystko, co zdarzyło się w tym samym miejscu wcześniej, choć nigdy nie była to oaza spokoju i nie brakowało tragedii. Dramatycz-

ną opowieść autorki kończy wołanie – w pustkę, do nieba. A więc jest to przymiarka do auto-biografii z Paryżem w tle.

A.N.

Renata Gorczyńska, *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt 2014

Szkice portugalskie, nowa książka Renaty Gorczyńskiej, znakomitej tłumaczki i dziennikarki, jest owocem czterech podróży autorki po zachodniej części Półwyspu Iberyjskiego. Zbiór składa się z czternastu tekstów. Trzy spośród nich ukazały się wcześniej na łamach „Zeszytów Literackich” (niestety, nie podano informacji o pierwodrukach). Na potrzeby wydania książkowego wszystkie zostały rozszerzone i poprawione. Pozostałe utwory to rzeczy w pełni premirowe. „Te teksty są dokładnie tym, na co wskazuje tytuł – kapryśnymi z natury szkicami, zaledwie fragmentami odnotowanej rzeczywistości” – pisze w otwierającym tom wprowadzeniu Gorczyńska. Sięgając po *Szkice portugalskie*, czytelnik dostaje więc do ręki zbiór bardzo niejednorodny – tak gatunkowo, jak i tematycznie. Nie wszystkie z pomieszczonych w nim utworów można określić jako eseje. Część z nich to kilkustronicowe kartki z podróży, notatki pełne nakreślonych szybką kreską miejsc,

postaci i fabuł. Fragmentaryczność ta, należy od razu zauważyć, jest jednak zamierzona i dobrze oddaje pośpieszny i nieco chaotyczny charakter zwiedzania.

Tytuł otwierającego książkę eseju – być może jest to przypadek – budzi skojarzenia z najślynniejszą powieścią Jacka Kerouaca (*W drodze*). Próżno jednak na kartach *Szkiców portugalskich* szukać charakterystycznej dla Amerykanina atmosfery buntu czy wyraźnych antysystemowych gestów. Nie taki był zamysł autorki. Z amerykańskim pisarzem łączy Gorczyńską jedynie samochód i rozwijająca się przed oczami wstęga szosy. Nad szwendanie bez planu i celu przedkłada zwiedzanie z przewodnikiem w rękę. Nad Tag i Douro – jak sama przyznaje – zawiodła ją ciekawość i niewiedza. Na miejscu podziwia średniowieczną architekturę, zachodzi do kościołów, ogląda wystawy. W Tomar szuka śladów templariuszy. W Coimbrze przypatrzuje się barwnemu studenckiemu życiu. W niewielkim Pinhao obserwuje produkcję wina. Po zwiedzaniu próbuje lokalnych smakołyków – z wszechobecnym *bacalhau*, suszonymi na słońcu płatami solonego dorsza na czele. Z lubością przytacza miejscowe legendy, zasłuchuje się w fado. Nieodłącznym towarzyszem podróży staje się dla niej gitara Carlosa Paredesa. A także wielcy

portugalscy pisarze: Fernando Pessoa i noblista José Saramago. Jeśli zbacza z raz obranej trasy – to tylko przez zawodzący co chwila GPS.

W *Szkicach portugalskich* nie brak jednak tematów poważniejszych, wykraczających poza nastawioną na smakowanie i oglądanie perspektywę turysty. Autorka nie ukrywa kolonialnej przeszłości Évo-ry, szkicuje krwawe tło historyczne podboju Brazylii, podąża szlakiem wielowiekowej dyskryminacji mara-ronów – zamieszkujących Półwysep Iberyjski nawróconych na katolicyzm Żydów. To bodaj najciekawszy wątek książki. Równie interesujące jest tropienie polskich śladów: tu piękne karty o „kwiatach polskich” emigracji w czasie II wojny światowej (wśród wygnañców – Tuwimowie, Lechoń, Wierzyński...). Szkoda, że głód wrażeń i ciekawość nowego nie zawsze pozwalają dostrzec ciemne strony portugalskiej codzienności. W szkicach Gorczyńskiej, choć pisarka nie odwraca wzroku od obrazów biedy czy zapuszczenia, brak nieco perspektywy oddolnej, spojrzenia nie tyle dziennikarza czy turysty, ile antropologa. Autorka rzadko oddaje głos napotkanym po drodze ludziom. Jeśli już – zwykle są to reprezentanci jednej, wyraźnie uprzywilejowanej warstwy społecznej: właściciele drakońsko drogich zamków-pensjonatów, zde-

klasowani arystokraci, dyrektor generalny ekskluzywnej księgarni... Doskwiera brak pytań o społeczne konsekwencje brytyjskiej dominacji w produkcji portwajnu, przyczynny wyludniania zabytkowych miasteczek. Wzmianki o lokalnej kuchni prowokują do namysłu nad wytwarzaniem narodowej „marki” czy znaczeniem, jakie miejscowa ludność przypisuje jedzeniu. Chciałoby się poznać historię napotkanego przez autorkę w Évorze żebraka, młodego mężczyzny z psem. Bez tego *Szki-ce portugalskie* przypominają nieco bedeker. Świetnie napisany, zachwycający wrażliwością na szczegóły, ale jednak – bedeker.

K.Z.

Renata Gorczyńska, *Szki-ce portugalskie*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014.

Nakładem Fundacji Zeszytów Literackich ukazał się tom esejów Barbary Toruńczyk – redaktora naczelnego pisma, działaczki na rzecz przemian demokratycznych w Polsce. Pozycja zawiera artykuły obejmujące okres blisko czterdziestu lat.

Intryguje tytuł książki – *Nitka Ariadny*. Wiemy przecież, że w greckim micie Ariadna podarowała nić Tezeuszowi, aby mógł wydostać się z labiryntu Minotaura. Czym jest nić, czym jest labirynt? Labiryntem był

wiek XX, labiryntem jest współczesność. Publikacja to swoisty przewodnik – nitka wyprowadzająca z chaosu dzisiejszej kultury masowej.

Autorka oddaje literackie homagium XX-wiecznym pisarzom – na pierwszym miejscu Zbigniewowi Herbertowi i Czesławowi Miłoszowi. Znajdziemy też tu pewnego rodzaju biografię pokolenia '68, z którym mocno się identyfikuje. Jeden z rozdziałów zatytułowany jest *Zapadnie w labiryncie*. Zapadniami naszej kultury były dwa totalitaryzmy – komunizm i faszyzm. Toruńczyk w jednym z esejów rekomenduje nam książkę Thomasa Snydera *Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem* mogącą pomóc w ich lepszym zrozumieniu. Ciekawymi są teksty poświęcone historii czasopism emigracyjnych, ze szczególnym uwzględnieniem paryskiej *Kultury*, oraz twórczości i życiu pisarzy emigracyjnych. W zbiorze jej prac znajdziemy rozmowy przeprowadzone z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim oraz z Jerzym Giedroyciem. To ten ostatni stanowił inspirację i wzór przy zakładaniu przez autorkę „Zeszytów Literackich”. Interesujący jest esej traktujący o monumentalnej biografii *Miłosz. Biografia* autorstwa Andrzeja Franaszka. Pomimo tego, że praca Franaszka wzbudziła w Toruńczyk podziw i ciekawość, potrafi ona wykazać błędy biografów –

takie jak chociażby niedocenienie związku Miłosza z Watem dotyczącym pojmowania poezji, czy też niedostatecznie podkreślona rola kręgu paryskich przyjaciół poety. W innym tekście dzieli się swoimi własnymi preferencjami, zastanawiając się komu w kolejnych latach należało przyznać literacką nagrodę Nike. Ostatnie rozdziały książki przyjmują ton osobisty. Przemieszczamy się w nich do słonecznych Włoch, aby zobaczyć oczami autorki Parmę oraz Sycylię – miejsca bliskie jej sercu. Książkę zamyka rozmowa z samą Toruńczyk przeprowadzona przez Agnieszkę Papieską – esej najbardziej osobisty w książce – zapoznający nas z jej własnym podejściem do literatury, historii, polityki, kultury, sztuki, życia...

Nitka Ariadny to swoisty przewodnik po literaturze XX i początku XXI wieku. Grupę tę reprezentują tacy pisarze, wybrani przez Toruńczyk, jak Aleksander Wat, Jerzy Giedroyc, Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Adam Zagajewski, Julia Hartwig, Józef Czapski, Ryszard Krynicki i inni. *Nitka Ariadny* to głos mogący przyczynić się do popularyzacji ich twórczości. Pragnieniem autorki jest to, aby młode pokolenie dostało do ręki rodzaj drogowskazu – nitki mogącej pomóc w wyselekcjonowaniu wartościowej literatury.

To i wiele więcej w najnowszej książce Barbary Toruńczyk – przewodniku po krętych ścieżkach labiryntu kultury.

P.L.

Barbara Toruńczyk, *Nitka Ariadny*, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2014

Obszerny, liczący ponad pięćset stron, wybór studiów historyczno-literackich Zofii Zarębianki – poetki, eseistki, profesor na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, przynosi trzydzieści szkiców poświęconych niemal wyłącznie liryce Czesława Miłosza. Niemal – bowiem w charakterze przykładu przywołane zostały tu także wyjątki z eseistyki noblisty, a nawet fragmenty jego powieściowej „epopei”, *Doliny Issy*. Wiele uwagi poświęca badaczka korespondencji pisarza z amerykańskim trapistą Thomasem Mertonem, kluczowej – jak przekonuje – dla rozpoznania ukrytych w powojennej twórczości Miłosza sensów eschatologicznych. Leżące u podstaw wszystkich szkiców założenie o dominacji znaczeń metafizycznych nad społecznym wymiarem Miłoszowej poezji (także tej wczesnej, z okresu *Poematu o czasie zastygłym* i *Trzech zim*), sprawia, że poza zainteresowaniem autorki pozostaje szereg tekstów o charakterze mniej lub bardziej

politycznym (np. *Zniewolony umysł* czy powieść *Zdobycie władzy*).

Książka podzielona jest na dwie części. W pierwszej, *Studia o problemach*, badaczka stara się uchwycić znaczeniową dominantę liryki Miłosza. Za punkt wyjścia swoich rozważań obiera pamięć, punktem dojścia – zgodnie z tytułem jednego z rozdziałów – czyni „przestrzeń pytań ostatecznych”. Część druga, *Szkice o wierszach*, przynosi interpretacje wybranych utworów poety, potwierdzające – w założeniu eseistki – wnioski z części pierwszej (tu m.in. odczytania *Obłoków*, *Daru* czy *Świata. Poemów naiwnych*). Większość pomieszczonych w zbiorze tekstów ukazała się wcześniej w czasopiśmie (m.in. „Ethos”, „Studia Bobolanum”, „Kwartalnik Artystyczny”, „Topos”) oraz w tomach pokonferencyjnych. Całość uzupełnia rozbudowany fragment pracy magisterskiej autorki, który – choć nie wnosi wiele do miłoszologii – zawiera intuicje potwierdzone lub rozwinięte w późniejszych studiach.

Podobnie jak w przypadku poprzednich książek krakowskiej profesor czytelnik dostaje do rąk pozycję z pogranicza hermeneutyki i antropologii literatury, inspirowaną pismami teologów i klasyków fenomenologii religii. W centrum swoich rozważań autorka sytuuje doświadczenie egzystencjalne podmiotu Miłoszowej

poezji, który postrzegany jest tu jako człowiek religijny, *homo religiosus*. Oglądana w tym świetle postawa mówiącego „ja” ujawnia – jak pisze w jednym ze szkiców Zarebianka – trwałą „orientację na nieskończoność”. Potwierdzające owe intuicje rozbiory wierszy osadzone zostają w tradycji duchowości ignacjańskiej czy bliskiej poecie myśli tomistycznej. Szkoda, że badaczka nie podejmuje tropu zasugerowanego przez Miłosza w *Piesku przydrożnym* i pomija inspirację pracami Lwa Szestowa, którego niepokój poznawczy, podobnie jak wiele utworów noblisty, krążył wokół antynomii wiary i rozumu. Autorka nie wspomina również o ewolucji stosunku poety do personalizmu i neotomizmu. W książce nie brak natomiast odwołań do filozofii i duchowości Wschodu – przede wszystkim buddyzmu zen. Inna sprawa, że wiele z zawartych w tej części rozpoznań (wątek milczenia poety, obecność przeszłości w teraźniejszości), przynajmniej w odniesieniu do wczesnej i środkowej fazy pisarstwa Miłosza, pozwala się czytać przez pryzmat tradycji Mickiewiczowskiej (np. *Liryków lozańskich*) lub współtworzącej klimat intelektualny międzywojnia filozofii Bergsona.

Wyłaniający się z książki obraz poetyckiego świata noblisty cechuje jednorodność i wewnętrzna spójność. Badaczka, zwłaszcza w szkicach poświęconych poezji z lat trzydzie-

stych XX wieku, stara się udowodnić tezę o integralności światopoglądu poetyckiego Miłosza. W ujawnionych na drodze lektury napięciach (np. między prawdą eschatologiczną a zmysłowym konkretem) dostrzeżę tylko niekonsekwencje, co leżące u podstaw Miłoszowej „filozofii dialogu” spór racji. Nie przypadkiem, jak sądzę, dwa wątki powracają w kolejnych studiach wyjątkowo często: poszukiwanie „formy bardziej pojemnej” (objawiające się gatunkowym, tematycznym i wersyfikacyjnym zróżnicowaniem utworów) oraz właśnie wewnętrzna dialogowość poezji noblisty. Pojawiające się w tytule pracy „wtajemniczenia” rozumieć należy jednak nie tylko w świetle doświadczenia religijnego poety czy podmiotu jego wierszy, lecz także – czego autorka się nie wypiera – w kontekście jej prywatnych wyborów lekturowych i intelektualnych. Tak też – jako zapis osobistego spotkania z poezją Miłosza – najlepiej, według mnie, czytać książkę Zofii Zarebianki.

K.Z.

Zofia Zarebianka, *Wtajemniczenia (w) Miłosza*, Wydawnictwo Homini, Kraków 2014

Zbiór felietonów Wojciecha Ligęzy, które nazwałabym raczej esejami, zatytułowanych *Pod kreską* ze wstępem Janusza Szubera, jest

moim zdaniem niezwykłym – jak to jest obecnie w zwyczaju mówić – wydarzeniem. Tom, jak sam autor nas informuje, obejmuje teksty pisane mniej więcej regularnie, głównie do łódzkiego „Tygla Kultury” od 1996 do 2013 roku. Niektóre z tych szkiców ukazały się w „Dekadzie Literackiej”, „Krakowie”, „Rzeczpospolitej” oraz „Toposie”. Antologiczny charakter tomu oferuje czytelnikowi bilet na podróż w czasie i przestrzeni. W *Pod kreską* znajdujemy bowiem sumę doświadczeń pokolenia, które do szkoły poszło już po największym terrorze ale ciągle w jego wyczuwalnym cieniu, pokolenia, które dojrzewało w czasach tzw. (kto pamięta?) małej stabilizacji, żeby przeżyć szok 1968, kiedy to „Siły porządkowe siały nieporządek, specjaliści od bezpieczeństwa – niebezpieczeństwo”, a potem stan wojenny i wszystkie jego konsekwencje, „kiedy rozsypywał się dawny ustrój i nawet klej zwątpił we własną spoiłość”.

Nie popełnię chyba karygodnego błędu, jeżeli zaryzykuję twierdzenie, że tematem większości szkiców, jest zawsze jakieś zjawisko. Czy będą to „żony poetów”, „opalone kolana”, „maszyna do pisania”, czy „podglądanie okrucieństwa”, autor daje nam fizyczny i metafizyczny ogląd danego zjawiska, w opowie rzadko spotykanej elegancji humoru i stylu. Błądząc

w poszukiwaniu utraconego czasu, autor potrafi wydobyć z niebytu coś więcej niż imiona i obrazy, wywołuje on wręcz ten czas dla siebie i czytelnika. Tak odczytuję *Na progu jesieni*, *Zjazd koleżeński*, *Powroty*, szkice, które mierzą się z tak trudnym i często nieświadomym problemem jak odwaga powrotu, ruch pod prąd czasu, heroizm konfrontacji. W każdym tekście obserwujemy płynne przejścia od perspektywy osobistej, wydarzeń anegdotycznych do perspektywy ogólnej na doświadczenia rocznika, generacji, społeczeństwa. Celne błędne definicje życiowych faz i rytuałów sprawiają, że ten zbiór felietonowych mini-esejów i eseistycznych felietonów stał się zwierciadłem pokolenia. Uogólnienia i wnioski to wykład filozofii życia, bogato inkrustowanego absurdem. Powrót do szkoły sam staje się szkołą.

„Z przeludnionych miast – pisze autor – wyjeżdżamy do przeludnionych wsi”, „graty to cios zadany pustce” konstatuje w swym traktacie „o urzeczowieniu człowieka i ucłowieczeniu rzeczy”. W każdym eseju napotykamy znakomite określenia i samookreślenia, gdyż sam autor jest doskonałym stylistą w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

Styl Ligęzy nie daje się opisać, wymagałoby to bowiem tej samej wirtuozerii a to – gdyby się komuś nawet udało – mogłoby zakrawać na

próbę uzurpatorstwa. Ligęzę chciałyby się cytować, cytować, cytować. Ale zamiast niezliczonych cytatów lepiej powiedzieć czytelnikowi – przeczytaj, co mówi Ligęza o słuchaniu muzyki. To tu możemy się przekonać, że jeszcze polszczyzna nie zginęła, póki powstają teksty takiej próby.

Poruszona felietonem Ligęzy o maszynach do pisania, „które odarły nas z kaligrafii, ograniczyły przyjemność wodzenia piórem po papierze, oferując karnie ustawione rządki liter”, zajrzałam do szafy, gdzie wciąż stoi moja walizkowa, a nawet poprosiłam administratora wydziału, abyśmy obejrżeli wydziałowy skład rupieci, gdzie powinna była stać moja druga, trzecią oddałam właścicielowi sklepu, w którym ją kupiłam zostawiając sobie jedynie główkę z polskimi czcionkami.

Czy Ligęza pisze o traktorze, czy o nieodżałowanej maszynie do pisania, czy też o podwórkach naszego dzieciństwa, w każdym z tych przypadków wyklada przed nami swój system filozoficzny, swój skład zasad. Autor uświadamia nam raz po raz, że chociaż nowy język nie przystaje do rzeczywistości, ludzie wolą żyć w tej wymyślonej sferze języka niż mierzyć się z rzeczywistością.

Powrót ze Stanów do Krakowa pojawia się w dwóch felietonach; między wierszami, odnajduję tu zatarłe ślady spotkań. W 1996 roku jesienią

zorganizowaliśmy na Columbii międzynarodową konferencję Wittlinowską, w której uczestniczył także profesor Ligęza. Mieliśmy do wyboru dwie daty, wybrałam wcześniejszą, co za szczęście. Tuż po zakończeniu bardzo udanej konferencji ogłoszono Nobla dla Wisławy Szymborskiej, Ligęza właśnie lądował w Krakowie i tę chwilę opisuje w szkicu *Brzemie Nobla*.

W szkicu *Kobiecość magiczna* – magiczne pisarstwo Ligęzy osiąga ładunek erotyczny najwyższego napięcia. Nikt już dzisiaj nie potrafi stworzyć tak sugestywnej, wręcz szokującej atmosfery erotycznej bez uciekania się do fizjologii czy wulgaryzmów. W tym tekście autor wzniósł się na wyżyny Leśmianowskie.

Szkic *Stróż porządku* to przykład wysokiej klasy humoru poetyckiego, natomiast

Okrucieństwo z genialnym otwarciem i zakończeniem to istne warsztaty w podglądaniu okrucieństwa. Trochę zmartwiłam się, że w *Darze Tatr* zabrakło Choromańskiego, no ale ta uwaga, to raczej moje skrzywienie zawodowe.

Nieradość i radość – w tym traktacie o traktowaniu starości z właściwą sobie erudycją autor przerzuca nas od tekstów Jeremiego Przybory do Diderota i Cyclerona, a wszystko po to, aby przygotować czytelnika na strategię zmagania się starości

z nami i nas ze starością. We wstępie Janusz Szuber przygotowuje nas na tę feerię pisząc: „Wspaniała lektura, urzekający język, festiwal erudycji”.

Tego, kto dotrze do ostatniej części, czeka prawdziwa „radocha”, bowiem *Dziennik Gawota* to portret pana (autora, profesora) z psiej perspektywy. Formaliści nazywali to kiedyś chwytem wyobcowania. Mniejsza o naukowe terminy, jednakowoż

trzeba przyznać, że Gawot ma bystre oko, genialne poczucie humoru i niezwyczajny dar narracji.

Przyzna to każdy, kto choć trochę zna autora zbioru *Pod kreską*, a kto go nie zna, to pozna. A zatem do lektury!

A.F.

Wojciech Ligęza, *Pod kreską, teksty z lat 1996–2013*, wstęp Janusz Szuber, Księgarnia Akademicka, Kraków 2013

Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy przy finansowej pomocy
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel./fax 52 585 15 06;
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier
Na okładce fot. Elżbiety Lempp

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Urzędowi Miasta Bydgoszcz za pomoc finansową*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz

Skład, łamanie, druk i oprawa: PPU MULTIGRAF s.c.
ul. Bielicka 76 C, 85-135 Bydgoszcz, tel./fax 52 340 41 37

AGORA SA

Marek Hłasko, *Listy*, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Andrzej Czyżewski, Biblioteka Gazety Wyborczej, Warszawa 2014

Biblioteka „Więzi”,

Wydawnictwo Uniwersytetu

Kardynała Stefana Wyszyńskiego

Piotr Mitzner, *Warszawski „Domek w Kołominie”*. *Rekonstrukcja*, Biblioteka „Więzi”, tom 297, Warszawa 2014

Biuro Literackie

Jacek Łukasiewicz, *Rytmy jesienne*, seria „Poezje 108”, Wrocław 2014

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Magdalena Jankowska, *Dobierany*, Lublin 2014

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”

Amoz Oz, Fania Oz-Salzberger, *Żydzi i słowa*, przełożył Piotr Paziński, Warszawa 2014

Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac
Naukowych UNIVERSITAS

Małgorzata Janusiewicz, *Literatura doby Internetu. Interaktywność i multimedialność tekstu*, Kraków 2013

Dobrawa Lisak-Gębała, *Ultraliteratura. O strategiach transmedialnych i poszukiwaniu pozawerbalnego we współczesnej literaturze polskiej*, Kraków 2014

Konstanty Troczyński, *Wybór pism estetycznych*, wprowadzenie, wybór i opracowanie Teresa Pękała, seria *Klasyki Estetyki Polskiej*, pod redakcją Krystyny Wilkoszewskiej, Kraków 2014

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Przemysław Dakowicz, *Boże klauny*, Biblioteka „Toposu”, tom 98, Sopot 2014

Adrian Gleń, *Re*, Biblioteka „Toposu”, tom 99, Sopot 2014

Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego

Jonathan Swift, *Bitwa księzek. Opowieść balii*, przełożyła Krystyna Dąbrowska, seria „Kolory idei”, Warszawa 2013

Wydawnictwo a5

Charles Simic, *Madonny z dorysowaną szpicbródką oraz inne wiersze, prozy poetyckie i eseje*, wybór, przekład i wstęp Stanisław Barańczak, postłowie Edward Hirsch, Biblioteka Poetycka Wydawnictwa a5 pod redakcją Ryszarda Krynickiego, tom 5, Kraków 2014

Wydawnictwo Austeria & Zeszyty Literackie

Notes Herbertowski, opracowanie Marek Za-
gańczyk, Kraków–Budapeszt–Warszawa 2014

Wydawnictwo Literackie

Thérèse Mourlevat, *Muza Claudela. Życie Rosalie Ścibor-Rylskiej. Biografia*, przełożyła Małgorzata Kozłowska, Kraków 2014

Wydawnictwo Naukowe Śląsk

Barbara Gruszka-Zych, *Nie ma nas w spisie*, Katowice 2014

Wydawnictwo Znak

Czesław Miłosz, *Traktat o życiu. Myśli wybrane*, wybór i układ Joanna Gromek-IIIg, Kraków 2014

Prace historyczne



CENA 11 zł (w tym 5% VAT)